

The background of the cover is a misty forest scene with evergreen trees. A dark, irregular, rectangular shape is floating in the center of the image.

# SPŁYW

I INNE OPOWIADANIA

**MICHAŁ  
CZERW**

# Spływ

i inne opowiadania

**Michał Czerw**



[www.bramygrozy.pl](http://www.bramygrozy.pl)

# Spis treści

[Wstęp](#)

[Spływ](#)

[Sweter](#)

[37](#)

[Apka](#)

[Bunkry](#)

[Pępek](#)

[Oddech domu](#)

[Marzanna](#)

[Podziemia chwały](#)

[Połączenie](#)

[Potrąka](#)

[Rany](#)

[Śniadanko](#)

[Śpioch](#)

[Kwas](#)

[Wigilia](#)

[Posłowie](#)

# Wstęp

Opowiadania, które masz przed oczyma przeleżały jakiś czas na dysku komputera, zanim postanowiłem, co z nimi zrobić. Szukać wydawcy, czy może opublikować w internecie. A może wydać je w formie ebooka. Jak się już pewnie domyślasz, wygrała ta ostatnia opcja. I trafiła do Ciebie za darmoszkę. Fajnie, prawda?

Każdy zamieszczony tutaj tekst, dał mi trochę radości podczas pisania i mam nadzieję, że i Tobie ich lektura przyniesie nieco zabawy. Zapewne nie wszystkie teksty Ci się spodobają, ale hej, to przecież zbiór opowiadań i zawsze jest szansa, że kolejne będzie lepsze. Warto sprawdzić.

A gdy już przeczytasz i uznasz, że to nie był czas zmarnowany, że choćby dla jednego tekstu warto było przez to przebrnąć, zawsze możesz postawić mi piwo (ale nie musisz). Będzie mi bardzo miło. Szczegóły znajdziesz na końcu, a tymczasem zanurz się proszę w mrokach mojej wyobraźni.

Miłej strasznej lektury.

# Spływ

Nad jezioro Głuszyńskie Tomek przyjeżdżał od smarkacza. Kiedyś z rodzicami na biwak, potem z grupą znajomych pod namiot lub do wynajętego domku. Nie jedno wiaderko piasku zostało tutaj przez niego przesypane, nie jedno piwo zostało wypite i nie jedna prezerwatywa znalazłaby się gdzieś w trzcinach. Kawał jego młodzieńczego życia.

Zresztą Zbyszek, mógłby powiedzieć o sobie to samo. W końcu ich rodzice znali się od zawsze i zazwyczaj wakacje spędzali razem. Chłopcy od berbeci byli na siebie skazani i może dzięki temu zostali przyjaciółmi.

Ale tym razem zamierzają spędzić tutaj czas nieco inaczej niż zwykle. Kajak to nowa pasja Tomka. Zaoszczędzone pieniądze wydał na używaną dwójkę, spakował namiot, trochę prowiantu i namówił swojego przyjaciela na wyprawę. Przez jezioro przepływa nieduża i raczej łatwa do pokonania rzeka Zgłowiączka. Jej źródło jest, co prawda nieco wyżej, ale oni postanowili zacząć swój pierwszy spływ w miejscu, w którym wypływa ona z akwenu. Całość nie powinna im zabrać więcej niż dwa dni, więc pod chmurką spędzą tylko jedną noc, ale dobre i to. Od czegoś trzeba zacząć. Rzeka łączy się z Wisłą, a tą można przecież dopłynąć na sam Bałtyk lub, jeśli się wcześniej lekko zboczy, na Mazury. Kto wie, czy po nabraniu doświadczenia nie postanowią kiedyś uderzyć w tamtym kierunku.

Ale to pieśń przyszłości. Póki, co chłopcy stali na sztucznie usypanej plaży, wpatrzeni w leniwą taflę jeziora, czekając aż ojciec Tomka skończy robić zakupy w pobliskim sklepie. Gdy to wreszcie nastąpiło, wsiedli z powrotem do samochodu i w trójkę ruszyli do miejsca, w którym rzeka wypływa z jeziora. Tam miała rozpocząć się ich przygoda.

- Czyli tak jak się umawialiśmy – zaczął ich kierowca – Jutro, jak dopłyniecie do Włocławka dacie mi znać i po was przyjadę. Jeśli gdzieś zamarudzicie i mielibyście mieć opóźnienie, też dajcie mi znać, bo inaczej matka życ mi nie da. Jeśli stanie się coś nieprzewidzianego...

- Też damy ci znać – wtrącił Tomek.

- Właśnie. I bez żadnych numerów i brawury. Pamiętajcie, że to wasz pierwszy spływ i nie macie jeszcze doświadczenia, więc możecie przecenić swoje możliwości.

- Wiem tato.

- Wiem, że wiesz, ale i tak to powiem. I lepiej trzymajcie się tego, co mówię. W nocy uważajcie z ogniem, na łódce załóżcie kapoki i nie róbcie żadnych głupot.

- Jasne.

- Ma być jasne jak słońce. Dobra to chyba tutaj.

Samochód zatrzymał się na poboczu. Jego pasażerowie wysiedli i przeskoczywszy rów, znaleźli się nad stawem otoczonym olszynami. Grunt dookoła był grząski i z każdym korkiem ich stopy zapadały się kilka centymetrów w podłoże.

- Ten staw z jednej strony połączony jest z jeziorem, a z drugiej stanowi ujście dla rzeki. Myślę, że jest to doskonałe miejsce na początek waszej wyprawy. Możecie tutaj w spokoju rozstawić swój sprzęt, wszystko jeszcze sprawdzić i ruszyć w drogę.

- Myślę tato, że to faktycznie dobre miejsce. Chodź Zbyszek, przyniesiemy kajak i resztę bagażu.

Tomek klepnął w ramię kolegę i obaj ruszyli w kierunku samochodu. Najpierw przynieśli nieprzemakalny worek z jedzeniem oraz namiot. Potem poszli po kajak. Gdy łódź była już na wodzie, spakowali do luku bagaż i mogli ruszać w drogę.

- To chyba wszystko. Do zobaczenia jutro – Tomek podał rękę ojcu.

- Do zobaczenia i bawcie się dobrze. – Odpowiedział rodzic i podał rękę Zbyszkowi – Pogoda powinna utrzymać się jeszcze, co najmniej przez dwa tygodnie, więc wierzę, że chociaż przez najbliższe dwa dni, ta prognoza się sprawdzi.

Chłopaki wsiedli do kajaka, chwycili wiosła i ruszyli w kierunku rzeki. Gdy Tomek spojrział na brzeg, jego ojciec jeszcze tam stał, cały czas się w nich wpatrując. Chłopak uniósł rękę i pomachał. Ojciec odmachnął, po czym powoli się odwrócił i ruszył w kierunku samochodu. Po chwili usłyszeli dźwięk silnika i pojazd zaczął się oddalać. Minutę później ciszę przerywał tylko chłupot wiosła w wodzie.

- No myślałem, że już nigdy nie pojedzie. – Powiedział Zbyszek.

- Staruszek bywa czasami nadopiekuńczy.

- Fajnie, mój nawet nie zapytał gdzie jadę, gdy z plecakiem mijałem go w drzwiach.

- Tak źle i tak niedobrze. – Tomek spojrział na zegarek. – Dobra jest już prawie jedenasta. Bierzemy się do dzieła.

- Aj aj kapitan! – Odpowiedział Zbyszek i kajak nabrał prędkości.

Początkujący kajakarze potrzebowali odrobiny czasu, by ich ruchy nabrały odpowiedniego rytmu. Gdy to już się stało, wszystko wydawało się iść jak z płatka.

Czas wydawał się płynąć zupełnie innym torem. Leniwy nurt rzeki niósł ich bez wysiłku, a oni wiosłowali tylko żeby pokonać jakieś zakole koryta lub ominąć jakąś przeszkodę. Raz czy dwa musieli przybić do brzegu, żeby przenieść kajak lądem, bo przewalone przez rzekę drzewo uniemożliwiało jego pokonanie pod, ani nad pniem. Przy okazji poparzyli się niemiłosiernie o nabrzeżne pokrzywy, ale to podobno zdrowe.

Najważniejsze, że czuli się jak odkrywcy. Rzeka przepływała głównie polami i lasami, a jej brzegi obrosnięte były drzewami, krzewami i całą gamą innej roślinności. Czasami tak gęsto, że natura tworzyła ścianę ukrywającą wszystko, co się za nią znajdowało. Woda raz była głębsza, raz płytsza do tego stopnia, że wydawało się, że kajak otrze się o dno. Jednak nigdy do tego nie doszło.

Wydawało im się, że mogliby tak spływać w nieskończoność, ale czas płynął nieubłaganie i zmrok zbliżał się coraz bardziej.

- Hej, Tomek, trzeba chyba pomyśleć o noclegu – powiedział Zbyszek, klepnąwszy wcześniej w ramię siedzącego z przodu kolebę.

- W sumie zbliża się osiemnasta i już mi trochę jeść się chce.

- No, nie chciałem nic mówić, ale w bebecchu to już mam całą orkiestrę.

- Dobra, to jak tylko znajdziemy odpowiednią miejscówkę, przybijamy do brzegu.

- OK.

Byli wtedy w lesie, a właściwe miejsce znaleźli po niespełna pół godzinie. Rzeka przecinała sporą łąkę, a po obu stornach jej koryta teren był prosty, porośnięty trawą i gdzieś tam kępami pokrzyw. Dalej zaczynała się ściana drzew, a przed nimi widać było drewniany most, który łączył dwa brzegi i był częścią drogi między dwoma wsiami (później sięgnąwszy po mapę ustalił, że owe miejscowości to Turowo i Kazanie). Uznali, że to będzie odpowiednie miejsce na nocleg.

Po przybiciu do brzegu, wynieśli kajak na łąkę i wypakowali z niego bagaże. Napili się i chwilę odpoczęli, poczym Tomek zajął się rozbijaniem namiotu, a Zbyszek zbieraniem drzewa na małe ognisko, które wkrótce miało im uprzyjemnić pobyt na łonie natury.

Nad ogniem zagotowali wodę, którą zalali liofilizowaną żywność zakupioną w jednym z internetowych sklepów z asortymentem dla podróżników. Posiłek smakował paskudnie, ale wypełniał żołądek wystarczająco by zaspokoić głód. Potem napili się piwa i piekąc nad ogniem kiełbasę, siedzieli wspominając stare czasy, gdy na granicy mroku zobaczyli psa.

Kundel był nie duży, o trudnym do określenia w panującym mroku umaszczeniu. Gdy Zbyszek rzucił mu kawałek mięsa, stworzenie łapczywie je pochłonęło i trzymając dystans, wpatrywało się błagalnym wzrokiem w rękę, która go przed chwilą poczęstowała. Chłopak rzucił następny kawałek, a potem jeszcze jeden. Każdy coraz bliżej, aż w końcu dystans między nim, a psem zmaleł na tyle, że można było go pogłaskać. Z początku wydawał się, że ta sztuka się nie uda, ale po początkowej nieufności, szybko pozostało tylko wspomnienie, a czworonóg nie tylko dał się dotknąć, ale zaczął wręcz jeść z ręki.

Gdy tak czas błogo mijał, trzecia puszka po piwie została opróżniona, a noc robiła się coraz głębsza, chłopcy postanowili pójść



spać. W końcu następnego dnia czekał ich dalszy ciąg podróży, a zakwasy, które już zaczęły się formować, nie wróżyły łatwego dnia.

Zgasili ognisko i weszli do namiotu, a pies niemający najwyraźniej nic lepszego do roboty, ułożył się obok wypalonego drwa, z którego biło jeszcze trochę ciepła. Chłopcy owinąwszy się śpiworami, ukołysani szmerem rzeki i pohukiwaniem sowy gdzieś w oddali, które wprowadzało nieco niepokojącego klimatu, zapadli w sen.

\*\*\*

Tomek ocknął się na dźwięk otwieranego suwaka. W panującym mroku dojrzał Zbyszka, który zakładał właśnie buty.

- Gdzie idziesz? – zapytał.

- Odląć się.

To Tomkowi wystarczyło. Przekręcił się na drugi bok i słysząc oddalające się kroki kolegi, ponownie zapadł w sen. Jednak nie na długo.

- Tomek. Tomek śpisz? – pytany gwałtownie się ocknął.

- Już nie – odpowiedział. Spojrzał na Zbyszka i bladość jego twarzy, która wyraźnie odcinała się w ciemności panującej w namiocie od razu go otrzeźwiła. – Co jest?

- Pies.

- Co z psem?

- Nie ma go. Znaczą jak wyszedłem nie było go, ale nie przejąłem się tym zbyt. W końcu przybędą, nie? Pomyślałem, że wrócił do siebie. Poszedłem się odlać i zobaczyłem go między drzewami i... - zamilkł. Zupełnie jakby odebrało mu głos. Jego oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, choć przed chwilą Tomkowi wydawało się, że bardziej rozszerzyć już się nie mogą.

- I co? – Dopytywał.

- I on szedł na dwóch nogach. – Cisza, jaka zapadła w namiocie zdawała się ich przygniatać. Zupełnie jakby miała fizyczny ciężar i z każdą sekundą jej masa narastała.

- Co?

- No szedł na dwóch nogach... Tak jak psy tresowane w cyrkach, ale jego kroki były bardziej nieporadne. Jakieś nieskładne... Nie wiem jak mam Ci to wytłumaczyć. Kurewsko dziwne.

- No, trochę. – Zgodził się Tomek. - Jarałeś coś?

- Odwał się. Nic nie jarałem.

- A mówił coś?

- Co? Kto? Spierdalaj!

- Ok, ok. Tak tylko pytam. W końcu budzisz mnie w środku nocy i gadasz o chodzących psach. Chciałem się tylko upewnić. - Tomek wstał i zaczął się ubierać. – Chodź zobaczymy te cuda.

Chłód panujący na zewnątrz momentalnie rozwiął resztkę snu, jaka tkwiła mu jeszcze pod powiekami, a rosa na trawie natychmiast przemoczyła jego trampki. Dookoła panował półmrok, który rozświetlał tylko blask księżyca.

- Idziesz? – Zapytał Tomek Zbyszka, gdy tamten zwlekał z wyjściem z namiotu. Po chwili jednak, jego sylwetka pojawiła się na zewnątrz. – Gdzie widziałeś tego psa?

Zbyszek nie odpowiedział. Wskazał tylko ręką w kierunku ściany lasu. Po chwili razem ruszyli w tym kierunku, a ich kroki szeleściły w wysokiej trawie, przebijając się nawet przez szum rzeki. Im bliżej byli drzew, tym ciemniej robiło się wokół nich. Stanęli na skraju łąki i przez chwilę obaj wpatrywali się w mrok między pniami.

- Widziałem go tam. – Zbyszek wskazał miejsce swojej niezwyklej obserwacji.

- Jesteś pewien, że nie był to jakiś korzeń, krzak lub coś w tym stylu?

- Jestem pewien. Korzenie, krzaki, ani nic w tym stylu raczej się nie poruszają.

- Ale sam mówiłeś, że ten ruch był dziwny. Może wiatr huśtał jakąś gałęzią?

- Stary, tej nocy nie ma wiatru... szczególnie w środku lasu. A ruch owszem był dziwny i mówię ci, że to był ten pies. Szedł zgarbiony na dwóch łapach i wydawało mi się, że spoglądał na mnie.

- Nic tu nie widzę.

- Mówię ci, że tu był.

Przez chwilę wpatrywali się w ciemność między drzewami. Gdy Tomek zaczął już myśleć o powrocie, jego uwagę przyciągnął krótki błysk. Wytężył wzrok i zaczęło mu się wydawać, że w mroku widzi dwa jaśniejsze punkciki. Coś jakby... ślepie. Jego ciałem wstrząsną

mroźny dreszcz, a włosy na skórze stanęły dęba. Zbyszek, też zaczął coś dostrzegać.

- Widzisz to – zapytał i wskazał ręką w punkt, na którym skupiał swój wzrok jego przyjaciel.

- Widzę.

Nic więcej nie zdołał powiedzieć. W ciemności zaczęły pojawiać się kolejne jaśniejsze punkty. Było ich już sześć, osiem, dwanaście. Sześć par oczu, wpatrujących się w nich spomiędzy pni drzew. Nagle jedno z nich zaczęły się poruszać. Coś wyraźnie szło w ich kierunku. Jego śladem ruszyły pozostałe. Las jakby zamął w oczekiwaniu na mające nastąpić wydarzenie. Chłopakom serca zaczęły walić niczym młotem. Ich puls gwałtownie przyspieszył. Na tle czerni zaczęły odcinać się szare sylwetki psów... psów idących na tylnych łapach. Ich ruchy były nieskładne, rwane, jakby kości znajdowały się nie na swoich miejscach. Widok wydawał się groteskowy, a jednocześnie przerażający. Nagle w powietrzu rozległo się wycie. Psy przyspieszyły.

Tomek zerwał się do ucieczki. Biegł w kierunku mostu spinającego dwa brzegi rzeki. Za nim ruszył Zbyszek, ale za późno. Nadal był w szoku, a ten nie dodawał mu sił. Jego nogi wydawały mu się ociężałe. Nagle poczuł uderzenie w plecy. Przewrócił się twarzą w trawę. Jego łydkę rozerwał ogromny ból. Szarpną się i obrócił na plecy. Jeden z psów zatopił zęby w jego nodze. Drugi właśnie wybił się w powietrze, by ciężko wylądować mu na piersi wydusiwszy mu całe powietrze z płuc. Jakby tego było mało widok, jaki ukazał się jego oczom zmroził mu krew w żyłach. Zwierzę wyglądało na chore. Jego sierść była zmierzwiona, oblepiona czymś lepkiem, z pyska kapąła kleista ślina, a jedno z uszu było mocno naderwane. Zbyszek wiedział, że to już koniec. Strach sparaliżował jego ciało, a w głowie zapanowała pustka. Wpatrywał się w ślepie zwierzęcia i czuł zgniły smród dobywający się z paszczy stworzenia. Gdy pogodził się już ze śmiercią i czekał, aż zwierz zatopi zęby w jego szyi, stało się coś, co sprawiło, że chłopak do reszty postradał zmysły. Na głowie psa pojawiła się krwista krecha. Biegła od nosa, zbacząc nieco na lewo przez długość pyska, by ponownie, między oczyma wrócić na środek i pobiec dalej na tył głowy, a stamtąd jeszcze dalej przez grzbiet do

końca ogona. Krew chlusnęła na chłopaka, a psia skóra opadła po bokach, odsłaniając przerażające stworzenie, z którego ślepi biła pierwotna dzikość. Istota nie była większa od psa w skórze, którego się ukrywała, ale jej postawa znacząco się od niego różniła. Małą, wyposażoną w długie szpony łapą chwyciła Zbyszka za włosy i zbliżyła potworną, ociekającą śluzem mordę do jego twarzy. Smród bijący od stworzenia odbierał chłopakowi resztę zmysłów. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że z jego gardła wydobywa się nieustający krzyk rozpacz. Istota siedząc cały czas na piersi chłopaka, szarpnęła się i wbiła zębiska w bok jego szyi. Chłopak poczuł paraliżujący ból i zaczął krztusić się własną krwią. Mrok wypełnił jego oczy, będąc nieodwołalnym zwiastunem bolesnej śmierci.

\*\*\*

Ubita droga ułatwiała bieg, a las nie okazał się tak obszerny, jak to wyglądało znad rzeki. Tomek po jakichś trzystu metrach wybiegł na pole, porośnięte zbożem. Słyszał za sobą przeraźliwe krzyki Zbyszka, ale nie był w stanie nic zrobić. Zwierzęta goniły go. Przez chwilę czuł, że przestrzeń między nimi, kurczyła się, ale pszenica dała mu przewagę. Łatwiej mu było biec między źdźbłami, które wyraźnie wytrąciły z pędu goniące go stworzenia.

W oddali zobaczył nikłe światło. Był, co prawda środek nocy, ale nie był w stanie się nad tym zastanawiać. Blask niósł ze sobą wybawienie, więc nie było, o czym myśleć. Puścił się w jego kierunku.

Gdy dobiegł do zabudowań, nie miał już oddechu, ale nic go nie goniło. Stał przed stodołą i odwrócił się. Nic nie wskazywało na to, żeby te przekłete psy były za nim. Zlany potem spoglądał na las i próbował coś dojrzeć. Zupełnie nic. Jednak z oddali dobiegł go dźwięk będący czymś pomiędzy szczeknięciem, a wyciem.

Oświetlone okno było w budynku obok. Przesunął się do niego i zajrzał do wewnątrz. Blask pochodził od lampy, która będąc zawieszoną nisko nad podłogą, ogrzewała swym ciepłem prosiaki. W kojcu obok leżała olbrzymia maciora. Najwyraźniej matka młodych. Nagle w powietrzu rozległo się trzaśnięcie. Tomek zobaczył, że drzwi do budynku od strony podwórza otwierają się i do środka wchodzi mężczyzna około pięćdziesiątki, ubrany w wełniany sweter, spodnie

od dresu i gumofilce. Chłop podszedł do patyka z prosiakami, wszedł do środka i podniósł deskę, która blokowała dostęp młodych do matki. Widać były głodne, bo natychmiast ruszyły do maciory i przyssały się do jej sutków.

Tomek wiedział, że musi coś zrobić. To, co było w lesie mogło podążać cały czas jego tropem. Zapukał w okno i zbliżył swą twarz do szyby. Mężczyzna wyglądał na przestraszonego. Na chwilę zamarł, poczym zaczął rozglądać się po budynku. W pewnym momencie chwycił widły i wybiegł na zewnątrz. Tomek słyszał jak biegł. Każdemu krokowi towarzyszyło stłumione kłapięcie gumowego buta o ziemię. Właściciel okrążył stodołę i wybiegł z drugiej strony. Zauważył Tomka.

- Co tu kurwa robisz !? – wykrzyknął, a jego twarz wykrzywił grymas gniewu. Tomek oddalił się od okna i podniósł ręce do góry.

- Przepraszam, ale potrzebuję pomocy.

- Pomocy?

- Tak. Mój kolega i ja płynęliśmy kajakiem i na łące w lesie, przy moście rozbiliśmy biwak. Coś nas tam zaatakowało. Jakieś dzikie psy, czy coś takiego. Mój kolega... One go chyba dopadły... – chłopak nagle poczuł ciężar tych wydarzeń. Zakręciło mu się w głowie i ciężko usiadł na ziemi. – One go chyba dopadły – powtórzył.

- Psy w lesie powiadasz? – chłop zaczął iść powoli w kierunku Tomka, ale jego wzrok taksował pole i ciemniejszą linię drzew za nim.

- One go dopadły. O Boże, musimy coś zrobić... Wezwać policję!

- Spokojnie, wezwiemy. Musisz wziąć się w garść. Na szczęście tobie udało się uciec.

- Tak. – Widać było, że Tomek jest załamany i wykończony. – Udało mi się. Goniły mnie. Myślałem, że mnie dopadną, ale gdy wybiegłem z lasu i wbiegłem w zboże, udało mi się od nich oddalić. Nie wiem, czy goniły mnie dalej. Zobaczyłem światło i zacząłem biec w jego kierunku... Tak dotarłem tutaj i zobaczyłem Pana...

- Już dobrze. – Mężczyzna mu przerwał. – Oszczędzaj siły. Chodź. – Podał mu rękę i pomógł się podnieść. – Chodź do domu. Wezwiemy jakąś pomoc. – Puścił Tomka przodem.

Chłopak czuł się fatalnie. Szedł jak na skazanie. Czuł się oszołomiony, przybity i bezradny. Skręcił za róg stodoły, zza którego chwilę wcześniej wybiegł właściciel gospodarstwa. Usłyszał jakieś szuranie. Odwrócił się i zdołał tylko zauważyć gospodarza, który podniósłszy oparty o mur ciężki drąg, kończył właśnie prostować ramię. Tomka ogarnęła fala bólu i załała ciemność. Padł jak kłoda.

\*\*\*

Obudziło go uderzenie w twarz. Czuł się zdezorientowany i w pierwszej chwili nie widział gdzie jest. Nie mógł się ruszyć. Zdał sobie sprawę, że jest spętany i przywiązany do jakiegoś pnia. Sznury wpijały mu się w skórę. Nagle zdał sobie sprawę, że jest w lesie. Między drzewami widział pole, więc nie mógł być głęboko między drzewami. W oddali usłyszał wycie. Ponownie poczuł uderzenie w twarz.

- Ocknąłeś się? – chłop złapał go za szczękę i spojrzał w twarz. – Dobrze.

- Dlaczego? – zapytał Tomek.

- To nic osobistego. Po prostu, jakbyś uciekł, mogłyby przyjść do wsi. To jest wybór między mną, a tobą. Wybór jest prosty. Chyba to rozumiesz?

- Kurwa. – Chłopak wiedział, że to już koniec.

Chłop odwrócił się i wybiegł z lasu. Nie oglądał się za siebie. Wycie i szczekanie nasilało się. Było coraz bliżej. Mężczyzna nie zwalniał. Biegł ile miał sił w nogach, jakby goniła go sama śmierć. Być może właśnie tak było. W powietrzu rozległ się przeraźliwy krzyk bólu. Zawtórowało mu głośnie wycie. Chłop przyspieszył jeszcze trochę. Chciał być jak najdalej, jak najdalej od nich.

# Sweter

Swetry. Jedni je lubią inni nie. Niektórym kojarzą się tylko z takim wełnianymi, włochatymi, których noszenie wymagało sporej dawki cierpliwości, niesamowitej samodyscypliny i ogromnej tolerancji na irytację. Swędziało cholerstwo jak sam diabeł. Na szczęście swetry robione są także w bardziej humanitarnych formach. Właśnie taki bardziej ludzki przedstawiciel tego rodzaju ubrań, trafił się Mariuszowi jako prezent od dziewczyny. Zima idzie, będzie mu cieplej. Szczęście w nieszczęściu, że ciuch nawet przypadł mu do gustu. Drobny splot wyglądał całkiem przyjemnie, niebieskawy kolor był miły dla oka, a nienachalne ściągacze sprawiały, że nosi się wygodnie. I przede wszystkim nic nie gryzie.

To ten sweter ubrał na wypad do kina z Martą. Był trochę pognieciony, ale miał nadzieję, że wyprostuje się na nim. Dla pewności jeszcze go powąchał. Nadawał się. Kobieta pewnie ubrałaby już coś innego, ale na szczęście był facetem, a to poszerzało granice tolerancji. Przynajmniej w aspekcie ubioru. Wciągnął jeszcze spodnie, wskoczył w buty i udał się do najbliższego multipleksu, gdzie byli umówieni.

Przyszedł pierwszy. To akurat go nie zdziwiło, ale na szczęście nie musiał długo czekać. Dziewczyna pojawiła się pięć minut później i jak zwykle wyglądała olśniewająco. Jeszcze tylko popcorn, kontrola biletów i wreszcie mogli zanurzyć się w przyjemnym mroku kinowej sali. Seans okazał się przeciętny, ale i recenzje, które czytał wcześniej nie zwiastowały arcydzieła kinematografii. Marta chciała go obejrzeć, to co mógł zrobić. W każdym razie nie było najgorzej, a i czasu spędzonego z ukochaną osobą w żadnym wypadku nie mógł zaliczyć do straconego. Potem poszli jeszcze do kawiarni na małą czarną i przyszedł czas rozstania. Ona musiała przygotować

materiały do prezentacji w pracy. On znaleźć sobie jakieś zajęcie na wolny wieczór.

Odprowadził ją jeszcze na tramwaj, poczekał aż przyjedzie odpowiedni i pomachał gdy Marta odjeżdżając pokiwała mu ze środka. Zszedł z przystanku na chodnik, popatrzył w kierunku galerii handlowej, ale na błąkanie się wśród kupujących nie miał ochoty. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Darka.

- No cześć – usłyszał po dwóch sygnałach, co zwiastowało, że i on nie ma nic pracocholonnego na głowie.

- No cześć. Browarek? – zapytał.

- No raczej. U mnie, u ciebie, na mieście?

- Może na osiedlu – zaproponował. – Jestem teraz przy galerii, ale za dziesięć minut mogę być u Kosy jeśli ci pasuje.

- Pasuje.

- To lecę.

I już. Tak to się robi. Bez zbędnych gadek, przywitań, wspomnień i wymiany najświeższych plotek. Na to jeszcze przyjdzie czas, ale najpierw trzeba wprowadzić się w nastrój. Chociaż faceci przecież nie plotkują. Raczej wymieniają się faktami.

\*\*\*

Mariusz i Darek znali się od zawsze. Albo przynajmniej od liceum. Mieszkali co prawda na tym samym osiedlu, ale zanim nie trafili do jednej klasy w ogólniaku, to ich drogi jakoś się mijały. Gdy wreszcie wpadli na siebie, szybko okazało się, że mają podobne zainteresowania, więc ich znajomość szybko zamieniła się w przyjaźń. Od tamtej pory obalili niejedną flaszkę, a większość z nich u Kosy. Czytaj, w pobliskiej mordowni, w której wszyscy się znali, więc nawet jak zaniemogłeś to albo pozwolili ci odpocząć w koncie, albo znalazł się ktoś życzliwy, kto zatargał cię na kwadrat. A to ważne, bo można było czuć się bezpiecznie.

Darek już był. Sącył portera przy barze rozmawiając z barmanem. Mariusz podszedł, przywitał się z jednym i drugim i nie tracąc czasu zamówił ipę z regionalnego browaru. Dyskutowali, skakali z tematu na temat i zerowali kolejne butelki. Przez lokal przewinęło się kilka osób. Niektórzy dołączali na chwilę do rozmowy, by po kilku zdaniach udać się w swoich kierunkach, inni rzucali tylko



krótkie cześć i nie zawracały im gitary. Oczywiście znalazła się też jedna sierota, co wylała pół kufła Mariuszowi na plecy. No bo jakżeby inaczej. I tak wieczór mijał, czas umykał, a stężenie alkoholu we krwi rosło, by po piątej butelce Mariusz poczuł, że ma dość. Nauczony doświadczeniem, żeby nie ulegać namowom na „jeszcze jedno i idziemy”, zebrał się i sam wyszedł.

Było już grubo po jedenastej, osiedle było ciche i w niewielu oknach paliło się jeszcze światło. Doszedł do swojego bloku, wygrał walkę z zamkiem u drzwi wejściowych, a potem dokonał podobnego czynu z drzwiami do mieszkania i zdjawszy buty rzucił się na kanapę. Poleżał chwilę i zdecydował, że daruje sobie mycie. Jutro ma wolne, Marta jest cały dzień zajęta, więc nie ma przymusu. Chciał się jeszcze rozebrać, ale po krótkiej szamotaninie ze swetrem stwierdził, że nie ma co się wysilać. Szczególnie, że dziadostwo nie za bardzo chciało się zdjąć, a na dodatek zaboląo go coś w plecach, więc po co ryzykować. Jebać, pomyślał i ponownie rzucił się na kanapę, na której szybko zapadł w sen.

\*\*\*

Poranek przywitał go lekkim kacem. Zwlekł się z kanapy i poszedł do łazienki rzucić nieco ciężaru. Potem umył ręce, opłukał twarz i spojrzał na swoje niezachwycające odbicie w lustrze. Pomyślał, że trzeba doprowadzić się do ładu. Prysznic to pierwszy krok. Złapał za róg swetra i szarpnął go do góry by się rozebrać, ale ku jego zaskoczeniu, ubranie nie podało się tak łatwo, a jego plecy pachy i klatka piersiowa zapulsowały bólem. Sweter uchylił się co prawda od dołu do mostka, a nawet odstąpił lewy sutek, ale ciągnięcie go wyżej sprawiało mu duży ból. Kołnierz był luźny, mógł go odchylić, ale tylko do pewnego momentu. Mniej więcej na pięć do dziesięciu centymetrów. Reszta była jak przyklejona. Dziwne.

Mariusz pomyślał, że może faktycznie jest przyklejony. Może wczoraj ktoś oblał go czymś, co przykleiło wełnę do jego skóry. Piwo na plecach pamiętał, ale nic poza tym. Przynajmniej nic, co tłumaczyło by zaistniałą sytuację.

Skoro nie mógł go zdjąć, postanowił wziąć prysznic w nim. Przy odrobinie szczęścia materiał namoknie, a łączące ich spoiwo się

rozpuści. Jak pomyślał, tak zrobił, ale efekt był daleki od zadowolającego, bo nic w tej kwestii się nie zmieniło.

Sytuacja była co najmniej niecodzienna. Jak z horroru. Zresztą przypomniał sobie, że kiedyś nawet oglądał film o przeklętym kostiumie klauna, który połączył się z ciałem pewnego ojca, który nie zdoławszy zorganizować pajaca na przyjęcie urodzinowe syna, sam postanowił się za niego przebrać. Potem, przebranie nie chciało się od niego oddzielić, a on sam zaczął przemieniać się w potwora, który... Zresztą, nie ważne. Mariusz nie miał przeklętego swetra. Przecież nosił go już nie raz i wcześniej nie miał z jego rozebraniem żadnych kłopotów.

Spróbował zdjąć go jeszcze raz, ale z takim samym efektem jak wcześniej. Pociągnął mocniej i poczuł ból. Ciągnął jednak dalej, ale pieczenie tylko się wzmagало. Zdeterminowany, zacisnął zęby i ze łzami w oczach nie przestawał, dopóki ból nie stał się nie do zniesienia. Gdy to nastąpiło, musiał się poddać. Dalsza walka nie miała sensu. Gdy oparł dłoń w miejscu, w którym dyskomfort był najsilniejszy, poczuł wilgoć. Dziwnym nie jest, bo dopiero co wyszedł spod prysznic i materiał nie miał szans wyschnąć, ale w tamtym miejscu było wyraźnie cieplej. Rozmasował ten fragment skóry i spojrzał na dłoń. Była zakrwawiona. Teraz trochę się przestraszył. Dotknął tamtego miejsca jeszcze raz i nie miał już wątpliwości skąd pochodziła krew. Przy próbie ściągnięcia swetra musiał rozerwać skórę, co tylko potwierdzało jak mocno są ze sobą związani.

Pytanie, jak się rozdzielić i jak do tego połączenia w ogóle doszło? Mariusz nie miał pomysłu. Wysuszył mokre ubranie suszarką na tyle na ile starczyło mu cierpliwości, ubrał się i przeszedł do pokoju, gdzie próbował znaleźć jakieś odpowiedzi w internecie. Niestety, poza kilkoma głupimi kawałami nie udało mu się nawet zbliżyć do rozwiązania zagadki.

Co robić? Co w takiej sytuacji można zrobić? Jedynym pomysłem jaki przyszedł mu do głowy był Darek. Darek z wykształcenia jest co prawda archeologiem, ale może będzie miał jakiś pomysł i rzuci jakieś nowe światło na jego problem. Sięgnął po telefon i zadzwonił. Nikt nie odebrał. Spróbował jeszcze raz, ale ponownie bezskutecznie.

Objął głowę dłońmi i zanurzył się w myślach. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że swędzi go skóra. Podrapał się, ale pomogło tylko na chwilę. Odchylił sweter tam gdzie mógł i zaczął się mocniej drapać. Co gorsza, zauważył, że tym razem, ubranie odchyliło się mniej niż gdy był w łazience. Sprawdził jeszcze raz i nie miał wątpliwości. Sweter przywarł do niego większą powierzchnią. Wcześniej, mógł odsłonić fragment lewej piersi. Teraz nie było na to szans. Co jest kurwa – szepnął. Teraz już się bał. Ponownie złapał za telefon i zadzwonił do Darka.

- No hej? Co tam? - Gdy usłyszał głos przyjaciela w słuchawce, poczuł ulgę.

- Stary musisz mi pomóc. Możesz do mnie wpaść?

- Teraz?

- Jak najszybciej.

- W tej chwili nie bardzo, ale mogę u ciebie być za jakieś półtorej godziny. Coś się stało?

- Stało się, ale powiem ci jak przyjdiesz.

- Nie możesz teraz powiedzieć? – dopytywał wyraźnie poddenerwowany Darek.

- Nie mogę. Proszę pospiesz się.

- Dobra, będę najszybciej jak dam radę.

- Dzięki, czekam.

\*\*\*

Gdy Mariusz usłyszał dzwonek do drzwi, natychmiast zerwał się z kanapy, na której przez ostatnie kilka kwadransów pograżał się w czarnych myślach. Darek na pierwszy rzut oka widział, że coś jest nie tak.

- Stary, wyglądasz okropnie. Co jest grane?

- Nie uwierzysz. Wejdz. – Mariusz otworzył drzwi i wpuścił przyjaciela do mieszkania.

Nie tracąc czasu, streścił mu poranne wydarzenia i zaprezentował swój problem, by przyjaciel mógł naocznie przekonać się w czym tkwi szkopuł. Co gorsza, sweter tym razem dał się odchylić jeszcze mniej niż wcześniej, co dobitnie świadczyło o wciąż postępującym procesie.

- Ale jak to się stało?

- No przecież mówiłem ci, że nie wiem. Po prostu obudziłem się rano i tak już było. Z tym, że teraz jest gorzej niż rano. Większa powierzchnia jest do mnie przyklejona. Tak jakby to rosło.

- Ale jak to jest możliwe? – Kolejne bystre pytanie Darka.

- Stary nie wiem! Miałem nadzieję, że jakoś mi pomożesz, a nie będziesz zasypywał głupimi pytaniami. – Frustracja Mariusza rosła.

- Przepraszam, ale słucham cię, patrzę na ciebie i staram się to jakoś ogarnąć. Sam chyba przyznasz, że brzmi to dosyć niedorzecznie.

- Dorzecznie czy niedorzecznie. Zaczynam się naprawdę bać. Kurwa!

- Dobra, spokojnie. Pokarz mi to jeszcze raz. Podwiń ten sweter.

Mariusz posłuchał i odchylił rąbek ubrania. Darek przyjrzał się jego skórze jeszcze raz. Tam gdzie łączyła się ona z wełną, czy czymkolwiek był ten materiał, wyraźnie było widać cienkie nitki, albo coś co z nićmi się kojarzyło. Wnikały one w naskórek niczym korzenie. Takie przynajmniej było pierwsze skojarzenie Darka. Sama skóra, im bliżej była materiału, tym bardziej była zaczerwieniona. Wyglądało to, co najmniej dziwnie i chłopak nie mógł sobie przypomnieć aby kiedykolwiek, o czymś takim słyszał, a już na pewno by kiedykolwiek coś takiego widział.

Sprawa była zaskakująca i obaj panowie starali się wymyśleć jakieś rozwiązanie. W końcu Darek postanowił działać.

- Dobra, wiem co zrobimy. Wezmę próbkę tego czegoś, razem z kawałkiem swetra i być może kawałkiem twojej skóry, bo nie wiem czy da się to tak łatwo oddzielić?

- Co?

- To co słyszałeś. Laboratorium, gdzie oddajemy próbki z wykopalisk powinno być jeszcze otwarte przez przynajmniej dwie godziny. Może uda mi się namówić kogoś by zrobił analizę. Jeśli będzie Magda, to szansa na to jest spora. Być może, uda się ustalić z czym mamy do czynienia, co da nam jakiś punkt zaczepienia do dalszego działania. Jeśli niczego się nie dowiemy, albo mimo zdobytej wiedzy nie będziemy w stanie znaleźć rozwiązania, pojedziemy do szpitala.

- Też myślałem o szpitalu, ale co ja bym im tam miał powiedzieć. Zresztą miałem nadzieję, że uda się znaleźć jakieś inne wyjście.

- I może się uda. Potrzebujemy tylko analizy, ale najpierw próbka. Daj woreczek i coś czym będzie można oderwać kawałek swetra. I pospieszmy się bo czas ucieka.

Przeszli do łazienki, gdzie było najlepsze światło. Na pralce położyli woreczek, pęsetkę, której Mariusz używał przy hobbistycznym sklejanu modeli i skalpel, którym wycinał poszczególne elementy z ramek. Darek by ułatwić sobie dostęp do pozyskania próbki odciął najpierw luźny kawałek swetra z jego bocznej części, zostawiwszy jednak swobodnie kilka centymetrów by było za co złapać i trzymając ten właśnie fragment, odciągając go napinając mocno skórę kolegi w miejscu, gdzie łączyła się ona z materiałem. Wełna oczywiście nie zdradzała żadnych objawów, jakoby miała się oderwać.

- Uważaj, teraz może trochę zabołec. – Ostrzegł Darek, po czym sięgnął po skalpel.

Nie puszczając materiału, naciął skalpelem napiętą skórę. Mariusz zasyczał, potem jęknął, ale nie prosił by przerwać, więc Darek nie tracąc czasu i nie wystawiając przyjaciela na próbę cięższą niż wymagała tego sytuacja, najszybciej jak potrafił naciął po bokach i z góry sweter razem ze skórą, uzyskując w ten sposób kwadrat mniej więcej dwa na dwa centymetry i szybkim szarpnięciem uzyskał materiał do badań. Mariusz zaciskał zęby z bólu, ale wytrzymał tę operację nie najgorzej.

- Gotowe, prawie jakbyś miał skaryfikację. – Zażartował niedoszły kroczy.

- Jasne, będę miał co pokazywać laskom.

- Marta na pewno się ucieszy.

- Na pewno. Dobra, leć z tym do laboratorium, a ja jakoś się tu opatrzę.

- Ok. Jak tylko uda mi się uzyskać jakieś wyniki, od razu do ciebie zadzwonię. Trzymaj się.

Darek włożył wycięty fragment pęsetą do woreczka i nie tracąc czasu wybiegł z mieszkania. Mariusz polał ranę wodą utlenioną i zakleił plastrem z opatrunkiem. Powinno wystarczyć, a nawet

musiało bo nic innego w domu nie miał. Pozostało mu czekać, a czas w takiej sytuacji dłuży się niemiłosiernie. W między czasie zadzwonił do Marty, ale nie powiedział jej nic o swoich problemach, choć nawet przez telefon zauważyła, że jest nieswój. Zrzucił to na karby niewyspania.

\*\*\*

Darek zdążył do laboratorium na godzinę przed zamknięciem i jak się okazało, miał szczęście. Magda była akurat na stanowisku. Była pierwszą osobą, którą poznał zaczynając pracę w instytucie archeologii i tak jakoś wyszło, że cały czas są ze sobą blisko. Ale żeby sobie nikt nic nie myślał, tylko na przyjacielskiej stopie. I całe szczęście, bo inaczej dziś nie mogliby pewnie na siebie patrzeć. W każdym razie dziewczyna zgodziła się zbadać przyniesioną przez niego próbkę i już po pół godzinie mieli pierwsze wyniki, ale były one tylko wstępem do dalszych badań. W efekcie musieli zostać w pracowni dwie godziny dłużej niż wynikało to z obowiązków Magdy, ale najważniejsze, że udało im się uzyskać konkretne informacje. Darek obiecał jej, że ma u niego dobry obiad i zadzwonił do Mariusza, że już do niego wraca.

\*\*\*

Mariusz w tym czasie siedział jak na szpilkach i nie za bardzo wiedział co ze sobą zrobić. Próbował oglądać telewizję i serfować w internecie, ale nie mógł na niczym się skupić. Skóra cały czas go swędziała, a sweter już właściwie cały przywarł do jego organizmu. Co gorsza, czuł jakby coś w niego wrastało. Gdy odebrał telefon od Darka, a ten powiedział mu, że już wraca, Mariusz cały czas do jego powrotu spędził pod drzwiami. Wreszcie gdy zobaczył go przez wizjer, otworzył mu zanim ten wszedł po schodach na jego piętro.

- I co? Czego się dowiedziałeś?

- Momencik, daj mi się rozebrać i usiądź. Zaraz wszystko ci opowiem. – Zdjął buty i przeszli do pokoju. Mariusz nie był w stanie usiąść, więc i Darek nie zajął miejsca na kanapie. – Dobra, to słuchaj. Zbadaliśmy próbkę, którą od ciebie pobrałem. Okazało się, że sweter masz zrobiony z wełny.

- Tyle to i ja wiem – rzucił zirytowany Mariusz.

- Wiem, że wiesz, ale słuchaj dalej. W próbce, poza wełną, znaleźliśmy duże nagromadzenie jakiegoś grzyba. Podejrzewam, że wełna z której zrobiony twój ciuch była nim zainfekowana. Być może jeszcze przed stryżeniem zwierząt. Znaleźliśmy też enzymy charakterystyczne dla piwa. Coś ci to mówi?

- Wczoraj jak byliśmy w barze, jakiś koleś oblał mi browarem plecy. Pewnie stąd.

- Pamiętam i też tak pomyślałem. Powiedziałem o tym Magdzie i teraz docieramy do sedna. Otóż Magda wysnuła teorię, być może błędną, ale dla mnie brzmi ona sensownie, że grzyb, który był w wełnie był w jakimś stadium uśpienia. Gdy gość oblał cię piwem, dostarczył pożywkę dla grzyba, co aktywowało jego wzrost. Wtedy zaczął się rozrastać i jednocześnie wrastać w twoją skórę. Stąd to połączenie.

- Co? Sugerujesz, że przyrósł do mnie jakiś chiński grzyb?

- Nie byliśmy w stanie sprawdzić czy to chiński grzyb, czy jakiś inny. Nie wiemy nawet, co to za gatunek. Po prostu, wszystko wskazuje na to, że jakiś gatunek grzyba ze swetra zaatakował twoją skórę. Stąd powstało połączenie, które nie pozwala Ci go ściągnąć.

- Aha i co niby mam z tym teraz zrobić. Połączyć się jakimś fungicydem czy jak? – Mariusz wyraźnie nie był zadowolony z wyników i teorii jakie przedstawił mu Darek.

- Myślę, że najlepiej będzie udać się do szpitala.

- Do szpitala?

- Do szpitala.

- I co niby mi tam na to poradzą?

- Nie wiem, ale to najlepszy pomysł jaki przychodzi mi do głowy. Jak chcesz to cię zawiozę.

- Do szpitala powiadasz. – Mariusz rozejrzał się po pokoju. – No dobra. Chyba nie mam wyjścia.

- No i to jest prawidłowa postawa. Zgarnij, co będzie ci potrzebne i jedziemy.

\*\*\*

Droga nie trwała długo. Więcej było oczekiwania na przyjęcie, a czas dłużył im się niemiłosiernie. Darek nudził się jak mops, Mariusz co chwilę się gdzieś drapał. Wreszcie odczekali swoje i udało im się

dostać do izby przyjęć. Lekarz wysłuchał relacji Darka, popatrzył na jego kolegę, spróbował podnieść sweter, pobrał jakieś próbki materiału, krwi i zrobił podstawowe badania. Nie bardzo wiedział, co zrobić dalej więc wezwał innego doktora i razem, po krótkiej naradzie postanowili skierować Mariusza na oddział chorób zakaźnych. Tam podobno mieli wiedzieć, jak się z nim obchodzić.

Korzystając z chwili, zanim fartuchy wypisały wszystkie potrzebne papierki, Mariusz podziękował Darkowi za pomoc i odesłał go do domu. Darek obiecał, że wpadnie następnego dnia i jeśli chce, może w jego imieniu powiadomić Martę. Mariusz postanowił jednak sam zawiadomić dziewczynę o swoim losie.

Gdy znalazł się na oddziale, pielęgniarka wskazała mu pokój, w którym jak się okazało był sam, co jak na standardy polskiego szpitala było... co najmniej zaskakujące. Chociaż z drugiej strony, być może na zakaźnym to standard. Ubrał spodnie od piżamy i nie bardzo wiedział co zrobić z górą. Swetra przecież nie zdejmie. Po chwili wróciła ta sama piguła i kazała mu połknąć jakieś tabletki. Gdy zapytał na co to, powiedziała tylko, że zalecenie lekarza. Przyniosła też biały kaftan, który kazała mu założyć na przyrośnięty sweter. Poinformowała go przy okazji, że przynajmniej do rana ma spokój, bo bez wyników i tak nie można zrobić nic więcej. Te powinny być następnego dnia i podobno laboratorium robi co w ich mocy, by dowiedzieć się o jego przypadłości jak najwięcej.

Mariuszowi nie pozostało nic innego jak się położyć. W sumie było już późno, a skóra przestała go swędzieć. Najwyraźniej tabletki, które połknął przyniosły jakiś efekt. Po kilku zmianach pozycji, którymi próbował jakoś dopasować się do szpitalnego łóżka, w końcu udało mu się zasnąć.

\*\*\*

Pielęgniarka, która robiła poranny obchód nie miała dobrego dnia. Najpierw spóźniła się na autobus, którym codziennie dojeżdża do szpitala. Potem oblała się poranną kawą. A teraz jeszcze musi walczyć z drzwiami. Wczoraj późnym wieczorem przyjęto na oddział zakaźny nowego pacjenta, który leży w tym właśnie pokoju. Ale drzwi nie chciały ustąpić, a przecież nie ma w nich zamka. Pielęgniarka naparła na nie mocniej, opierając na nich cały ciężar



swojego ciała i w końcu udaje jej się uchylić skrzydło na kilka centymetrów. W utworzonej szparze zobaczyła na podłodze coś dziwnego. Coś, co skojarzyło jej się z mchem, ale przecież mech nie rośnie na często odkażanej podłodze z płytek ceramicznych. Uderzyła drzwi ramieniem z całą siłą na jaką było ją stać. Powstała wcześniej szpara, z wyraźnym szuraniem jakby coś było pod drzwiami, powiększyła się jeszcze bardziej. Na tyle by pielęgniarka mogła przez powstałą szczelinę wejść do pokoju. To, co zobaczyła kompletnie ją zszokowało. Mech, który widziała na podłodze pokrywał także ściany i sufit. Im bliżej był łóżka tym był większy i gęstszy. Tam gdzie jeszcze wczoraj leżał nowoprzyjęty pacjent, była gruba warstwa bujnego grzyba, który rozchodził się na wszystko, co było w okolicy. Szafka, rama łóżka, stojak na kroplówkę. Wszystko było pokryte grubym dywanem brązowej grzybni, która pod wpływem powiewu powietrza z korytarza pokryła się chmurą zarodników. Kobieta zaczęła krzyczeć.

Trzydzieści sześć ciał. Trzydzieści sześć trupów zбитych w jedną bezkształtną masę flaków, kończyn, rozerwanych korpusów, zmiżdżonych głów, płatów skóry i dziesiątek litrów krwi. Płuc, serc, mózgow i reszty organów, które raczej nie powinny leżeć poza ciałem. Ale dla nich nie ma to już znaczenia.

Trzydzieści sześć ciał i ona, jeszcze żywa. Trzydziesta siódma i ostatnia. Cel zostanie osiągnięty, choć trochę później niż on się tego spodziewał. Polowanie okazało się bardziej czasochłonne. Albo może oprawianie ofiary. Proces który z czasem przynosił mu coraz większą satysfakcję przez co chciał by trwał coraz dłużej. Czas przestawał mieć znaczenie, a celebrowanie festiwalu bólu stała się priorytetem. Krzyk, pot, łzy i krew.

Ona. Ofiara. Ostatnia. Przywiązana do krzesła. Zwykłego, drewnianego, w samym centrum stosu ciał. Ciemna piwnica, w której jedynym źródłem światła jest zakurzona żarówka, która tylko delikatnie rozświetla otaczający ją mrok. Knebel tłumi łkanie, ale nie powstrzymuje mdławego odoru gnijącego mięsa. Ludzkich zwłok rozkładających się od Bóg wie jak długiego czasu. Smrodu odbierającego oddech i wyciskającego łzy. Działającego w pierwszej chwili niczym cios obuchem. Ona już nie ma nadziei, że wyjdzie z tego żywa. Chciałaby już umrzeć, nie cierpieć więcej, ale na to się nie zanoszą. Pociąga nosem, płacze.

On spogląda na swoją ofiarę. Nie myśli o niej jak o człowieku. Jest tylko zwierzyną. Mięsem. Środkiem do celu.

Ostrzy nóż. Ręcznie żeby czuć każdy ruch. Wspomina ostatnie trzy lata, przez które stał się kimś zupełnie innym. Z potencjalnej zwierzyny przeistoczył się w łowcę. To był czas, który go zmienił wewnątrz. Z zewnątrz pozostał taki sam. Pozory są bardzo ważne. Pozory pozwalają się ukryć i chować w cieniu. Trzymają na

uwięzi jego pragnienia i nie pochamowaną rządzę mordu. Kiedyś był tylko cel, a morderstwa środkiem do niego. Dziś nie jest pewien, co jest dla niego ważniejsze. Ale koniec jest już bliski, a jego dzieło zostanie ukończone.

Cel. Gdyby nie Internet i jego mroczne zakamarki, nadal żyłby w nieświadomości. Na szczęście dotarł tam, gdzie większość nigdy nie dotrze. A jeśli nawet, to nikt z nich nie przekroczy granicy, której on też się obawiał. Obawiał się, ale szept gdzieś w głębi jego głowy przekonał go, że to jest ścieżka, którą powinien podążać. To jest droga, której zawsze szukał i która wreszcie mu się objawiła. A teraz jest u progu tej podróży, którą znaczą krew, krzyki, jęki i fragmenty ciała wypełniające wnętrze piwnicy. Jego własnego sanktuarium.

Ona go widzi. Stoi obok stołu pod ścianą, na którym przerzuca jakieś przedmioty. Do jej uszu dobiega szcęk metalu. Każdy taki dźwięk jest jak grom rozrywający jej duszę. Mimo, że pogodziła się ze swoją sytuacją, nie może wyzbyć się strachu. Tak samo jak nie może przestać płakać.

Słyszy jej szloch. Pociąganie nosem. Wprawia go to w dobry nastrój i specjalnie przeciąga tę chwilę. Mógłby już zacząć, ale nie chce by wszystko skończyło się zbyt szybko. Z jednej strony, chciałby już skończyć i przekonać się, czy to o czym czytał jest prawdą. Czy mroczny gość przybędzie na jego wezwanie. Czemu nie? W końcu spełnił wszystkie warunki. Ściany piwnicy przesiąknięte są bólem i krzykami ze zdartych do krwi gardeł. Ach, jak oni krzyczeli, wrzeszczeli, darli się złorzecząc i błagając o litość. O szybką śmierć. Mury wchłonęły aromat śmierci, a ten z pozostałości ludzkich szczątków wypełnia całą przestrzeń. Bierze głęboki wdech. Tak, czuje go wyraźnie mimo, że przecież przebywa w tym pomieszczeniu już od dłuższego czasu. Słodki, ciężki, mdławy niczym dalekowschodnie kadzidełko mające odstraszyć złe duchy z domowych pomieszczeń. Tutaj jednak, chce by było odwrotnie. Ten aromat ma złe duchy przyciągnąć by tłoczyły się dookoła. A zwłaszcza jednego, którego autentyczność ma zamiar niedługo sprawdzić. A jeśli nie przybędzie? Jeśli okaże się, że wszystko było fałszem? Trudno, będzie zabijał dalej, a kiedyś może sam zostanie demonem. Pierwszym w orszaku śmierci by taplać się w posoce

ofiar. Teraz jednak, czas na wprawienie noża w ruch, niech tnie ciało, a wewnątrz wypełni świeża krew.

Widzi jego ruch. Jak się odwraca i podchodzi do niej. W ręku trzyma nóż. Wielki, z doskonale czystym ostrzem i świeżo wyszlifowanym brzegiem. Słyszała jak to robił. Jak osetka szorowała po metalu i drażniła każdy nerw jej organizmu. Teraz ma go przed sobą. Mroczny cień trzyma go w ręce, a żarówka będąca za nim rozświetla jego postać kryjąc jednocześnie szczegóły. Pochyla się nad nią i bierze głęboki wdech.

Czuje pot, strach i widzi jak ona odsuwa od niego swoją głowę. Przechyla ją w bok, wbijając wzrok w pokrytą kawałkami ciał podłogę. Widzi jak na jej szyi nabrzmiewają żyły. Nie może się powstrzymać i gryzie ją. Nie za mocno, nie na tyle by się wykrwawiła, ale wystarczająco by poczuć smak krwi w ustach. Wyraźny, metaliczny posmak. Chwilę trzyma go w ustach i przełyka. Stróżka świeżej, czerwonej posoki spływa jej w dekolt.

Czy on ją ugryzł? Boże, on ją faktycznie ugryzł. Kobieta czuje jak coś ciepłego co spływa jej po szyi. Strużka mija obojczyk i wpada między piersi. Tego się nie spodziewała, ale szok szybko mija, a jej ciałem szarpie spazm bólu.

Widział jak się szarpnęła. Usłyszał jej jęk. Wpadł na pomysł czegoś, czego wcześniej nie próbował, ale uznał, że to może być niezły sposób na zakończenie drogi. Krzesło, do którego ją przywiązał jest z solidnego drewna. Ma grube siedzisko i postawne nogi oraz pokaźne oparcie. Tak, powinno wytrzymać.

Widzi jak odchodzi. Ból z boku szyi promieniuje jej do barku. Nie jest może bardzo silny, ale wyobraźnia robi swoje. Nie widzi swojej rany, przez co mocno ją wyolbrzymia. Ale on odszedł. Ona wie, że nie na długo. Widzi jak otwiera szufladę i coś z niej wyjmuje. Sięga na półkę po metalową puszkę i coś z niej wysypuje. Rozlega się metaliczny brzęk. Szuranie, tarcie metalu o metal. Wraca. Z każdym krokiem jego sylwetka robi się większa. Nie ma już noża. Przynajmniej ona go nie widzi. Widzi za to coś innego. Nie wie, co o tym myśleć. W jednej ręce trzyma młotek. Myśli, że może jednak skończy się to szybko. Może roztrzaska jej głowę jednym silnym

uderzeniem i to wszystko stanie się przeszłością. Patrzy jednak na drugą rękę i widzi w niej gwoździe. Dłgie, solidne gwoździe.

Odwiązuje jej rękę i siłuje się z kobietą, która próbuje mu ją wyrwać. Jest za słaba by to zrobić, ale rozpacz dodaje jej energii. Nie na długo. Po krótkiej szamotaninie opada z sił i się poddaje. On przysuwa jej dłoń do bocznego brzegu siedziska. Stopą odzianą w skórzane buty o grubej podeszwie przydeptuje jej nadgarstek o mało nie miażdżąc drobnych kości. Pochyla się przykładając gwóźdź do wierzchu jej dłoni i bierze zamach. Bach! Metal przebija jej ciało miażdżąc po drodze kości. Kobieta krzyczy, drze się ile sił w płucach. On bierze kolejny zamach i uderza jeszcze raz, po czym robi to ponownie. Przygląda się efektowi swojej pracy i zadowolony przechodzi z drugiej strony krzesła.

Ona widzi świat przez łyzy. Ciężko oddycha łapczywie wciągając powietrze do płuc. Czuje ruch i dostrzega jak mężczyzna pojawia się po przeciwnej stronie. Znowu wyszarpuje jej rękę, ale ona tym razem nie ma siły walczyć. Czuje rozpacz i żółć podchodząca jej do gardła na samą myśl o ponownym bólu, który ją czeka. Prawa dłoń rwie ją niemożliwie paraliżując właściwie całą rękę. Teraz czuje przydepnięcie na lewej dłoni oraz wyraźne ukłucie. On znowu bierze zamach, a jej serce galopuje jak szalone. Sekundy trwają godzinami, tętno szaleje, krew zamarza w jej żyłach. Czeka na nieuniknione i wreszcie słyszy trzask pękającej kości i rozszczepiającego się drzewa. Ból ponownie szarpie jej ciałem, a wrzask wyrwa się z krtani. Nie chce dać mu tej satysfakcji, ale nic nie może poradzić. To tak strasznie boli.

Tym razem trafił w kość środkowego palca i poczuł jak gwóźdź się po niej nieco ześliznął, ale siła uderzenia była na tyle duża by ją złamać. Uderzył jeszcze raz, po czym odwrócił się i wycofał o dwa kroki by przyjrzeć się swojemu dziełu. Tak, prawie dobrze. Odrzucił młotek i z tylnej kieszeni wyjął nóż. Podeszedł i zerwał do reszty jej i tak mocno nadszarpniętą bluzkę, odsłaniając piersi. Złapał za sutek i jednym wprawnym ruchem odciął go. Kobieta krzyknęła.

- Już dobrze, to już prawie koniec.

To były pierwsze słowa jakie od niego usłyszała. Od początku kiedy tylko trafiła do tej koszmarnej piwnicy milczał. Nigdy nic nie

powiedział, aż do teraz. To musiał być faktycznie już prawie koniec. Jej głowę wypełniła gonitwa myśli. Jak to zrobi, czy będzie bolało. Rozważanie ostatniego ciosu przeplatała ze wspomnieniami ze swojego życia i ambicjami, których nie udało jej się spełnić. Ale czy to miało teraz jakikolwiek sens.

Odszedł od niej na kilka kroków i znowu się jej przyglądał. Uznał, że tak jest dobrze. Wystarczy. Wreszcie może zabrać się za to, na co tak długo czekał. Trzydziesta siódma ofiara musi zostać żywa. Przynajmniej przez jakiś czas, choć tak naprawdę nie ma pojęcia co dalej z nią będzie. W każdym razie musi być złamana. To mu się udało, nie miał co do tego wątpliwości. I musi tlić się w niej iskierka życia, która będzie darem na niego. Tego, którego zamierza przyzwać. Oto nadszedł kres jego wędrówki.

Uniósł głowę do góry i rozłożył ramiona na boki. Widziała jak stoi nieruchomo, jak jakiś posąg z piekła rodem. Potwór, socjopata i najpodlejsza istota jaką kiedykolwiek widziała. Dobiegł ją jakiś szmer. Początkowo nie wiedziała, co to za dźwięk, ale najwyraźniej dobiegał od jej oprawcy. Szept, który powoli się wzmacniał. Słyszała go wyraźnie, ale nie była w stanie rozróżnić słów. Jeśli było to w ogóle słowa.

Inwokację powtarzał sobie w myślach milion razy. Tekst, odnaleziony na mrocznych łamach sieci. Teraz wreszcie mógł wypowiedzieć go głośno, a z każdym słowem rosło w nim podniecenie, napięcie i radość. Płynny potok słów wylewał się z niego wartkim strumieniem, niczym krew z przerwanej tętnicy. Tak, to porównanie mu się spodobało. Słowo za słowem, zdanie za zdaniem w niezachwianym rytmie wypełniało wnętrze piwnicy i wydawało się nie ulatniać. Czuł jak każdy wyraz zostaje tutaj i wzmacnia niesamowitą atmosferę tego pomieszczenia. Coś gęstnieje w mroku? Być może tylko tak mu się wydaje. Być może to zwykły majak jego maksymalnie skupionego umysłu, a może faktycznie coś tam się rodziło. Demon, czart, duch zagłady, który stanie się jego panem, powiernikiem i być może mistrzem w mrocznej nauce.

Inwokacja była długa i skomplikowana. Czuł już zmęczenie, ból wkradał się w jego rozłożone ramiona, ale nie mógł przerwać.

Jeszcze tylko chwila. Jeszcze odrobina wytrwałości i wreszcie stanie się nieuniknione.

Ostatnie słowa wypluł z siebie ostatkiem sił, po czym upadł na kolana. Barki rwały go jakby ktoś próbował je wyrwać. Atmosfera była gęsta, że jakby chciał mógłby ją kroić. Ponownie sięgnął po nóż, który upuścił wcześniej przed sobą i wyciągnąwszy lewą rękę przed siebie, jednym, pewnym, można by powiedzieć wystudiowanym ruchem, przeciął wewnętrzną stronę dłoni. Nie czuł bólu, ale zacisnął pięść. Patrzył jak krew znajdowała z niej ujście i skapywała na brudną podłogę piwnicy, gdzie mieszała się z brudem i zaschniętą posoką pozostałych jego ofiar.

Nasłuchiwał, ale nic się nie działo. Czyżby to był fake. Brał co prawda taką możliwość pod uwagę, ale nigdy na serio. To nie mogło być kłamstwo. Nie po tym wszystkim co zrobił. Jego droga nie może się skończyć ot tak, bez osiągnięcia celu. Ale nic się nie działo. Cisza.

Cisza, aż dzwoniła kobiecie w uszach. Przestała szlochać i oczekiwała tego co ma nadejść, ale nic nie nadchodziło.

Czas jakby się zatrzymał. Patrzył na swoją dłoń i coraz wolniej skapującą z niej krew. Nic. Czyli to tak ma się skończyć? Tak po prostu? Jednak nie! Coś słyszy. Bulgotanie? Unosi wzrok na dziewczynę i widzi, że jej twarz wykrzywia grymas bólu, przerażenia i zaskoczenia. Groteskowa maska, która robi się coraz większa. Ale jak to możliwe? Nagle, jej lewe oko nienaturalnie się wybałusza, a potem jej głowa w fontannie krwi pęka na dwie części. Kawałki mózgu i krople krwi ochlapują jego twarz. Jej ciało jest rozdzierane dalej, jakby ktoś w niej rósł. Widzi jej okrwawione żebra, złamane, pogruchotane, oddzielone na dwie części przez proces, który trwa tylko chwile, mrugnięcie oka, ale wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Jej skóra pęka dalej, pod mostkiem, na brzuchu, w kierunku łona. Dziwnie jest się temu przyglądać, ale ten widok go hipnotyzuje. Kobieta już nie przypomina człowieka, a bezkształtny kawał rozerwanego mięsa. Nagle z głośnym trzaskiem pęka krzesło, do którego ją przybił. Ten dźwięk go otrzeźwia. Zrywa się na równe nogi i patrzy na niespodziewany spektakl, jednak nic nie widzi. To znaczy, nic poza fragmentami ciała. Jej ciała, które rozerwane na

dwie nierówne części leży na stosie wcześniejszych, starszych zwłok wśród których ją posadził.

A może jednak coś widzi. Cień, dym, mgłę? Coś niewyraźnego i ulotnego. Trudnego do jednoznacznego stwierdzenia.

Wtem jego umysł zalewa fala myśli, która jest jak rzeka przerywająca tamę. Krzyczy z bólu i z paniki. Jego umysł jest jak papierowa zaporą, na drodze rozpędzonej, wzburzonej fali niepochoamowanej wody. Nie panuje nad sobą. Rękoma obejmuje głowę jakby chciał ją zmiażdżyć. Tsunami szeptów zalewa jego świadomość, ale nic z tego nie rozumie. Albo prawie nic. Pojedyncze słowa, które w bólu, który go ogarnia nie mają znaczenia. Chce żeby to ucichło, żeby przestało, ale choć wydaje się to niemożliwe, chaos w jego głowie tylko się wzmacnia. Rośnie z sekundy na sekundę. Wydaje mu się, że wypełnia każdą wolną przestrzeń i zaraz rozerwie mury pomieszczenia. Kości jego czaszki na pewno. Zatacza się, gubi orientację, nie wie gdzie jest. Napotyka przed sobą coś twardego. Uderza w to głową raz, drugi, trzeci. Czwarte uderzenie zwała go z nóg, ale nie traci przytomności. Tarza się po podłodze. Uderza w coś bokiem. Zatrzymuje się, ale nie na długo. Coś szarpie go za rękę, czuje jak staw barkowy się poddaje, pęka kość przedramienia. Kolano wygina się w drugą stronę. Ucho zostaje zerwane niczym kawałek samoprzylepnej taśmy. Ból, jedna wielka i gęsta niczym kiesel fala bólu zalewa jego ciało. Żebra zapadają się w klatce piersiowej przebijając płuca. Usta wypełnia mu spieniona krew. Dławi się i krztusi, ale nie umiera. Czuje każdy nerw. Każdy pęczniejący bólem neuron. Coś go rozrywa na pół. Rozdziera niczym kartkę papieru, aż do... zapadnięcia ciszy.

Spokój. Gdzieś w kącie kapie krew. Ciemność wraz z zapadającym zmrokiem wypełnia piwnicę w samotnym domku na odludziu. W tym, do którego za dwa i pół miesiąca włamie się bezdomny szukający schronienia przed zimnem. Poczucie smród gnijącego mięsa, zaduch śmierci. Gdzie wezwana policja znajdzie trzydzieści osiem rozczłonkowanych ciał. Wiele w stanie rozkładu bądź zniszczenia niepozwalający na identyfikację. Bez winnego, bez podejrzeń, z całą górą trupów.



# Apka

Piotrek wybierając się na wakacje, potrzebował jakiejś fajnej aplikacji, która byłaby mu pomocna w odnajdowaniu ciekawych miejsc. W końcu chciał zwiedzać dziewicze dla niego tereny. Uznał więc, że warto byłoby mieć pod ręką pomoc, która poprowadzi go tam, gdzie znajdzie coś ciekawego. Gdzieś, gdzie będzie mógł zobaczyć coś interesującego, gdzie będzie mógł się zabawić lub gdzie będzie mógł dobrze zjeść. Może nie do końca interaktywny przewodnik, ale raczej taka forma specjalistycznego GPSu, który w zależności od jego zachcianki, wskaże mu do niej drogę.

Google Play jest takim trochę śmietniskiem. Zanim do niego wszedł, starał się znaleźć w sieci jakieś polecane aplikacje, ale nic z tego nie wyszło. Pozostał oficjalny sklep dla telefonów z Androidem, ale wertowanie jego zasobów, gdy nie wchodzisz tam w celu pobrania konkretnego programu, wymaga sporej cierpliwości. Zanim znalazł to czego szukał w wyszukiwarce wpisał wiele haseł, przemiział wiele stron z wynikami i przeczytał dziesiątki opisów i komentarzy. W końcu trafił na coś, co wyglądało obiecująco. Zdziwił się, że na karcie programu nie było żadnych ocen ani opinii użytkowników, ale opis brzmiał bardzo sensownie i wynikało z niego, że tego właśnie szuka. Postanowił go sprawdzić. W najgorszym wypadku straci kilka minut na pobranie, zainstalowanie i zapoznanie się z nowym softem. Zaakceptował (bez wnika w szczegóły, bo i tak nikt tego nie czyta do końca) dostępny jakich potrzebowała aplikacja i po chwili mógł się przekonać, że trafił w sedno.

Ta apka odmieniła jego życie. Początkowo podchodził do jej wyników dość nieufnie, ale szybko przekonał się, że jej podpowiedzi są w stu procentach trafne. Po tygodniu nie potrafił wyobrazić sobie jak do tej pory mógł bez niej funkcjonować. Obsługa była banalna. W polu celu wystarczyło wpisać na co ma się ochotę, dosłownie jeden

wyraz, zatwierdzić i po sekundzie na ekranie pojawiał się dokładny adres wraz z trasą dojazdu. Nigdy nie musiał ponawiać wyszukiwania. Pierwsza odpowiedź, zawsze była satysfakcjonująca. Powiedzmy, że Piotrek jechał do nowego miasta. Nigdy wcześniej tam nie był, nikogo tam nie znał, więc ciężko było mu trafić w ciekawe miejsca. Pierwsze co wyszukiwał to nocleg. W odpowiedzi dostawał niezły hostel w doskonałej lokalizacji za niewielkie pieniądze. Kolejne zapytanie to obiad. Adres niedrogiej, ale klimatycznej i bogatej w doskonałe jedzenie knajpki, pojawiał się na jego ekranie. Czego by nie potrzebował, było w zasięgu ręki i zawsze na jego kieszeń. Nigdy się nie zawiódł.

Jedyne co go dziwiło w tym programie, to jego darmowość. Skoro pobrał go bez uiszczania żadnej opłaty, to spodziewał się wyskakujących od czasu do czasu reklam. Tymczasem przez prawie dwa lata używania aplikacji nie widział ani jednego banneru, nie odpalił mu się ani jeden reklamowy filmik, ani nie przewinęła się nigdzie zachęta do dobrowolnego przelania dobrowolnej kwoty na rzecz rozwoju oprogramowania. I choć początkowo trochę go to niepokoiło, to z czasem przywykł i olał sprawę. Bo nad czym tu sobie łamać głowę. Doskonała darmowa aplikacja, bez upierdliwych reklam, to przecież ideał.

No ale w końcu przyszedł moment, kiedy musiał za korzystanie z niej zapłacić.

Było już grubo po północy. Po obaleniu kilku piwek, lekko zachwianym krokiem wracał z krakowskiego rynku do swojego miejsca noclegowego. Nawiasem mówiąc, w Krakowie był pierwszy raz i miasto zrobiło na nim olbrzymie wrażenie. Zwiedzał je już drugi tydzień i co prawda powoli kończyły mu się atrakcje, ale i tak nie miał go dosyć. Coś w klimacie tych starych, brukowanych uliczek go urzekało. Szczególnie, że jesień gwarantowała mniejszy natłok turystów, a o dziwo długo utrzymująca się sprzyjająca aura, zachęcała do korzystania z uroków miasta.

Noc była ciepła. Alkohol przelewający się w jego żyłach rozpiął mu kurtkę i kilka górnych guzików koszuli, a gdzieś w dali między opustoszałymi uliczkami, zegar wybił trzecią w nocy. Wtedy właśnie natknął się na eleganckiego jegomościa, ubranego w długi czarny

płaszcz i kapelusz, który zatrzymawszy go wpierw i położywszy mu rękę na ramieniu, szepnął mu do ucha.

- Jeszcze trzy dni. Wykorzystaj je jak najlepiej, bo twój czas dobiega końca – po czym stukając obcasami oddalił się w boczną uliczkę, na końcu której skręcił w lewo i zniknął Piotrowi z oczu.

Ten patrzył jeszcze przez chwilę w tamtym kierunku, po czym pogroził mu pięścią, wykrzyknął – chyba twój, ty... ty cholerny hipsterze – splunął na chodnik i zapominając szybko o zaistniałej sytuacji, kontynuował swą podróż do bezpiecznego portu.

Zapowiedziane przez nieznanego trzy dni minęły szybko. Piotr zbierał się już powoli do wyjazdu. Z hostelu miał się zwinąć następnego dnia do trzynastej. Walizkę już spakował, pokój ogarnął na tyle, by sprzątaczką, która tam jutro wejdzie nie miała wrażenia, że zajmował go jakiś prostak, w końcu był inżynierem więc i kultury odrobinę mieć mu wypadało, a to co pozostało do zebrania spokojnie zbierze rano. Szczególnie, że nie było tego dużo. Szczoteczka do zębów, ręcznik i kilka szpargałów, które wystarczy wrzucić do jednej reklamówki i z głowy.

Jako, że był to ostatni jego wieczór w Krakowie, postanowił kupić sobie jakąś pamiątkę. Z każdego miejsca, które zwiedzał, przywoził sobie jakiś drobiazg, który przywoływał wspomnienia. Zawsze szukał czegoś niedużego i jak najmniej kiczowatego, ale na tyle charakterystycznego by od razu wiadomo było skąd pochodzi. A gdzie kupić coś interesującego? Nie miał pojęcia, ale wiedział od czego zacząć poszukiwania. Wziął do ręki telefon, włączył swoją ulubioną aplikację i wpisał hasło „suwenirki”. Program rozpoczął swoją magię. Być może na podstawie wskazań GPSu, a być może na podstawie zaszytych w jego kodzie zaklęć, wyświetlił adres i na małej mapce, wskazał do niego najkrótszą drogę. Piotr był nieco zdziwiony odległością, bo spodziewał się, że odnalezione miejsce będzie bliżej, w końcu na rynku takich miejsc jest pewnie zatrzęsienie, ale jako, że aplikacja nigdy go jeszcze nie zawiodła, nie miał powodów by jej nie ufać. Poszedł do kiosku, kupił dwa bilety i wsiadł do zasugerowanego przez oprogramowanie tramwaju, którym po dwudziestu minutach dotarł prawie na miejsce. Z przystanku, miał jeszcze dziesięć minut spaceru, aż dotarł do celu. W tej części

miasta jeszcze nigdy nie był, co nie było dziwne zważywszy, że okolica wydawała się mało atrakcyjna turystycznie. Jednak stare kamienice i wąska, rozświetlona mdławymi latarniami uliczka miała swój klimat, choć raczej posępny. Wskazówki na zegarku docierały do dziewiętnastej, ale sklep, jak wynikało z informacji w aplikacji, czynny był do dwudziestej pierwszej, więc powinien spokojnie się wyrobić.

Do celu trafił bez problemu. Gdy stanął przed niczym nie wyróżniającym się szyldem z napisem „Suweniry” zrozumiał, że jest na miejscu, choć witryna nie sprawiała jakiegoś szczególnie zachęcającego wrażenia. Sprawdził jeszcze adres w aplikacji i spojrzął na numer budynku. Wszystko się zgadzało. Nie pozostało mu nic innego jak wejść do środka, a moment przekroczenia przez niego progu zasygnalizował dźwięk dzwonka, zawieszzonego nad drzwiami i trąconego ich skrzydłem.

W środku było trochę jak w antykwariacie. Przydało by się więcej światła i nieco świeżego powietrza, ale z drugiej strony nie zamierzał zabawić tam długo, więc nie zwlekając zaczął przypatrywać się zalegającemu na regałach towarowi. A było tam wszystko. Od przewodników po mieście, przez figurki smoków, rycerzy na kubkach, pocztówkach i flagach kończąc. Cokolwiek kupujący by sobie nie wymyślił, to coś na pewno gdzieś tam było.

Gdy Piotr rozważał co by tu wybrać, kątem oka zarejestrował jakiś ruch. To sprzedawca wyszedł z zaplecza i stanął za ladą. Zauważywszy klienta powiedział mu dzień dobry i zajął się swoimi sprawami. Choć chłopak poświęcił mu tylko chwilę, miał wrażenie, że skądś zna tego gościa. Był prawie pewien, że gdzieś już go widział. Nie miał jednak ochoty, ani czasu zastanawiać się nad tą kwestią. Chciał wybrać pamiątkę i zawinąć się jeszcze ostatni raz przed wyjazdem na Stary Rynek.

Ale co tu wybrać? Stwierdził w końcu, że skoro jest w Krakowie, to weźmie coś ze smokiem. To chyba najlepsze skojarzenie z tym miastem, ale wahał się między figurką, a rzeźbionym kubkiem. W końcu zdecydował się na to drugie. Sięgnął po towar i podszedł do kasy.

- Poproszę – powiedział stawiając naczynie na ladzie. Sprzedawca podniósł wzrok i spojrzał na niego.

- Mała pamiątka na drogę? – powiedział nie ruszając się z miejsca.

- Tak jakby. 15 zł? – zapytał.

- Gratis. Dopiszemy do rachunku.

- Jakiego rachunku? – Piotr poczuł się jakoś nie pewnie.

- Czas prawie minął. Trzy dni temu przypomniałem panu, o nadchodzącym terminie rozliczenia. – Sprzedawca nie spuszczał wzroku z Piotra.

- Jakiego rozliczenia?

- Za aplikację.

- Słucham?

- Za aplikację, z której korzysta pan od sześćset sześćdziesięciu sześciu dni. No, prawie sześćset sześćdziesięciu sześciu dni bo brakuje nieco ponad trzech godzin. Pobierając ją zgodził się pan przecież na cyrograf, a czas kontraktu za chwilę minie. Mam nadzieję, że program spełnił pana oczekiwania. A kubek może pan wziąć gratis. W prezencie.

- Cyrograf? Jaki cyrograf? Nie rozumiem o czym pan mówi. Nie zgadzałem się na żaden cyrograf. – Piotr czuł się dziwnie. Jakby krew stanęła mu w żyłach przez co ciało było jak wmurowane w ziemię, ale jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Rozszalała gonitwa myśli sprawiła, że zaczął się pocić.

- Zawsze to samo! – Mężczyzna podszedł do lady, a jego cień jakby urósł, zdawał się wypełniać całą ścianę za nim. Po chwili jednak zachwiał się i zmałał. – Wy, ludzie – to słowo zostało bardziej wyplute niż wypowiedziane – zawsze reagujecie tak samo. Nie zgadzałem się, niczego nie podpisywałem. Jaki cyrograf? Co mi tu pan? Ano cyrograf. Gdy pobierał pan aplikację z internetowego sklepu wyskoczyło panu powiadomienie o potrzebnych dostęпах? Wyskoczyło. Jednym z nich była zgoda na oddanie duszy po upływie podanego tam czasu. Zaakceptował ją pan. Pewnie nie czytając nawet, co w takiej sytuacji jest zachowaniem typowym. Nikt tego nie czyta. Ale to już nie jest mój problem. Umowa została

zawarta. My wywiązaliśmy się ze swoich zadań. Teraz przyszła kolej na pana.

- Co, co pan... – Chłopak chciał powiedzieć coś jeszcze, ale słowa ugrzęzły mu w gardle.

- Co, co pan? Widzę, że jest pan niezmiernie zdziwiony. Taki zaskoczony, że aż mogłoby mi się pana zrobić żal. Gdyby to tylko choć odrobinę mnie obchodziło. Niestety, nie obchodzi. Nic, a nic. Zresztą... - nie dokończył, bo jego rozmówca odwrócił się i szybkim krokiem, trzaskając przy okazji drzwiami, wyszedł.

Piotr szedł przed siebie, bez oglądania się do tyłu. Pogoń myśli w jego głowie trwała w najlepsze, pobudzając ciało do coraz szybszego tępa. W końcu puścił się biegiem w kierunku tramwajowego przystanku. Szczęście mu dopisało i zgrał się idealnie z rozkładem jazdy. Właściwie nie musiał czekać na tramwaj, bo ten podjechał równo z jego dotarciem do wiaty. W połowie pusty wagon obfitował w wolne miejsca, więc zajął pierwsze z brzegu. Nie wiedział co myśleć o tym, co go przed chwilą spotkało. Co to był za wariat? Że też świat takich nosi.

Gdy wysiadł przy rynku, trochę już ochłonął. Odetchnął głęboko i by zapomnieć zupełnie o niedawnych nieprzyjemnościach i dziwnym sprzedawcy, wstąpił do pierwszego baru jaki mu się nawinął. Piwo i chwila w obcym towarzystwie rozwiązała jego troski, a gdy jego lekko podchmielony umysł uspokoił myśli, postanowił wracać do domu. Mógł pójść z buta, ale czuł się na tyle wyczerpany, że na te dwa przystanki wsiadł do komunikacji miejskiej.

\*\*\*

Gdy tramwajarz dojechał na pętlę, która była jednocześnie ostatnim przystankiem, wiedział już, że w drugim wagonie ma śpiocha. Tacy często się trafiali. Koleś popije, pobawi się, a potem wsiada do tramwaju i oczka mu się przymykają. A kto ma nieszczęście wybudzić go ze snu? Oczywiście maszynista. Powinni im dopłacać za takie usługi. Oby ten pasażer chociaż się nie awantuował, bo i takie przypadki się trafiają. Przegapi taki przystanek, a potem wszyscy są winni, tylko nie on.

Mężczyzna wsiadł do wagonu, podszedł do śpiącego i poszturchując go za ramię oświadczył, że to już ostatni przystanek.

Śpioch nie zareagował. Tylko głowa przyklejona wcześniej do szyby, opadła mu na pierś. Maszynista szturchnął pasażera ponownie, ale tym razem mocniej. Nadal żadnej reakcji. Tramwajarz poczuł, że robi mu się zimno. Wiedział, że kiedyś go to spotka. Bał się tego dnia, ale wiedział, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Przyłożył palce do szyi chłopaka i nie wyczuł pulsu. Trup. A niech to.

# Bunkry

Sześciopak piwa na dół plecaka. Na puszki dwie dwulitrowe Pepsi i na wierzch jeszcze pół litra, żeby się nie stłukło. Szkoda by było. Podziękował, zapłacił i wyszedł ze sklepu. Za pół godziny miał się spotkać z ekipą w umówionym miejscu, więc Kaziu (a tak naprawdę Piotr, ale poza rodzicami nikt tak się do niego nie zwracał) odpalił papierosa, głęboko się zaciągnął i ruszył w drogę. Pół godziny to dużo czasu, więc nie musiał się spieszyć.

I jak się spodziewał na most dotarł pierwszy. By zabić czas, zapalił kolejnego fajka. Wiedział, że to ostatnia okazja, bo o ile Łysemu (który nawiasem mówiąc miał długie włosy) i Kikutowi (chłop dwa dziesięć) to nie przeszkadzało, tak Anka i Ola będą marudzić. Że rak, że choroby płuc, że śmierdzi i że jego plemniki są już martwe i nigdy nie będzie miał dzieci. Z tym ostatnim akurat było mu po drodze. Ważne by kuśka stawała. Uśmiechnął się do swoich myśli, splunął przed siebie i widząc w oddali zbliżających się kompanów, zgniótł peta obcasem glana. Nie wychodził im naprzeciw, tylko czekał w miejscu aż do niego dotrą.

- Cześć baranie – przywitał go Łyśy, po czym reszta pozostałych przyłączyła się do powitania.

- No siema. Na was jak zwykle trzeba czekać – odpowiedział, chociaż nie spóźnili się znowu tak dużo.

- Wiesz jak jest, Anka suszyła jeszcze włosy, a Łyśy musiał się umalować.

- Ej, ej... Kikut brachu, nie podskakuj bo trafisz do piachu.

- Uuu... w Łyśym poeta się odezwał – rzuciła Ola, po czym wybuchła śmiechem. Reszta do niej dołączyła, a i domorośli wieszcz skrzywił się w grymasie uśmiechu.

- Śmieście się, śmieście, ale mą siłę na uwadze miejcie.



- Dobra, koniec, to już było słabe Łysy – Kaziu postanowił przerwać rymowanki, bo wiedział, że jak jego kumpel się rozkręci, to cały wieczór będzie tak pieprzył. – Gotowi na wieczór pełen emocji?

- No raczej. Ognisko, ciemny las i trójka nawalonych chłoptasi. Zapowiada się fantastyczna zabawa – zakpiła Anka. W sumie to średnio miała ochotę na tę imprezę, ale dała się wyciągnąć swojej koleżance. W końcu i tak nie miała nic lepszego do roboty.

- Zapomniałaś chyba o mnie – w ramię trąciła ją koleżanka – mistrzyni ceremonii i pierwszej damie vikańskiego zakonu złamanego krzyża, haha.

- Oho, zaczyna się. Budzi się nam w koleżance czarownica, a jeszcze nic nie polaliśmy.

- Uważaj Łysolku, bo jeszcze moja magia Cię opęta i popamiętasz.

- Zmieni Cię w żabę – rzuciła Anka.

- Albo jeszcze gorzej. W księcia i będzie trzeba Ci bić pokłony – wtrącił Kikut.

- A wy zostaniecie moimi poddanymi. Będziecie przynosić mi daniny, prosić o rozstrzygnięcie sporów, całować po rękach i obmywać stopy w świeżo wydojonym mleku.

- Taaa... księciuniu żulerki, lepiej przestań śnić na jawie i powiedz jakie smakołyki chowasz w plecaczku – Kaziu postanowił zmienić temat, a przy okazji dokonać szybkiej kalkulacji. Lipa gdyby brakło im alkoholu w połowie imprezy bo do sklepu będzie daleko. A i nastrój w obliczu braków na pewno pryśnie.

- Zawartością mojego plecaka to ty już sobie głowy nie łam. Wystarczy dla wszystkich. Pytanie czy Kikut wziął prowiant?

- Wziął. Myślę, że nikt głodny nad ogniskiem siedział nie będzie – odparł wywołany przed chwilą do tablicy. – cztery kilogramy najlepszej grillowej kiełbaski, zwijany boczek w przyprawach i dwa bochenki chleba.

- Po co chleb? – zapytał Łysy.

- Żeby filtrować denaturat gdy zabraknie wody – odpowiedział ironicznie Kikut. - Nie chcesz to nie bierz. Ja tam lubię.

- Dobra, dobra. Spokój panowie. Ja też chlebkiem się poczęstuję – rzekła Anka.

- A o mnie najwyraźniej nikt nie pomyślał – wtrąciła się Ola.
- No tak, przecież ty nie jesz mięsa – strapił się Kikut.
- Ano nie jem, ale na szczęście zapatrzyłam się w chipsy i kilka wegetariańskich szaszłyków. Wiedziałam, że o mnie nie pomyślicie matoly – rzuciła i z przymrużeniem oka wytknęła im język. – Przewrotny zawsze ubezpieczony.
- No dobra. To skoro wszystko mamy to możemy chyba ruszać. – Kaziu miał już trochę dość tej gadaniny, a że wszyscy przyznali mu rację, nie pozostało nic innego jak wyruszyć.

Przed nimi były jakieś dwa kilometry marszu przez las i znajdujące się na jego skraju łąki. Miejsce docelowe to bunkry. A właściwie jeden z nich. Niewielki cementowy blok, w którym zmieściły by się góra trzy osoby, ale i tak nikt do niego nie wchodził, bo raz, że był w połowie zasypany, a dwa, że obecnie bardziej przypominał śmietnik niż jakiś element obronny. W każdym razie był pod ścianą lasu, a przed nim rozciągała się urokliwa łąka, dla której naturalną granicą była rzeka. Fajne miejsce na ognisko, które w miejscowej społeczności nazywane było Gapiakiem. Nikt już chyba nie pamięta dlaczego, ale nazwa cały czas funkcjonuje.

W każdym razie to był cel ich wędrówki.

Spacer mijał spokojnie. Rozmawiali między sobą o głupotach i stroili z siebie nawzajem żarty. W lesie nie spotkali prawie nikogo. Jedynym wyjątkiem był stary Pruczkowski, który jak pech chciał, wybrał się akurat na grzyby. Oczywiście dziwnym byłoby gdyby nie zagadał.

- Dokąd to szanowna młodzież się wybiera?

- Tak sobie spacerujemy panie Pruczkowski. A pan widzę na grzyby się wybrał – Odpowiedziała Anka.

- Ano na grzyby. Nie ma ich za dużo, a i wzrok już słaby mam, ale co nieco znalazłem. Dzień ładny na spacer sobie wybraliście, ale mnie tak łatwo nie oszukacie. Coś mi się widzie, że na bunkry idziecie.

- Może i na bunkry – odrzekł Łysy. – Nie pana w tym sprawa.

- Nie moja. Pewnie, że nie moja, ale na bunkry bym nie szedł. Szwabskie przeklęte miejsca należy omijać z daleka. Pewnie

myślicie, że głupi jestem i w zabobony wierzę, ale ja swoje przeżyłem i swoje wiem. Na bunkry bym nie szedł. Nawet na grzyby tam nie chodzę. Mówię wam, to miejsce jest przeklęte. Dużo krwi tam przelano, a gdzie posoko w ziemię wsiąkła, tam zło gnieździć się lubi. A gorszego zła od tych przeklętych szkopów nie widziałem.

- Wojna to już się chyba jakiś czas temu skończyła, co panie Pruczkowski? – Kikut nawet się nie naśmiewał, a raczej stwierdził fakt.

- Skończyła się albo i się nie skończyła. Wojna w niektórych nie umiera nigdy i w pamięci miesza. W każdym razie, jak już mówiłem, na bunkry bym nie szedł. Ale zrobicie jak zechcecie, to już wasza decyzja, ja jednak bym tam nie szedł.

- Tak, zrozumieliśmy już, ale jednak trochę nam się spieszy – Łysy, najwyraźniej miał już dosyć głędzenia. – A i pan ma pewnie swoje sprawy. Do widzenia.

- W moim wieku, to jakie można mieć sprawy? Ale do widzenia, do widzenia. Nie zatrzymuję w takim razie.

Po czym podwinął torebkę z grzybami i ruszył w swoim kierunku, a młodzież w swoim. I tylko kilkanaście metrów później, starszy człowiek odwrócił się w ich stronę i przez chwilę wpatrywał w ich plecy, gdy z każdym krokiem oddalali się coraz bardziej. Potem uniósł jeszcze głowę, spojrzął w niebo i zamyslił się na chwilę.

Młodzi nie przejęli się jego ostrzeżeniem. Choć był osobą ogólnie szanowaną, to jednak wielu mówiło, że klepki w głowie nie do końca ma równo poukładane. Powszechnie uważano go za nie groźnego, ale jednak lekko zwichrowanego staruszka, który kiedy da mu się szanse, lubi postraszyć dziwnymi opowieściami. To o wojnie, to o duchach albo o dziwnych zjawiskach, których podobno niegdyś doświadczył. Nikt nie brał go na serio, ale nikomu też nie szkodził.

W każdym razie, uwolniwszy się od niego, szybko dotarli do celu, gdzie mieli spędzić wieczór, a i pewnie potężny kawał nocy.

Na miejscu kto miał coś do picia, szybko zanurzył przy brzegu leniwej rzeki by się odpowiednio schłodziło i zabrali się za zbieranie opału. W okolicy rosły głównie sosny, więc suchych gałęzi nie brakowało i dosyć szybko zdołali uzbierać odpowiedni zapas paliwa.

Ogień rozpałił Kaziu, który zresztą zawsze tym się zajmował. Było to jego nominalne zadanie i nikt nigdy nie próbował go w tym wyręczyć.

Gdy płomień zapłonął i kije na kiełbaski zostały wystrugane, napoje zdążyły się schłodzić i można było zasiąść do relaksu. Czas mijał im na gapieniu się w ogień, pieczeniu jedzenia i gadaniu o głupotach. Noc zapadła i na niebo wspiął się księżyc, który co chwilę się chował i wyglądał zza smętnie płynących chmur. Towarzystwo bawiło się dobrze. Na początek dla szybszego rozluźnienia się wypili przyniesioną przez Kazia wódkę. Pół litra szybko poszło (mimo, że rozlane na czterech, bo Anka jak zwykle podziękowała twierdząc, że wystarczy jej piwo) i dalej popijali powoli browarki, które dawały zajecie dla rąk i nieźle wypełniały chwile ciszy między tematami. A po tych skakali jak nakręceni. Było już kino, muzyka, najświeższe plotki i stare dzieje. Polityka nawet się przewinęła, czyli wszystko było w normie.

Była też chwila grozy, gdy coś zaszeleściło w trawie i szybko zaczęło przemykać na granicy blasku płomieni. Dziewczyny zapiszczały, a chłopaki wybuchli śmiechem, choć w pierwszej chwili sami się wzdrygnęli.

- To pewnie ten królik morderca – zażartował Kikut, gdy atmosfera nieco opadła.

- Co ? Jaki królik? – dopytywała Ola.

- Królik morderca. Nie słyszałaś o nim? Podobno jest biały, ma krwisto czerwone wyłupiaste ślepia i poluje na grzybiarzy. – Kontynuował, wyczuwając moment dla małej improwizacji. – Staremu Pruczkowi pewnie się upiekło bo żyłasty jest, ale gdy ktoś młodszy, zwłaszcza kobieta, zapuści się w głąb lasu, a jego szlak przetnie się ze szlakiem morderczego królika, biada mu, oj biada. Od razu rzuca się do gardła i dusi swoją ofiarę. Gdy ta przestaje się szamotać i kona, królik targa ją do swojej nory, gdzie staje się pożywieniem dla niego i jego młodych. Niedługo nie da się wejść do lasu, bo stada krwiożerczych zająców będą...

- Królików chyba – przerwała mu Anka.

- Co?

- Królików chyba, bo zacząłeś mówić o królikach, a nagle wyskoczyłeś ze stadami zający.

- Zajęcy królików, królików zajęcy. Jeden pies.
- To w końcu zajęcy, królików czy psów? – ze śmiechem dopytywała Ola. – Zaraz stado tygrysów Ci wyjdzie, haha.
- Oj tam oj tam. Nie bądź taka dociekliwa, bo tygrys zaraz Cię w tyłek ugryzie.
- Taa, niby skąd.
- A z zoo w Brześciu. – Włączył się Łusy.
- Jakiego zoo? Przecież w Brześciu nie ma zoo. – Zamyśliła się Ola. – Czy jest? Nie ma. Anka, nie ma, nie?
- Nie ma. – Anka nie rozwijała tematu.
- Ta, nie ma. – Kontynuował Łusy. – Wyjaśnij to Balcerowi i Wronie. Spotkałem ich w zeszłym tygodniu jak wyposażeni w liny szli do Brześcia łapać strusie.
- Co? Jakie strusie? – Dziwiła się Ola.
- Też się zdziwiłem, ale wyjaśnili mi, że w Brześciu z zoo uciekły strusie i idą je łapać. Podobno jest nagroda za każdego złapanego ptaka, a mieli ich podobno pięć.
- Ale w Brześciu przecież nie ma zoo. – Stwierdziła skonsternowana Ola.
- No właśnie. Ktoś ich nieźle wkręcił. – Parsknął śmiechem, a reszta słuchaczy mu w tym towarzyszyła.
- I co? Wyprowadziłeś ich z błędu? – Spytała Anka.
- A gdzie tam. Niech sobie jełopy idą, szukają strusi po polach. Nie ma się w głowie, to trzeba mieć w nogach.

I tak z minuty na minutę, skakali z tematu na temat, a wskazówki zegara przekroczyły już północ. Czas mijał, ale nikomu nie spieszyło się do domu. Wakacje powoli zbliżały się ku końcowi, a ostatnia klasa liceum przecież nigdzie nie ucieknie. Z każdej beztrudnej chwili warto było korzystać, co skwapliwie starali się czynić nie myśląc o tym, co będzie jutro. Ważne co jest teraz. Nikomu nie przeszło przez myśl, że to mogą być ostatnie chwile ich życia. Że chmury na niebie stają się coraz rozleglejsze, a światło księżyca wpada w coraz bardziej trupią biel. Jak kolor wyschniętych kości jakiegoś zapomnianego ciała. Może poległego żołnierza, który padł od kuli, a jego zwłoki rozdziobywane przez kruki i wrony oraz toczony przez liczne robactwo, gnęto smagane wiatrem gdzieś na

zapomnianej przez ludzi i Boga łące, aż zapadło się w ziemię. Bo co ziemia rodzi, w ziemi kończy swój żywot. Ona jest początkiem i końcem i opoką. Siewcą i żniwiarzem, który wszystko przyjmie.

Wszystko zaczęło się niepozornie. Kikut wstał, lekko chwiejnie delikatnie mówiąc, rzucił pustą butelką po piwie gdzieś przed siebie i oświadczywszy wszem i wobec, że idzie się odlać, oddalił się w kierunku skraju lasu. Wchodząc kilka kroków w jego gęstwinę odchylił głowę do tyłu, wzrok wlepił w czubki świerków i zwolnił zapory. Nieopisaną ulgę dla pęcherza przerwało mu zimno, które nagle zacisnęło się na jego członku. Zaskoczony spojrzał w dół i zobaczył, że jego przyrodzenie ściska czyjaś ręka. Głos utknął mu w krtani. Spojrzawszy przed siebie, pierwszym co spostrzegł były mleczone, pozbawione źrenic gałki oczne wpatrzone wprost w niego. Istota otworzyła usta w niemym krzyku, a Kikut poczuł przeraźliwy smród, który omal nie zwalił go z nóg. Szarpnął się do tyłu, ale był przecież w pułapce. A konkretnie jedna jego część, która zamknięta w pewnym chwycie, okazała się przeszkodą nie do pokonania. Jęknął. Szczeka opadła mu z trwogi, bezsilności i zdziwienia. Groza zalała go niczym tsunami pochłaniające plażę. Potwór niezauważalnym ruchem złapał go za opuszczoną żuchwę i jednym pewnym szarpnięciem wyrwał z czaszki. Krew buchnęła kaskadą, a z gardła ofiary wydobył się tylko stłumiony do niczego nie podobny bulgot. Oczy chłopaka uciekły gdzieś w tył czaszki, ale jego cały czas pewnie trzymane zwłoki nie mogły upaść. Istota wbiła wolną rękę w jego brzuch i przez powstały w ten sposób poszarpany otwór, chwyciła i wyciągnęła na wierzch jego wnętrza. Zanurzwszy drugi raz dłoń, puściła wreszcie jego przyrodzenie i zanurzyła drugą rękę w jeszcze ciepłym wnętrzu, rozerwała swoją ofiarę na dwie części. Posoka ściekała po pobliskich pniach drzew i obficie zrosiła trawę.

Potwór oblizał prawą dłoń i odwrócił głowę w bok. Tam wyłonił się drugi, podobny do niego osobnik, a za nim w ciemnościach majaczyła kolejna sylwetka. Z mroku wyłoniło się jeszcze kilka.

Gdy Kikut nie wracał przez dłuższy czas, Olka oderwała oczy od ogniska i spojrzała mniej więcej w kierunku, w którym odszedł jej kolega. Zobaczyła zbliżającą się z tamtej strony sylwetkę. Pomyślała, że to pewnie on, ale po chwili zobaczyła za nim jeszcze jedną osobę. Wstała i zrobiła krok do przodu. Za dwiema postaciami, z prawej strony zobaczyła jeszcze kogoś i jeszcze. Obeszła ognisko dookoła i zamarła w punkcie wyjścia.

- Łysy, Kaziu, Anka. Ktoś tu jest.

- No raczej. My – odrzekł Łysy.

- Nie. Ktoś jeszcze. I jest ich dużo. Otoczyli nas – w jej głosie wyraźnie dało wyczuć się strach. – Sami zobaczcie.

Wszyscy wstali i rozejrzeli się dookoła. Miała rację. Byli otoczeni. Na granicy blasku ogniska stała grono kilkunastu osób, które nieruchomo im się przyglądały.

Co jest kurwa? – Łysy zadał pytanie, ale nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Nikt nie znał odpowiedzi. – Hej, co tu jest grane? – wykrzyknął w kierunku tajemniczych sylwetek, ale żadna z nich nawet nie zareagowała na jego zaczepki. Przynajmniej dopóki nie zrobił kilku kroków w kierunku najbliższego z niespodziewanych gości.

Gdy Łysy ruszył w kierunku pierwszej z istot, ta zrobiła dwa kroki do przodu, wyłaniając się z mroku, gdzie blask ognia oświetlił jej sylwetkę. Na ten widok Ola i Anka przytuliły się do siebie, a Kaziu przełknął ślinę w nagle wyschniętych ustach. Tajemnicza postać ubrana była w łachmany, które przypominały mundury. Stare, wygniecione, zniszczone i poprzecierane, ale cały czas wyraźnie wojskowe mundury, które kojarzyły się z drugą wojną światową. To było widać nawet z daleka. A że Łysy stał najbliżej, dostrzegł także czerwonawą przepaskę na ramieniu stojącego przed nim potwora. Potwora, bo twarz istoty naznaczona była piętnem rozkładu. Dziura w policzku, kościana biel oczu bez źrenic i tragiczny stan skóry nie pozostawiał wątpliwości. To coś nie mogło żyć. A jednak stało przed Łysym jakby na coś czekało.

Kaziu powoli zaczął się wycofywać. Korzystając z okazji, że nikt nie skupiał na nim uwagi zrobił jeden krok w tył. Potem drugi, trzeci i obróciwszy się na pięcie chciał ruszyć przed siebie, jak najdalej od

ogniska. Ale byli przecież otoczeni. Gdy się obrócił, wpadł prosto w łapy zombie, które stały na drodze jego ucieczki. Kiedy poczuł zimny dotyk, miękkich, nadgniętych dłoni krzyknął ze zgrozy, choć właściwszym określeniem byłoby, że zapiszczał, bo z krzykiem nie miało to wiele wspólnego. Na ten dźwięk dziewczyny odwróciły się w jego kierunku. Łysy zrobił to samo. Bardziej ze strachu i kierowany instynktem niż z faktycznej chęci zobaczenia, co dzieje się za jego plecami. W każdym razie zrobił to, dając tym samym stojącej przed nim istocie okazję do łatwego ataku. Ta zresztą nie czekała na nic więcej i od razu rzuciła się przed siebie, wgrzając się w jego szyję. Krew bryznęła z rozszarpanej rany zalewając atakującego i jego ofiarę. To był znak, na który reszta zombie ruszyła do ataku. Podrażniona zapachem posoki parującej w zimnym powietrzu, przystąpiła do zmasowanego ataku.

Te, które stały blisko Łysego przystąpiły do konsumpcji krzyczącego jeszcze, rwącego trawę i wierzgającego nogami prawie trupa. Rozszarpując jego ciało, wyciągając jelita i wgrzając się w co lepsze kęski straciły zainteresowanie pozostałymi uczestnikami ogniska. Podobnie jak grupa, która zaatakowała Kazia. Ten już nie krzyczał. Krew zalała mu gardło przez co z jego ust wydobywał się niewyraźny bulgot. Jego ręka została oderwana i była obgryzana przez trzech zombie. Reszta ciała trzymała się jeszcze na nogach, ale tylko dlatego, że podtrzymywała go chmara istot, które zgromadziły się przy nim tak ciasno, że ciało nie miało nawet gdzie upaść.

Dziewczyny otrząsnęły się z początkowej niemocy i zaczęły uciekać. Ola nie patrząc za siebie, pobiegła w kierunku szczeliny, która powstała w kręgu atakujących, gdy ci poczuli krew. Anka widząc oddalające się plecy koleżanki, szybko ruszyła za nią. Obie kierowały się w kierunku lasu, gdzie miały nadzieję znaleźć schronienie wśród drzew, albo przynajmniej zyskać nieco na czasie. Najbliższe nich zombie odwróciły się w ich stronę i ruszyły za nimi. Dziewczyny nie oglądały się za siebie. Ola przebiegła po bunkrze i wbiegła między drzewa. Ance też prawie się to udało. Gdy wbiegła na betonowy strop, pech chciał, że noga trafiła na krawędź włazu i straciwszy równowagę, wpadła do środka. Na domiar złego,



przewracając się uderzyła bokiem głowy o kant metalowej obręczy. Rozległ się trzask pękającej czaszki i jej świat zalała ciemność. Zombie poczuły świeżą krew i żwawiej ruszyły w jej kierunku.

Ola biegła bez wytchnienia całą wieczność. W płucach brakowało jej tchu, gałęzie kaleczyły skórę, a nogi plątały się przy prawie każdy kroku. W końcu straciła równowagę i upadła w leśne runo. W zębach poczuła piach, mech i sosnowe igły. Zwymiotowała. Jej organizmem trzęsły torsje stresu, strachu i nieludzkiego zmęczenia. Las wokół wirował. W uszach huczał szum.

Gdzieś z boku trzasnęła jakaś gałązka. Dziewczyna spojrzała w tamtym kierunku z trwogą w oczach. Nieprzenikniony mrok skrywał wszystko tajemnicą i niewiele dało się zobaczyć. Nasłuchiwała, ale dobiegał do jej uszu tylko głuchy stukot zderzających się gałęzi. Ręką wytarła usta i podtrzymując się pnia podniosła się na nogi. Nie miała sił by biec dalej, ale nie mogła też zostać w tym miejscu. Krok za krokiem, opierając się o każde mijane drzewo z mazołem szła dalej.

Po nieokreślonym czasie marszu dojrzała przed sobą prześwit między pniami. Skraj lasu lub polana. Zdeterminowana wykrzesła z siebie resztę sił i ruszyła w tamtym kierunku. Między drzewa nie przedzierał się nawet blask księżyca, a tam, w tym jaśniejszym punkcie wyraźnie było widać jego blask. Cel był coraz bliżej. Zdesperowana, niesiona nadzieją zaczęła biec. W końcu wypadła na wolną przestrzeń, ale to co zobaczyła ścięło ją z nóg. Upadła na kolana, wbiła palce w mokrą trawę zaczęła krzyczeć – Nie!!! - do zdarcia gardła.

Znalazła się w punkcie wyjścia. Polana zboczona krwią, na której wszędzie wałały się części ludzkiego ciała. Strzępy poszarpanego mięsa, obgryzione kości i... zombie. Potwory wpatrzone w nią swymi bladymi ślepiami. Nie wiedziała czy między drzewami zatoczyła koło, czy to las z premedytacją zmienił swe ścieżki by tutaj wróciła. Nie miała już siły by uciekać. Spłoszona nadzieja uciekła, a za pnem mignęło coś mrocznego. Śmierć wisiała w powietrzu i w sumie było jej już wszystko jedno. Wiedziała, że ta polna stanie się wkrótce jej grobem. Pozbawiona sił przewróciła się

na bok w mokrą trawę i widziała gnijące istoty wstające z nad szczątków jej przyjaciół i smętnie zmierzające w jej kierunku. Niespiesznie, pewne, że posiłek im nie ucieknie. Zapłakała po raz ostatni pogodzona ze swoim losem.

# Pępek

Zaczęło się niewinnie. Przebudziłem się w nocy i poczułem, że swędzi mnie pępek. Podrapałem się, przewróciłem na drugi bok i zasnąłem ponownie. Rano jak zwykle wstałem, zjadłem śniadanie, wziąłem szybki prysznic, poszedłem do pracy, odbębniłem osiem godzin i wróciłem do domu. Normalka. Dzień jak co dzień.

Wszamałem szybki obiad i poszedłem na kosza. Jakieś dwa miesiące temu, udało nam się namówić szefa by raz w tygodniu wykupił nam dwie godzinki w pobliskiej podstawówce, byśmy mogli się rozerwać po całym dniu wślepiania się w monitor. Ku mojemu zaskoczeniu zgłosiło się ponad dziesięć osób, co zwiastowało brak problemów przy kompletowaniu drużyn, a prezes nie opierał się zbyt długo by przystać na nasz pomysł. Co mogło się nie udać? Frekwencja. Na pierwszej grze zjawilo się siedem osób. Spoko, nie jest źle pomyślałem. Na drugiej już tylko cztery i niestety na kolejnych było podobnie. Jak to mówią górale – życie.

Ale nie ma się co łamać. Ważne, że sala jest i można sobie pobiegać. Tamten wtorek wyglądał jak każdy. Niewielką, ale za to stałą ekipą, zjawiliśmy się na obiekcie by porzucać, pobiegać i generalnie spędzić nieco aktywniej czas. Przebrałem się i skoczyłem do kibla spuścić z pęcherza. Przy okazji wydłubałem z pępka paprochy, które zawsze jakoś w ciągu dnia, czy w ciągu nocy się w nim zbierały. Nie wiem czy to z koszulki, czy z prześcieradła, zawsze jakieś pyłki zbijały się w kulkę i chowały w pępku. Na pewno to znacie. Wydłubałem, spuściłem wodę i poszedłem na salę. Początkowo szło mi dobrze. Trafiłem dwie trójki, kilka dwójek, zaliczyłem kilka przechwytów. Statystyki może nie na poziomie NBA, ale w polskiej lidze bym się odnalazł. Przynajmniej lubiłem tak myśleć. No, ale nie mówię o tym żeby chwalić się swoimi umiejętnościami. Zmierzam raczej do wydarzenia, które jest dosyć

istotne dla tej historii. Wydarzenia, które mnie uziemiło. Otóż lewą kostkę miałem już wybitą siedem razy. Nie mogę tego nazwać szczęśliwą siódemką, bo za każdym razem cholernie bolało, a jak się pewnie domyślasz, dużo nie trzeba było, by kość przemieściła się ponownie. Zawsze przed meczem owijałem staw bandażem elastycznym, ale jak całym ważącym blisko setkę ciężarem zwałem się na zewnętrzną część stopy, to i żelbetowy kołnierz nie miałby szans wytrzymać. Chrupnęło, jęknąłem i miesiąc zwolnienia lekarskiego wylądował w moich aktach pracownika.

Pierwszy raz w ośmioletniej karierze zawodowej wylądowałem na L4. Miesiąc laby jawił się jako okres błogiego wypoczynku. Bo co tutaj robić, skoro noga usztywniona i łaźać nie za bardzo jest jak. Zresztą było to zimą, mróz i śnieg za oknem, to i wychodzić nie było po co. Na dodatek złapało mnie jeszcze przeziębienie. Pod telewizorem prężyła się za to konsola i kupka wstydu, której nigdy nie miałem czasu ukończyć. Gry kupiłem bo była promocja, a przecież kiedyś będzie czas by je ograć. Do tej pory nie było, ale szczęście w nieszczęściu, wreszcie się znalazł. Mogłem poczuć się jak dziecko. Otworzyłem piwko, wziąłem potężny łyk, beknałem jak na prawdziwego chłopca przystało i zabrałem się za nadrabianie zaległości.

I tylko nocą znów obudziło mnie swędzenie w pęku. Wtedy jeszcze nie myślałem, że to coś oznacza. Ale, gdy trzeciej, czwartej, piątej i szóstej nocy z rzędu doświadczyłem tego samego, gdzieś w tyle głowy zaczęła kiełkować mi myśl, że może to nie jest tak do końca normalne. Może należałoby coś z tym zrobić.

I może bym coś zrobił, gdybym rano tę myśl pamiętał. W świetle dnia codziennego największe nawet koszmary blakną. Kto by się przejmował jakimś tam nocnym swędzeniem. Spałem, śniłem, spociałem się, zaswędziało. Z żelazną logiką ogrzewającą się w słonecznym blasku poranka nie wygrasz. Rada? Podrap się, zaśnij, zapomnij.

Śniadanie, poranne wiadomości żeby wiedzieć, co się w świecie dzieje, szybkie rzut oka na facebooka, żeby zobaczyć co słyhać u znajomych albo co mnie ominęło i zasiadam do konsoli. Tak minął mi pierwszy tydzień. Czułem się jak dziecko. Nie przez to, że grałem,

bo to akurat robiłem całe życie jak tylko wylazłem z pieluch i byłem w stanie samodzielnie utrzymać pada w dłoniach, ale dlatego, że gdy człowiek wkracza w pewien wiek, czas zaczyna mu uciekać między palcami i zwyczajnie nie wystarcza go na wszystko. Teraz, dzięki memu tymczasowemu kalectwu, mogłem znów poczuć się jakby nikt mnie nie gonił, a przy parametrze wiek, nie miałbym trójki z przodu. Ech, chciałoby się. Tymczasem cyfrowy świat sam się nie uratuje, a tabuny wrogów same trupem nie padną. Kolejny dzień, kolejne wyzwanie i kolejne levele poza mną.

I tak beztrudnie marnując czas przed telewizorem, po raz pierwszy poczułem swędzenie za dnia. Początkowo podrapałem się nawet nieświadomie. Szybki ruch ręką by nie puścić pada na zbyt długi. Jednak po chwili czynność tę musiałem powtórzyć, co już wydało mi się dziwne, więc zatrzymałem grę, podniosłem podkoszulek i zerknąłem w pępek czy czasami nie zrobiła mi się tam jakaś krostka czy coś. Nic, poza zwyczajową kulką paprochów. Wydłubałem i grałem dalej, ale po chwili poczułem jakby coś chodziło mi po boku. Klepnąłem w tamtym miejscu ręką i poczułem, że coś rozgniotłem. Podwinąłem koszulkę, patrzę, faktycznie rozmaślony pajak. Nieduży, ale bez wątpienia pajak. Skąd tam się wziął? Pewnie wylazł z jakiegoś kąta i wykorzystując moje skupienie na ekranie telewizora, wlał tam gnany swoim małym mózdzkiem, tylko on wie po co. Normalka. Zdarza się. Podobno rocznie, podczas snu, połykamy około pięciu pajaków. Takie są fakty. Jacyś, zapewne amerykańscy, naukowcy poświęcili prawdopodobnie dużo czasu i pieniędzy żeby to policzyć. Skoro podczas snu łażą po nas pajęczaki to i za dnia pewnie mogą. Wtedy jeszcze nie połączyłem insekta z zagadkowym swędzeniem, ale wkrótce miało się to zmienić.

A miało to miejsce w nocy, kiedy podczas snu znowu to poczułem. Tym razem silniej. Zaszwedziało tak mocno, że zerwałem się do pozycji półsiedzącej i zacząłem drapać pępek i jego okolice. Zapaliłem nocną lampkę, podciągnąłem koszulkę i zobaczyłem pajaka wielkości mniej więcej jednogroszówki, identycznego jak ten, którego rozgniotłem w dzień. Znieruchomiał na splotie słonecznym i miałem wrażenie, że mnie obserwuje. Zresztą ja na ten widok również zamarłem i przez chwilę mierzyłem się z nim wzrokiem. W

końcu poderwałem rękę z zamiarem odesłania niespodziewanego gościa do pajęczego nieba, ale ten szybko zorientował się co go czeka i przebijając swoimi odnóżami pomknął w kierunku pępka i... w nim zniknął. Nie mogłem w to uwierzyć, ale tak się stało. Początkowo myślałem, że zapędził się w ślepią uliczkę, w której chciałem go zmiażdżyć palcem, ale po chwili gmerania ani nie poczułem bym go dopadł, ani nie udało mi się nic poza skromną kulką paprochów wygrzebać. Wtedy byłem już porządnie zaniepokojony, bo niby co się z nim stało. Przecież do brzucha mi nie wszedł. A może? Nie, nie możliwe, pomysł jak z kiepskiego horroru. Pogmeralem jeszcze paluchem, aż w końcu doszedłem do wniosku, że pewnie go zgmiotłem i wypłuczę go z porannym prysznicem. Nie sprawiło to co prawda, że zasnąłem spokojnie, bo sen długo nie chciał do mnie wrócić, a w głowie huczał mi huragan przeróżnych myśli przez co wstałem rano niewyspany, ale takie rozwiązanie zagadki wydało mi się najbardziej prawdopodobne. Oczywiście, czemu chyba nie trudno się dziwić, przez resztę nocy śniły mi się pająki i wszelkiego rodzaju pępki od wypukłych przez wklęsłe na pionowych kończąc. W efekcie poranek dopadł mnie koło szóstej, a w bladym świetle świtu nocne koszmary wydały się mniej straszne, choć cały czas czułem się nieswojo i na myśl o nocnym wydarzeniu przebiegły mi ciarki na plecach.

Dzień nie okazał się pomyślny. Poranny prysznic nie rozwiął moich obaw, a te wraz z mijającymi godzinami tylko się kumulowały. Raz, że całe zajście nie dawało mi spokoju. Dwa, wydawało mi się, że cały czas czuję swędzenie. Właśnie, wydawało mi się, czy faktycznie to czułem. Nie miałem pewności czy sobie tego nie wmawiam. Wiecie jak to jest. Jak ktoś wam powie, że coś kłuje go między łopatkami, to i wy się tam po chwili podrapiecie. Na szczęście zacząłem grać i nie myślałem o tym, co tylko potwierdza niedawne doniesienia naukowców, że granie uśmierza ból. Serio, ktoś to badał.

W końcu nadszedł późny wieczór i wyłączyłem konsolę. Spać mi się jeszcze nie chciało, więc poskakałem po kanałach. Nic ciekawego nie znalazłem. Na szczęście miałem jeszcze zapas filmów na dysku twardym, więc postanowiłem coś nadrobić.

Podłączyłem urządzenie do telewizora i zanim system go odczytał, przyniosłem sobie piwko z lodówki. Szybki rzut oka na zawartość katalogu i na ekranie wyświetliła się czołówka horroru z lat osiemdziesiątych. Jak mawiają krytycy filmowi – dobry slasher nie jest zły.

Podczas seansu znowu to poczułem, ale tym razem jeszcze silniej. Zaczęło się od lekkiego swędzenia, które dosyć szybko się wzmagało, a na domiar złego doszło do tego coś nowego. Uczucie jakby coś ruszało mi się pod skórą. Przestraszyłem się nie na żarty.

Momentalnie wstałem, nie pauzując nawet filmu i poszedłem do łazienki, gdzie było najlepsze światło. Zdjąłem koszulkę i przyjrzałem się swojemu brzuchowi, szczególnie w okolicy pępka. Nieprzyjemne uczucie cały czas było wyraźne, a po chwili zobaczyłem jak moja skóra zaraz nad pępkiem lekko się unosi. Ruch był delikatny, lekko dostrzegalny i gdyby zaraz się nie powtórzył to uznałbym go za przywidzenie. Ale za drugim razem był wyraźniejszy. Coś zdecydowanie przesunęło się pod skórą. Zgroza na chwilę mnie sparaliżowała i chyba dobrze, bo gdybym nie stał tam wmurowany to bym krzyknął. Zresztą i tak się wydarłem bo chwilę później zauważyłem jak z mojego pępka wyłaniają się odnóża, a zaraz za nimi wygląda łeb pająka, którego widziałem w nocy. Uwięziony głos znalazł ujście z krtani i raczej pisałem jak baba niż krzyknąłem, ale chyba możesz to sobie wyobrazić. Widok był przerażający.

Nie myśląc wiele otworzyłem szybko łazienkową szafkę i wyjąłem z niej starą, pamietającą jeszcze poprzedni ustrój i będącą pamiątką po ojcu, maszynkę do golenia i obróciwszy parę razy rączką otworzyłem łopatki i wyjąłem żyletkę. Ostrze było równie stare, co sprzęt w którym spoczywało, a jego ostrość to dawne wspomnienie, ale skoro potrafiło sobie poradzić ze zmechaconym swetrem, to i do moich obecnych potrzeb powinno się nadać. Zresztą i tak nie miałem większego wyboru, bo to był najostrzejszy przedmiot pod ręką.

To co zamierzałem, chciałem zrobić ja najszybciej bo wiedziałem, że jeśli się zatrzymam i pozwolę sobie na sekundę zastanowienia, to spękam. Odkręciłem gorącą wodę by opłukać i chociaż powierzchownie zdezynfekować żyletkę. Potem przejechałem nią parę razy po mydle i znowu opłukałem pod wodą, której nie

zakręcałem. Leciąca teraz zupełnie gorąca i lekko poparzyłem sobie palce, ale nie przejąłem się tym za bardzo.

Otrząsnąłem nadmiar wody, wziąłem głęboki oddech i drżącą ręką naciąłem skórę nad pępkiem w miejscu, w którym wcześniej widziałem ruch. W panice zrobiłem krechę na jakieś piętnaście centymetrów. Czy bolało? Jak cholera, ale byłem na tyle zdeterminowany i spanikowany, że zdołałem zignorować ból i przejść do rzeczy. Odchyliłem płat skóry i wysiliwszy wzrok starałem się tam coś dojrzeć. Krew, która z każdą chwilą gromadziła się w coraz większej ilości i zdążyła mi już zalać czerwienią cały brzuch i zamienić dresowe spodnie w tampon, nie ułatwiała sprawy. Szczególnie, że zaczęło mi się robić słabo. Od emocji, od widoku i od upływu krwi. Wszystko po trochu wywarło swój wpływ. Mimo wszystko, jakoś się jeszcze trzymałem. Zerwałem ręcznik z suszarki i delikatnie przetrąłem okolice rany by oczyścić widok. Znow rozchyliłem skórę i tym razem zobaczyłem uciekającego spod niej pająka. Ale on mnie już tym razem nie zdziwił. Owszem, przebiegł mi dreszcz po plecach, ale bardziej zaskoczył mnie widok małych kulek, które czaiły się trochę głębiej i nawet mimo wciąż krwawiącej brei było je widać. Nie miałem wątpliwości, że były to kokony, a widząc uciekające przed chwilą stworzenie zrozumiałem skąd się tam wzięło. Po prostu się wykluło, a gdy wydostawało się ze swojej osłonki, czułem swędzenie. Zresztą kto wie, ile ich tam już się narodziło. W każdym razie kokonów było jeszcze sporo i nie mogłem pozwolić by tam zostały. Szczególnie, że przed oczami zaczynały latać mi mroczki i nie wiedziałem ile jeszcze wytrzymam.

Nie zastanawiając się wpadłem pod prysznic i przewracając się w brodziku zdołałem jeszcze strącić prysznicową słuchawkę. Wypłukać to! To był mój jedyny pomysł i jak pomyślałem tak zrobiłem. Odkręciłem ciepłą wodę i zacząłem lać na ranę. Krew zmieszana z cieczą szybko zachlapała wszystko dookoła tak, że kabina wyglądała niczym rzeźnia. Ale nie poddawałem się. Chciałem wypłukać wszystko jak najdokładniej chociaż przecież nie wiedziałem ile tego tam jest. Zrobiłem tylko jedno, dosyć płytkie zresztą nacięcie, a przecież niżej, wyżej, po bokach mogło być tego więcej.



Spanikowałem już kompletnie. Zacząłem krzyczeć i chciałem biec do szpitala. Albo przynajmniej na dół, pod blok do taksówki. Tyle pamiętam. Pamiętam jeszcze tylko, że wygramoliwszy się z brodzika złapałem szybko drugi ręcznik, przyłożyłem go do brzucha i tak jak stałem, czyli mokry, zakrwawiony i bosy, ubrany tylko w przemoczone i zakrwawione spodnie dresowe, z krzykiem wybiegłem na korytarz, gdzie prawdopodobnie straciłem przytomność. Co dziwnym nie jest, biorąc pod uwagę, że będąc jeszcze w przedpokoju mojego mieszkania horyzont wyraźnie mi się zawęził, a widok zaczął wirować.

Obudziłem się w szpitalu, do którego, jak się później dowiedziałem, przywiozła mnie karetka, którą wezwali zaniepokojeni sąsiedzi. Dziwne, że w ogóle wyjrzeli zobaczyć co się dzieje. W każdym razie na oddziale mnie poskładali, a gdy opowiedziałem, co mi się przytrafiło wylądowałem na obserwacji psychiatrycznej. Po komplecie badań usłyszałem, że to wszystko to były przywidzenia. Po prostu pomieszałem proszki na przeziębienie, tabletki przeciwbólowe i alkohol, który podczas grania sobie spokojnie na luzaku pociągałem z piwnej półeczki. W psychiatryku zresztą też dali mi tabletki i potrzymali kilka dni. Nie miałem żadnych niepokojących objawów, więc w końcu wypuścili do domu. I dobrze, bo nie wiem ile wytrzymałbym z tymi wariatami. W każdym razie wszystko wydaje się być w porządku. Rana ładnie się zagoiła, a pozostała blizna jest niezłą historią dla pańienek. Oczywiście fabuła rozmija się mocno z rzeczywistością, za to brzmi kozacko. Nie ważne.

Ważne, że wszystko wróciło do normy. Chociaż wczoraj w nocy poczułem coś jakby delikatne swędzenie w dole pleców po prawej od kręgosłupa. Na szczęście zostały mi jeszcze tabletki od psychologa, więc wierzę, że nic się nie wydarzy.

# Oddech domu

Włamanie nigdy nie było jego ulubioną czynnością. Zawsze wolał to, co było potem. Przebywanie w domu, w którym śpią jego właściciele. Nieświadomi jego obecności. Pogrążeni w sennych marzeniach, spokojnie odpoczywający po ciężkim dniu.

On i cisza cudzego domu. Półmrok i wsłuchiwanie się w jego rytm. Bo budynki żyją, choć niewielu zdaje sobie z tego sprawę. Gdy śpimy, bawią się z czasem i przestrzenią. Parają się magią i mrugają do gwiazd. W świetle księżycy prężą swoje kształty. Czasem tylko wymknie im się jakieś skrzypnięcie deski na schodach lub panelu w podłodze. Cichy jęk zabawy.

Nie robił często takich akcji, ale na każdą niecierpliwie czekał. Dużo czasu poświęcał na przygotowanie. Metodycznie poznawał teren, obserwował okolice i sprawdzał zabezpieczenia. Czasem jako kurier, który pomylił adres. Innym razem ubrany w garnitur udawał, że naucza o bogu. Pierwsze przebranie było zdecydowanie skuteczniejsze, ale nigdy nie potrzebował dużo czasu by sprawdzić zamki. Uchylone drzwi, jeden rzut oka i wiedział z czym ma do czynienia. Albo właściwie z czym będzie miał wkrótce do czynienia. Najlepsze były duże domy, z garażem połączonym z mieszkaniem. Zawsze to więcej możliwości. Chyba, że jest lato. Wtedy najczęściej wystarczy znaleźć uchylone okno.

Ale włamanie to jednak ta najmniej przyjemna część. I najbardziej ryzykowna. Raz, że musiał uważać na sąsiadów i przypadkowych gapiów, dwa, że forsując zamki nigdy nie miał pewności, czy po drugiej stronie drzwi wszyscy już śpią i nikt nie usłyszy pracy mechanizmu. Dlatego zawsze dyskretnie obserwował okna i wypatrywał aż zgaśnie ostatnie światło. Potem, czekał jeszcze godzinę zanim przystępował do działania. Ale nawet to nie gwarantowało, że obejdzie się bez niespodzianek. W końcu zawsze

w czasie gdy on skupiał się na zamku, ktoś mógłby wstać do łazienki i coś usłyszeć.

Gdy był już w środku, zdecydowanie czuł się bezpieczniej. To on sprawował kontrolę. Poruszał się nadzwyczaj cicho. Delikatnie stąpał po podłodze nie wywołując żadnego dźwięku. Lubił zakradać się do sypialni i patrzeć na śpiących właścicieli, nieświadomych jego obecności. Wślizgiwać się do łazienki gdzie dotykał ich szczoteczek do zębów, przeglądać kosmetyki, wąchać perfumy. W kuchni otwierać lodówkę i przeglądać zapasy. Czasami nawet robił sobie coś do jedzenia. Zawsze wtedy zostawiał brudny nóż. Potem, w ciągu dnia, gdy było już po wszystkim, zastanawiał się jak ludzie reagowali na upapraną sztuciec. Czy zastanawiali się kto go używał? I czy zauważyli, że coś im zniknęło? Za każdym razem zabierał sobie pamiątkę. Coś niewielkiego, mało istotnego. Mogła to być gumka do włosów albo magnes z lodówki. Coś czego od razu się nie zauważy. A nawet jak już do tego dojdzie, to łatwo to wytłumaczyć zwykłym roztargnieniem albo złośliwością rzeczy martwych.

Te chwile w wyciszonym obcym domu, dawały mu namiastkę życia czyimś życiem. Wcielenia się w kogoś, kim na co dzień nie był i pewnie nigdy nie będzie miał szansy zostać. Dlatego tak lubił to robić. Dla tych kilku chwil, czasami krótszych, czasami dłuższych, kiedy mógł być kimś innym. Życ innym życiem. Po cichu. Ostrożnie. W półmroku. Ale jednak.

\*\*\*

Tym razem miał ochotę na coś specjalnego, więc i przygotowania zajęły mu więcej czasu. Pragnął głębszych doświadczeń, które zostaną z nim na dłużej. Wiedział, że niebezpieczeństwo będzie dużo większe. Oczekiwał jednak poziomu satysfakcji, który wszystko mu wynagrodzi i będzie mógł cieszyć się zabawą bez skrępowania, bez oglądania się przez ramię i wszystko być może potrwa do białego rana. Albo i dłużej. Ale nie chciał zaprzętać sobie teraz tym głowy.

Z zamkami poradził sobie bez większego problemu i oto jest w środku. Stoi w przedpokoju. Nasłuchuje. Głęboko oddychając wczuwa się w atmosferę domu. Jego mieszkańcy, bezdzietne małżeństwo w średnim wieku, śpią w sypialni na piętrze. Po prawej

ma kuchnię. Na wprost pokój gościnny i łazienkę. Po lewej schody na górę i spory salon, do którego skierował swoje kroki. Nie zdejmując plecaka, usiadł na kanapie i patrzy w telewizor. Przebiega wzrokiem po zestawie nagłaśniającym. Duże kolumny od kina domowego robią wrażenie i zapewne nieźle grają. Udaje, że zmienia kanał. Kładzie się na boku. Przymyka oczy. Na zewnątrz przejechał samochód. Jego światła poprzecinane cieniem żaluzji, przebiegły po ścianach oświetlając komodę z ozdobami i fotografie na ścianach. Jakiś obraz, martwa natura, przykuł jego uwagę. Wstał i podszedł do niego. Dotknął jego powierzchni, poczuł pod palcami fakturę farby i wyobraził sobie kolory w pełnym ich nasyceniu. Żywe kwiaty, przezroczysty wazon do połowy wypełniony wodą, kilka suchych liści leżących obok.

Spojrzał na sufit. Wiedział, że oni tam są. Śpią, ale już niedługo. Wkrótce się obudzą. Wkrótce ich sen zostanie przerwany, choć tylko na chwilę.

Wyszedł z salonu i zaczął wspinać się po schodach. Powoli, żeby nie wydać żadnego dźwięku. Dłonią kontrolował poręcz niczym kochanek gładzący ciało ukochanej. Stopy stawiał delikatnie i rozważnie. Nasłuchiwał czy żadna deska nie wyda skrzypnięcia. To byłoby niewskazane. Na szczęście zamożni dbają o materiały jakich używają w swoich domach, a tym tutaj, najwyraźniej wąż nie siedział w kieszeni.

Po zdobyciu szczytu staną naprzeciw czworo drzwi. Dwoje po lewej, jedno po prawej i jedno pośrodku. Zagadka. Takie zagadki pompują adrenalinę i wzmagają napięcie. Wyostrzają zmysły. Zaczął od tych, do których miał najbliżej. Delikatnie nacisnął na klamkę. Bez pośpiechu uchylił skrzydło i zajrzał do środka. Zupełna ciemność. Łazienka.

Zamknął drzwi i otworzył następne po tej samej stronie. Pokój wyglądał na biuro. Ciężkie drewniane biurko, skórzany fotel i spory regał z książkami i dokumentami pod ścianą. Za biurkiem okno, z którego widok wychodził na front budynku i ulicę oświetloną żółtawym światłem rzadkich latarni.

Wycofał się i podszedł do drzwi po lewej. Powtórzył procedurę otwarcia z zachowaniem wszelkiej ostrożności. To pomieszczenie

także okazało się puste i wyglądało na zapasową sypialnię. Rozkładane łóżko i szafa na ubrania, komoda, ława i dwa, wyglądające na wygodne, fotele. Na jednym usiadł. Czuł jak materiał ugina się pod jego ciężarem i w duchu przyznał, że komfortem dorównuje oczekiwaniom. Ale to jeszcze nie był czas na odpoczynek. Pozostały jedne drzwi, te na wprost za którymi czekał cel jego wyprawy. Tutaj już nie mogło być niespodzianek.

W pełnym skupieniu stanął przed ostatnimi drzwiami. Blisko. Bardzo blisko. Czubkami butów dotknął skrzydła, prawą rękę oparł o ich powierzchnię i przytknął do nich ucho. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Wyraźnie słyszał głęboki oddech. Męski. Takie przynajmniej odniósł wrażenie. Lewą ręką sięgnął do klamki i delikatnie ją nacisnął. Powolutku do samego końca. Potem delikatne pchnięcie i uchylenie. Teraz ostrożnie by zawiasy nie skrzypnęły, wewnątrz pokoju coraz pełniej ukazywało mu się w coraz większej szczelinie między futryną a drzwiami. Jego spokojny oddech nie przyspieszył nawet na chwilę. Otwarcu nie towarzyszył żaden dźwięk. I tak właśnie miało być.

Wszedł do środka. Po trzech krokach stanął w nogach dużego małżeńskiego łóża, w którym spali mężczyzna i kobieta. Oboje na boku, plecami do siebie. Miał rację, to mężczyzna oddychał głośniej. Po obu stronach łóżka stały szafki nocne z lampkami. Na obu leżały telefony komórkowe. Na jednej dodatkowo stała szklanka z wodą, a na drugiej okulary i książka. Na lewej ścianie była olbrzymia szafa z przesuwными drzwiami. Na prawej, okno zasłonięte grubymi zasłonami, które przepuszczały minimum światła z ulicy. Wystarczająco jednak by można było swobodnie się poruszać.

Przez chwilę im się przyglądał. Mężczyzna coś śnił. Jego gałki oczne szalały pod powiekami. Kobieta leżała spokojnie. Jej równy i delikatny oddech go uspokajał. Powolutku, bez żadnego szmeru zdjął plecak z ramion i delikatnie odsunął zamek. Nagumowana powierzchnia pozwoliła zrobić to właściwie bezdźwięcznie. Z wnętrza wyjął niewielką drewnianą palkę. Idealną do ogłuszania.

Spojrzał jeszcze raz na mężczyznę. Jego gałki pod powiekami cały czas się poruszały. Skoro śni, to pewnie śpi głębiej. On będzie drugi.

Podszedł do kobiety i nachylił się nad nią. Poczł jej owocowy zapach. Najwyraźniej przed położeniem się do łóżka, nasmarowała ciało jakimś balsamem. Wydawało mu się, że czuje gruszkę z domieszką jakichś cytrusów. Całkiem przyjemny aromat. Zaciśnął dłoń na pałce i wziął niewielki zamach. Ważne by uderzyć z odpowiednią siłą. Nie za mocno, żeby przypadkiem nie zabić i nie za słabo, żeby nie trzeba było powtarzać. W powtórkę najprawdopodobniej włożył by za dużo energii. Chwila skupienia. Cios. Głuche stuknięcie drewna o kość czaszki. Ciałem wstrząsną skurcz, ale się nie obudziła.

Jednak jej mimowolny wstrząs zbudził jej męża. Włamywacz był już w drodze na drugą stronę łóżka. Gdy wyrwany ze snu mężczyzna go spostrzegł było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Pierwszy cios był za słaby. Dopiero poprawka, której towarzyszył trzask łamanej kości, odniosła pożądaný skutek.

Nachylił się nad swoją ostatnią ofiarą, z obawą, że facet nie żyje. W sumie w akurat jego przypadku nie robiło by to wielkiej różnicy, ale i tak byłoby szkoda. Zawsze to trochę mniej zabawy. Ten jednak oddychał. Bardzo niespokojnie i nierówno, ale jednak oddychał.

Nachylił się do plecaka i wyjął z niego kneble i kilka przyciętych sznurów. Zaczął od kobiety. Mocno i dokładnie związał jej nogi i ręce, po czym zakneblował usta. Wrócił do mężczyzny i powtórzył te czynności.

Teraz wreszcie mógł poruszać się swobodnie, bez zwracania uwagi na hałas. Sprawdził jeszcze czy węzły są dobrze zaciśnięte i jego ofiary nie zdołają się wyswobodzić. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Czas przejść do kolejnego etapu.

Przeniesienie pana domu do łazienki nie było łatwe. Obezwładniony i skrępowany nie stawiał oporu, co przynajmniej ułatwiło przeciągnięcie go po podłodze. Gdy się z nim uporał, podwinął rękawy i wyjął z plecaka ostre jak brzytwa noże, kupione w sklepie ze sprzętem dla kucharzy. Cienkie ostrza wypróbował wcześniej na dwóch, specjalnie kupionych w tym celu kurczakach. Z braku wprawy, oskórowanie ich nie poszło mu specjalnie gładko, ale narzędzia sprawiły się doskonale. Teraz czekało go trochę trudniejsze zadanie, na zdecydowanie większym obiekcie niż drób.

Zaczął od poderżnięcia gardła mężczyźnie. Ten mimo rany głowy, nagle się ocknął i zaczął się ciskać po podłodze. Krew obficie plamiła mu piżamę na piersi, tryskała na brodę i zbierała się w coraz większej kałuży na podłodze. Oprawca spoglądał na niego z twarzą pozbawioną emocji. Jak pająk przyglądający się owadowi, który zaplątał się w jego sieci. Ofiara poruszała się coraz wolniej, aż znieruchomiła.

Wtedy przystąpił do działania. Ciąć zaczął od prawej pachy, prowadząc ostrze jednym ciągłym ruchem wzdłuż tułowia, aż do biodra. Dalej brakło mu ręki, więc trochę się przesunął i po chwili kontynuował ruch dalej, aż do kolana. Wrócił do pachy i ciął wyżej, aż dotarł do łokcia, gdzie kość utrudniała mu pracę, ale uznał, że tyle wystarczy. Krew wypływająca z rany przesłaniała widok i sprawiła, że podłoga stała się ślizga. W idealnych warunkach, mógłby swoją ofiarę powiesić do góry nogami, poderżnąć gardło i poczekać aż się wykrwawi. Robota byłaby łatwiejsza. Niestety, warunki panujące tutaj nie były na tyle przychylne, by mógł tak zrobić. Nie gasiło to jednak jego entuzjazmu.

Martwy mężczyzna miał lekką nadwagę, co powinno ułatwić sprawę. Warstwa tłuszczu pod skórą stanowiła doskonały materiał ułatwiający cięcie. Działała jak oliwa smarująca ostrze noża, który wchodził w nią jak w masło. Skórowanie zaczął od brzucha, gdzie było najwięcej tkanki tłuszczowej i gdzie miał największy zakres ruchu. Nożem metodycznie odcinał warstwę skóry od ciała, uważając by nie porobić dziur. Jego celem było uzyskanie jak najdoskonalszej i jak największej powłoki. Miał trochę problemów przy udach w połowie których materiał mu się nieco porwał, ale tyle ile udało mu się odciąć, powinno wystarczyć. Większy opór stanowiły ręce. Przy prawej w ogóle mu nie poszło i schrzanił robotę już przy barku, gdzie skóra się przerwała i poszarpała. Przy lewej działał ostrożniej i udało mu się dotrzeć prawie do łokcia. Odciętą skórę delikatnie zrolował na stronę, na której jeszcze przywierała do ciała i odwrócił zwłoki na brzuch. Teraz zaczął od początku podążając w kierunku przygotowanego wcześniej wałka. Na plecach szło mu nieco trudniej, Nabrał już jednak wprawy na tyle, że robił to w miarę szybko i efekt był całkiem przyzwoity. W kilku miejscach co prawda

przeciął skórę, ale i tak całość trzymała się w jednym kawałku. Musiał jednak przyznać, że skórowanie człowieka jest trudniejsze od oprawiania kurczaka. Zupełnie inna skala wyzwania.

Gdy skończył, podniósł skórę w wyprostowanych rękach przed sobą i przyjrzał się krytycznym okiem, efektowi swojej pracy. Nie było idealnie. Tego nie mógł powiedzieć, ale jak na pierwszy raz, nie było chyba też najgorzej.

Pozostała mu jeszcze tylko głowa. Ściągnięcie skalpu i twarzy. Gdy miał się już za to zabierać, usłyszał hałas dochodzący z sypialni. Coś huknęło, coś wyraźnie spadło i rozbiło się o podłogę. Pochłonięty pracą, całkowicie zapomniał o pozostawionej w pokoju kobiecie. Teraz szybko ruszył w jej kierunku, sprawdzić, co ta baba tam kombinuje. Na pewno się ocknęła. Na pewno próbuje się wyswobodzić.

Gdy wszedł do pokoju, zobaczył ją jak leży na podłodze obok łóżka, zalana łzami, z grymasem bólu wyraźnie rysującym się na jej twarzy. Ramię kobiety było dziwnie przesunięte. Najwyraźniej spadając z łóżka wybiła rękę ze stawu. Obok szafki nocnej leżała stłuczona lampka. Podeszedł do niej, szkła przesunął butem najdalej jak się dało. Nie wierzył by kobieta mogła przeciąć nimi więzy szczególnie, że rękę ma pewnie bezwładną, ale odrobina ostrożności na pewno nie zawadzi. Podeszedł do związanej i przez chwilę się jej przypatrywał. Mówiła coś. Widział jej rozbiegany wzrok. Widział jak napinają jej się mięśnie szczeki, a żuchwa wykonuje minimalne ruchy, na jakie pozwala jej knebel. Słyszy jej jęki i stłumiony warkot. Trochę go ciekawi, co chce mu powiedzieć. Czy prosi o łaskę? O to, by ją wypuścić? Na pewno zapewnia, że nikomu nic nie powie. Że jeśli ją uwolni i teraz stąd wyjdzie, nikomu nic się nie stanie. Ale on wie doskonale, że jest już za późno. Przekroczył granicę zza której nie ma już powrotu. Kopnął ją w brzuch. Złożyła się jak scyzoryk. Kopnął jeszcze raz tak dla pewności. Dla podkreślenia kto tutaj rządzi. Potem pochylił się i podniósł ją z podłogi brudząc jej piżamę krwią jej męża. Rzucił kobietę na łóżko i dla pewności sprawdził więzy. Trzymały. Nie powinno być problemów.



Wychodząc, w drzwiach spojrzał jeszcze w jej stronę. Leżała w szoku, bez ruchu z wytrzeszczonymi oczyma wpatrzonymi w sufit. Wiedział, że musi się spieszyć.

Mężczyzna był tam, gdzie go zostawił. W końcu jakby nie patrzeć, był martwy, a martwi nie przemieszczają się zbyt szybko. Skóra na czaszce mocno przylegała do kości, co trochę utrudniało jej zdjęcie, ale i z tym sobie poradził, choć efekt był daleki od ideału. Ważne, że twarz i włosy były w jednym kawałku i przypominały maskę.

Wreszcie nadszedł ten upragniony moment. Rozebrał się. Ubabrane we krwi ubranie i bieliznę starannie złożył i położył na zamkniętym sedesie. Nagi stał pośrodku łazienki. Jego ramiona oblepiała zaschnięta krew. Jego stopy były wilgotne od posoki zalegającej na całej podłodze. Podniósł skórę, swoje dzieło i założył na siebie. Rozcięcie zszył wcześniej wyjętym z plecaka zszywaczem. Był podniecony. Kilka zszywek wbiło się w jego ciało. Ledwo to poczuł. Na głowę założył maskę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Teraz był nim. Przez najbliższych kilka chwil, mógł żyć jego życiem. Życiem człowieka, który dotarł do swego kresu, a jego oskórowane truchło leżało w kącie, strasząc odkrytymi mięśniami, przeciętymi ochłapami mięsa i bieląc się gdzieniegdzie odsłoniętymi kośćmi.

Odetchnął pełną piersią. Podszedł do umywalki. Sięgnął po szczoteczkę do zębów. Były dwie. Różowa i niebieska. Wybrał tę drugą, bo jak słusznie się domyślał, ta pierwsza należała do jego żony. Tak. Teraz już jego żony. Zwilżył główkę pod kranem i nałożył pastę. Zaczął metodycznie szczotkować zęby. Wypluł pianę i sięgnął po kubek stojący na półce. Nalał wody. Nabrał jej do ust i wypłukał resztki pasty. Wypluł. Odstawił kubek. Opłukał szczoteczką i odłożył na swoje miejsce. Sięgnął po grzebień. Splątane i pozlepiane krwią włosy w ogóle nie chciały się rozczesać. Na domiar złego, walcząc z kołtunami przekrzywił sobie maskę. Zaklął i rzucił grzebień na podłogę. Poprawił swoją nową twarz. Otworzył łazienkową szafkę i przejrzał jej zawartość. Sięgnął po wodę kolońską, wylał trochę na dłoń, roztarł w rękach i posmarował policzki oraz szyję.

Wychodząc z łazienki nie spojrzał nawet w kierunku zwłok leżących w jej kącie. Jakby niczego tam nie było. Idąc korytarzem, zostawiał krwawe ślady stóp na podłodze i paski posoki na ścianie po której sunął palcami. Szlak prowadzący do sypialni, gdzie czekała na niego jego (tak, teraz już tak) żona.

\*\*\*

Kobieta leżała półprzytomna na łóżku, tak jak ją zostawił. Czuła ból w miejscu, w którym wcześniej została kopnięta. Usłyszała szmer otwieranych drzwi i w pokoju stanął jej mąż. Ucieszyła się, bo to oznaczało, że w jakiś sposób uciekł oprawcy, może nawet go zabił. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Jednak gdy postać w drzwiach podeszła bliżej, dostrzegła, że coś jest z nią nie tak. Coś w jego wyglądzie ją zaniepokoiło, ale w panującym dookoła półmroku nie mogła stwierdzić, co to było. Dopiero gdy podeszedł do nocnej szafki i zapalił stojącą na niej lampkę, zobaczyła w czym rzecz. Widok zapał jej dech w piersiach i uwięził rodzący się w płucach krzyk, który i tak nie miał szansy przedostać się przez knebel. Stał nad nią lekko pochylony. Krzywa twarz jej męża z dziurami zamiast oczu, upstrzona plamami krwi wpatrywała się w nią, niczym maska z jakiegoś chorego filmu. Postrzępiona skóra opinała jego ciało, jakby była za mała. Brudna, dziurawa i odpychająca. Kiedy zaczęło docierać do niej co widzi, pokój zaczął wirować. Poczuli, że zaraz zemdleje. Chciała stracić przytomność i nie patrzeć na to co ma przed oczyma. Nie myśleć o tym co ją czeka, ale uderzenie otwartej dłoni w twarz, otrzeźwiło ją. Policzek piekł siarczyście, a w ustach poczuła metaliczny smak krwi.

Potwór wszedł na łóżko i okrakiem usiadł na niej. Teraz jeszcze wyraźniej widziała jego okropieństwo. Chwycił za dekolt jej koszuli i po chwili szarpania rozerwał go. Potem materiał nie stawiał już właściwie żadnego oporu. Położył się obok niej. Jedną ręką złapał ją za odsłoniętą pierś i mocno ścisnął. Drugą dłoń włożył jej w majtki. Poczuli jak coś ciepłego rośnie jej przy udzie. Nie chciała o tym myśleć. Zaczęła się szarpać, a łyzy wypełniły jej oczy, jednak nie była w stanie wyrwać się z jego stalowego uścisku. Przesunął się i wszedł na nią przygniatając ją swoim ciężarem. Czuła jego gorączkowy oddech i pełną erekcję między nogami. Nie była w

stanie nic zrobić. W żaden sposób przeciwdziałać temu, co za chwile miało ją spotkać. Nie mogła nawet krzyżeć, gdy brutalnymi, krótkimi ruchami wbijał się w nią. Gdy jej ciało błagało o litość, a umysł tracił kontakt z rzeczywistością.

\*\*\*

Po wszystkim poszedł do łazienki się odlać. Początkowo nie trafił do kibla, ale to nie miało znaczenia. Czuł się rozbity. Spodziewał się czegoś innego. Czegoś bardziej satysfakcjonującego. Inaczej to sobie wyobrażał. Zawód rodził w nim gniew, ale teraz musiał go stłamsić. Za godzinę zacznie się rozwidniać, a przed nim zostało jeszcze trochę pracy. Zdjął z siebie skórę i rzucił w róg, tam gdzie leżały oprawione przez niego zwłoki. Ten punkt przynajmniej go zadowolił. Brakowało mu co prawda wprawy, ale sam proces skórowania spełnił oczekiwania.

Wziął szybki prysznic i ubrał się w swoje ubranie. Zapalił papierosa i wrócił do sypialni. Kobieta leżała tak, jak ją zostawił. Na plecach, ze związanymi w kostkach nogami, ale rozsuniętymi kolanami. Ślepo wpatrzona w sufit. Na jej widok nic nie czuł. Stał przed łóżkiem i taksował ją wzrokiem. Nic. Jakby patrzył na manekina. Widział, że oddycha. Jej twarz po stronie, w którą uderzył, opuchła.

Zaciągnął się dymem, a pozostałą połowę papierosa rzucił na łóżko. Począł, aż pościel zajmie się ogniem, co nie trwało długo. Płomień szybko przybierał na sile. Gdy wychodził z pokoju, zauważył jeszcze jak kobieta się ocknęła. Jak jej oczy rozszerzyła świadomość sytuacji. Chciała się odsunąć, ale było już za późno. Jej włosy zajęły się ogniem, a nogi wplątały się w płonąca pościel.

Niespiesznie zszedł na dół i wyszedł z domu. Cieszył się, że zamożnych stać na dom w mało zamieszkanym miejscu. Zanim ktoś dostrzeże dym i wezwie straż pożarną, budynek będzie już nie do odratowania. Ogień zatrze wszystkie ślady. Co najwyżej, znajdą zwęglone szczątki. Cóż za straszliwy wypadek.

# Marzanna

Most przyciągał jego wzrok. Starał się nie patrzeć w jego stronę i skupiać całą uwagę na spławiku wędrującym z nurtem rzeki, ale budowla nie dawała mu spokoju. W jego głowie wciąż żywe było wspomnienie szeptu, który tam słyszał. Cichego niczym szum traw na łące, ale wyraźnego jakby ktoś stał tuż obok niego. Skóra cierpła mu nawet dziś, gdy sobie o tym przypominał.

A przecież minęły już prawie dwa miesiące. Przez ten czas unikał tego miejsca. Unikał mostu. W ogóle omijał rzekę i łowił na stawach, ale tam połów zawsze był skromniejszy. No i samo łowienie było nudniejsze. Gdy nurt nie porywa spławika, gdy co chwilę nie trzeba go wyciągać i zarzucać od nowa, a człowiek tylko siedzi beczynn timer i wyęży wzrok, patrząc czy gdzieś tam w dali nie ma brania, to nawet czas zdaje się zwalniać i wpatrywać razem z nim. Jasne, takie wędkowanie też ma swoje plusy, ale on wolał jednak bardziej aktywną formę swojego ukochanego hobby.

Ale nie wytrzymał i oto zaszedł tu gdzie jest teraz. Początkowo zaczął łowić bardziej w górze strumienia. Wody było mniej niż wiosną, ale ciężko się było temu dziwić, skoro panujący od kilku tygodni skwar każdemu zdołał dać się we znaki, a spora część jeziora wyparowała. A to z niego wypływała rzeka, która rozpoczynała swój bieg prawie pięćdziesiąt kilometrów dalej, by za następnych trzydzieści połączyć się z Wisłą. Dziś, strumień tu gdzie łowił miał jakieś trzy metry szerokości i średnio od półtora do dwóch głębokości. Jego nurt był leniwy, więc spokojnie można było zarzucić przynętę i iść brzegiem za spławikiem. Przynajmniej tam, gdzie nie było większych zarośli, a między tymi, które były dało się przecisnąć.

Gdy zamoczył dziś pierwszego robaka nie myślał, że dotrze aż tutaj, ale faktem było, że most był już w zasięgu jego wzroku. A to przy nim, złowił największy okaz w swojej karierze.

Dwunastokilogramowy sum był jak na razie jego rekordem. Na samą myśl gęba mu się uśmiechała. Żeby tak jeszcze kiedyś powtórzyć taki wynik.

Ale tamtego dnia, szept wszystko zmienił. Oblał serce chłodem, a ulubione łowisko zamienił w teren, o którym nie chciał nawet myśleć.

Teraz, gdy znalazł się tak blisko, wydarzenia tamtego dnia zdawały mu się mrzonką. No bo co niby mógł słyszeć? Wiatr, szum drzew i jakiś szelest w trawie gdzieś na łące. Dziś w pełnym słońcu, tamten irracjonalny strach wydawał mu się śmieszny.

Splawik porywany nurtem rzeki prowadził go coraz bliżej budowli. Wyobraźnia podsuwała obrazy pełne rekordowych połowów. I tylko gdzieś z tyłu głowy przycisnął się lęk, którego głos od czasu do czasu przebijał się do jego myśli, ale racjonalizm szybko go neutralizował. Taki piękny dzień. Co złego może się przydarzyć?

W końcu dotarł do mostu, gdzie mimo wszystko postanowił zostać na dłużej. Miał nadzieję, że tutaj passa się odwróci, bo jak do tej pory nie mógł tego dnia zaliczyć do udanych. Jeden okonek i dwie płotki, to skromny wynik i nie zanosilo się by dalej było lepiej. To miejsce było dobre jak każde inne, a brzeg tutaj był łagodniejszy i mniej porośnięty krzakami niż gdzie indziej, więc i połowić można spokojniej.

Czas mijał, a choć miał kilka brań to zdołał wyciągnąć tylko dwie ryby. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i za mniej więcej pół godziny powinno schować się za zasłoną drzew, co dawało mu jeszcze jakieś dwie godziny do zapadnięcia zmroku. Nadziei nie tracił, bo przecież wiadomo, że świt i kilka chwil przed zapadnięciem zmroku to najlepszy czas na ryby. A te wydawały się powoli ożywiać i splawik coraz częściej niknął pod wodą.

W końcu coś zdecydowanie porwało przynętę, więc wędkarz nie tracąc ani sekundy zaciął wędką i poczuł ja żyłka się naprężyła. Szybko zaczął kręcić kołowrotkiem, ale poczuł silny opór. Cos dużego. Delikatnie popuścił opuszczając kij po czym z wyczuciem, znowu pociągnął do góry. Znowu popuścił i szybko zwiął luźną linkę. Coś było na haczyku. Ryba prowadziła splawik z lewej na prawą i z prawej na lewą, ale nie miała szans się uwolnić. Chyba, że... -

Kurwa! – aż zaklął widząc jak sławik wędruje w kierunku mostu, gdzie żyłka może zaplątać się w różne rupiecie, które pod nim leżą, a to niemal na pewno doprowadzi do jej zerwania. Tak się jednak nie stało. Wynik był jeszcze gorszy, bo całość tam utknęła. Prawdopodobnie linka o coś zaczepiła i była jeszcze szansa, że ryba cały czas była na haczyku. Szkoda szarpać by nie zerwać żyłki, co równałoby się z utratą zdobyczy. Lepiej odłożyć kij na brzeg i podejść do felernego miejsca. Może uda się jeszcze wszystko uratować.

Jak pomyślał, tak zrobił.

Woda była zimna, jak to w rzece, na szczęście w tym miejscu, niedaleko brzegu, nie było głęboko i strumień sięgał mu ledwo za kolana. Żyłka zaplątana w gałęzie to trudny orzech do zgryzienia, ale nie było to powodem aby się poddać. Pochylony nad wodą starał się jakoś ją wyplątać. I taki pochłonięty zagadką ponownie usłyszał, znany już sobie szept. Skóra momentalnie mu ścierpła, a po kręgosłupie przebiegł zimny dreszcz, który w jednej sekundzie wyprostował plecy. Stojąc nieruchomo, wyprężony niczym struna, wlepił wzrok w otoczenie. Nigdzie nic nie było. Za nim, przed nim, po bokach. Pusto. Ani żywego ducha. Ale szept dobiegł go ponownie. Choć nie był w stanie wyróżnić z niego żadnego słowa, nie miał nawet cienia wątpliwości, co do rodzaju dobiegającego go dźwięku. Kątem oka zauważył jakiś jaśniejszy punkt. Gdy skupił na nim wzrok, tajemniczy kształt zanurzony w wodzie skojarzył mu się z twarzą. Zamarł. Jakby wrósł w ziemię. Lico niesione prądem zbliżało się ku niemu, a on z każdą sekundą widział dokładniej jego szczegóły. Widział także rozkołysane przez wodę włosy i resztę ciała.

Topielica.

Ciało niesione nurtem płynęło w jego stronę. Patrzył na nie jak zahipnotyzowany. Było coraz bliżej aż zatrzymało się na jego wysokości, zaledwie metr od brzegu. Być może zaczepiło o jakiś zatopiony konar. Nie wiedział tego, ale nie to było teraz ważne. Być może popychane prądem, a może jakąś nadnaturalną mocą zwłoki obróciły się i głową do przodu podplłynęły do brzegu na wyciągnięcie jego ręki. Szept już nie zanikał. Doskonale widział szczegóły martwej kobiety. Rysy jej twarzy, włosy unoszone przez wodę oraz błękit jej

letniej, ubrudzonej czymś czarnym sukni. Ubrudzonej albo... nadpalonej? Szept stał się natarczywy. Chciał się cofnąć, uciec, ale nie był w stanie ruszyć nogą. Wzrok miał wlepiony w ciało przed sobą, a myśli... nie miał myśli. Grzmiący w jego głowie szept pochłaniał wszystko.

Nagle, martwa kobieta poderwała się z rzeki, a wokół zawirowały krople wody. Krzyknął, ale nadal nie był w stanie zrobić żadnego ruchu. Dziewczyna podeszła do niego i zagładając mu głęboko w oczy, unieruchomiła jego głowę silnym uściskiem dłoni. Szarpnęła się do tyłu, a jego ciało zalała odbierająca oddech, fala lodowatej cieczy. Znajdując się pod wodą zaczął krzyczeć. Ale nie z zimna. Nie dlatego, że znalazł się pod wodą. Nie dlatego, że tonął. Wrzask wywołała fala obrazów, która wdarła się do jego umysłu rozrywając go na strzępy.

Widział most. Na nim troje ludzi. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Wszyscy wydawali się wstawieni. Ona krzyczała, chciała się od nich uwolnić, ale przygwoździli ją do barierki. Zaczęli się do niej dobierać. Jej protesty nie przynosiły efektu, a jej nieudolne próby wyrwania się tylko ich nakręcały. Krzyczała, ale nikt jej tutaj nie mógł usłyszeć. Gwałt wisiał w powietrzu i zdawał się nieunikniony.

Zachłysnął się wodą. Jego umysł zalała fala bólu, strachu i cierpienia. Czuł, że jest nagi, ale przecież okalała go niebieska sukienka. Że ktoś rzuca go na ziemię i przyciska do podłoża. Czuł zapach desek z mostu i fakturę drewna na pliczku. Piach i kurz w ustach. I coś twardego co się w niego wdziera. Krzyczał, płakał, zaciskał powieki nie chcąc uwierzyć w to co się dzieje. Poczł smród wódki, którą na niego wylali. Usłyszał trzask zapałki i przewrócił się na plecy. Zobaczył lecący w jego kierunku płomień. Po chwili do jego uszu dotarło delikatne puf, jak przy podpalaniu denaturatu, albo benzyny. Jego ciało stanęło w płomieniach, a skóra zaczęła przeraźliwie piec. Zerwał się na nogi i rzucił przez barierę mostu w toń rzeki. Nim uderzył o jej powierzchnię usłyszał jeszcze szydercze – Biegnij marzanno, biegnij. Może to ci pomorze – z ust jego oprawców.

A to był pierwszy dzień wiosny. Ciepły i słoneczny, choć w cieniach zalegało jeszcze trochę śniegu.

Zaczął się dławić i krztusić, a woda z wypełniała jego płuca. Szarpał się i wił, ale cały czas czuł, że coś go trzyma... aż w pewnym momencie to coś rozluźniło swój uścisk. Nie wiedział gdzie jest góra, a gdzie dół. Otworzył oczy i w pewnym momencie zobaczył jaśniejszy punkt. Zrozumiał, że to tam musi płynąć. Rozpaczliwie zaczął odgarniać rękoma wodę i w końcu zaczerpnął haust powietrza. Dobił do brzegu, wyrzygał wodę, która wcześniej zalała mu płuca i upadł na przybrzeżną trawę. Łapczywie łapał oddech. Nurt zniósł go kilkadziesiąt metrów w dół rzeki, ale przynajmniej wiedział, gdzie się znajduje.

Nigdy już nie łowił w tym miejscu. Na moście był jeszcze tylko raz. Położył kwiaty, zapalił znicz i zmówił krótką modlitwę za duszę zmarłej. Kimkolwiek była.



# Podziemia chwały

Awizo w skrzynce nieco Mariusza zaskoczyło. Jak zwykle po powrocie z pracy sprawdził jej zawartość, ale poza spodziewaną pustką lub garścią ulotek znalazł tam mały druczek od listonosza. Jako, że nie oczekiwał niczego, jego pierwszą myślą był mandat. Jednak na formularzu zaznaczona była paczka pocztowa. Czyli coś większego, a to już zupełnie zbiło go z tropu. Przez głowę przemknęła mu jeszcze myśl czy nie odebrać przesyłki jutro, po drodze z pracy, ale w sumie i tak nie miał nic innego do roboty, więc odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku poczty.

Ta jak zwykle była zapchana. Cztery okienka, ale klienci stali tylko przy pierwszym. W drugim siedziała pani, która waliła w coś stemplem jakby chciała się upewnić, że cokolwiek to jest, na pewno jest martwe. W trzecim przyjmowano tylko wpłaty, a że dziś chyba nikt nic nie wpłacał, obsługująca je pracownica z nieobecny wzrokiem piłowała paznokcie. A w czwartym ziała pustka.

Westchnął, ustawił się na końcu kolejki do pierwszego okienka i z mozołem, wraz ze wskazówką leniwie przesuwającą się po tarczy zawieszzonego w kącie zegara, zbliżał się do swego przeznaczenia. Gdy wreszcie nadeszła jego kolej, podał kobiecie za szybą awizo, potwierdził swoje nazwisko i odprowadził wzrokiem drobną blondynkę, która zniknęła za drzwiami magazynku. W sumie całkiem niezła, pomyślał. Po chwili wyłoniła się z paczką pod pachą. Poprosiła o dowód, podała mu arkusz papieru wskazując gdzie ma się podpisać i wydała przesyłkę. Podziękował, wyszedł i ruszył w drogę powrotną. Nadal nie zdawał sobie sprawy, co może kryć się za szarym papierem, w który owinięta była zawartość. Szczególnie, że nie było nawet adresu nadawcy. Tylko adresat wypisany czarnym markerem, równymi drukowanymi literami.

Po dodaniu do mieszkania, nie tracąc czasu rozerwał opakowanie i wszystko stało się jasne. „Podziemia chwały” gra planszowa. Zapomniał o niej. Swego czasu dorzucił się do zbiórki na jednym z portali crowdfundingowych i wyleciało mu z głowy. Tak to już jest jak coś powstaje nieskończenie długo, aż fakt istnienia tego zaciera się w pamięci. Przypomniał sobie jednak, że tytuł zagrał na jego nostalgii, plansza wyglądała na całkiem przyjemną, a skrócone zasady gry zdawały się obiecujące. Nie pozostawało nic innego, jak zaprosić ekipę i wypróbować nową zabawkę.

Chwycił za telefon i obdzwonił towarzystwo. Marek i Majka zadeklarowali, że sobota im pasuje. Piotrek będzie miał nockę więc nie da rady. Zbyszkowi termin odpowiadał. A pytanie Romka i Kacpra było tylko formalnością. Pozostawało poczekać do weekendu, ale spotkanie ze znajomymi wymagało poczynienia konkretnych zakupów.

Te zrobił już w czwartek. Po pracy podjechał do Tesco, jak co tydzień tego właśnie dnia tygodnia i poza normalnymi zakupami niezbędnymi do przeżycia, dotaszczył do kasy paletę piwa i kilka paczek chipsów, paluszki i solone orzeszki ziemne. By wnieść to wszystko do mieszkania, musiał chodzić dwa razy, co nieco nadwyrężyło jego poczucie męskości, ale co tam, nikt pewnie nie widział. I tego się trzymajmy.

W piątek wieczorem zapoznał się z zawartością pudełka i instrukcją gry. Ta okazała się w kilku miejscach niedokładna, ale wiedział z doświadczenia, że wszystkie niejasności wyklarują się podczas rozgrywki. A jeśli nie i nadal będzie coś niezrozumiałe to po prostu lekko nagnie się zasady. Wszystko by gra toczyła się płynnie i wszystkim sprawiała przyjemność. A patrząc na szczegółowo zrobione figurki, fantastycznie wykonane karty przygód i pełną szczegółów planszę, szkoda by było by system okazał się niedopracowany, albo co gorsza, mało grywalny. Choć Mariusz wiedział, że wszystko wyjaśni się już jutro, to kolorowe pudło cały czas go kusilo na tyle, że musiał je schować do szafy by nie stało na widoku.

Sobotni wieczór wreszcie nastał. Pierwszy zjawił się Romek. Powiedział, że Kacper dołączy za kilka minut bo skoczył jeszcze po coś do monopolowego. Marek, Majka i Zbyszek zjawili się jednocześnie, a spotkali się w tramwaju, którym podjechali. Zaraz po nich wpadł zagubiony Kacper z litrową butelką Jima Beama, która miała rozruszać towarzystwo przed rozpoczęciem rozgrywki. I dała radę. Wszyscy szybko wpadli w dobry nastrój i po swobodnej dyskusji, wymianie ostatnich plotek i kilku kolejkach bursztynowego trunku mogli przejść do głównej gwiazdy wieczoru.

„Podziemia chwały” od razu robiły dobre wrażenie i trudno było nie docenić kunsztu wykonania elementów gry. Plansza zrobiona była z grubego i sztywnego kartonu, pokrytego materiałem wyglądającym jak skóra. Każdy wątpił, by była to prawdziwa skóra choć trzeba przyznać, że łatwo byłoby się pomylić. Ponadto były na niej wypukłości i wgłębienia, które dodawały jej charakteru, ciekawej faktury i w pewnym sensie kolejnego wymiaru. Naniesiona na nią grafika symbolizowała labirynt, po którym poruszać się będą gracze i w którym przeżywać będą swoje przygody. Te oparte zostały na dwóch stosach kart, które symbolizowały możliwe do wykonania akcje i niebezpieczeństwa czyhające na śmiałków. Figurki bohaterów to prawdziwy majstersztyk. Metalowe, co dodawało przyjemnej ciężkości, bogato zdobione i doskonale pomalowane. Kickstarter dawał możliwość wyboru pokolorowanych pionków lub gołych, do samodzielnego ozdobienia. Mariusz wybrał te pierwsze, bo choć próbował kilka razy zabawy farbami, to te jednak się z nim nie lubiły. Efekt końcowy zawsze był daleki od akceptowalnego. Obrazu całości dopełniały znaczki oznaczające zdrowie, zgromadzone zasoby i punkty ruchu. Do ich jakości również w żaden sposób nie można było się doczepić.

Zasady gry wydawały się zrozumiałe i nie przesadnie skomplikowane. Celem rozgrywki było przedarcie się przez labirynt do komnaty, w której znajdowała się magiczna kula wypełniona gwiazdnym pyłem. Jej magia polegała na spełnieniu jednego życzenia, a to otwierało spore pole do popisu. Kacper zażartował, że już lepiej jakby była tam ukryta złota rybka, bo ta oferowała przynajmniej trzy życzenia. Potem rozmowa potoczyła się w

kierunku lampy Aladyna, a następnie Shen Longa i jego smoczycich kul, ale w tym momencie zaczynało robić się już nieco zbieranie, więc Majka szybko interweniowała.

W końcu nastał kres żartów, plansza została rozłożona, bohaterowie wybrani, zasady mniej więcej wytłumaczone i ekipa zabrała się do gry, choć początek jak to w przypadku pierwszej rozgrywki przyniósł pewne trudności.

- Czyli co? Najpierw wykonuję ruch, potem ciągnę kartę i robię to co jest na tej karcie? – dopytywał Marek, który jak zwykle miał najwięcej problemów z mechaniką gry. Każdej. Nawet jakby usiadł do warcabów to zapewne nie wszystko byłoby dla niego jasne.

- Z grubsza tak – odpowiedział Mariusz.

- Jak to z grubsza?

- Z grubsza, bo możesz zrobić tak jak mówisz, ale pamiętaj, że po swoim ruchu musisz zostawić sobie jeden punkt akcji na pociągnięcie karty – jak zwykle, z anielską cierpliwością wyjaśniał organizator rozgrywki. – Możesz też wykorzystać wszystkie punkty akcji. Wtedy przesuniesz się o jedno pole dalej, ale nie będziesz mógł pociągnąć karty.

- A niby po co mam leżać jedno pole dalej, skoro stracę kartę?

- Bo na tym jednym polu dalej możesz mieć jakiś bonus jeżeli – do rozmowy włączył się Romek, który był kilka poziomów mniej cierpliwy niż Mariusz.

- Na przykład co?

- O rety – Romek.

- Np. złoto, odnowienie zdrowia lub inne bonusy. Czasami się chyba opłaca, ale to nam się wyklaruje podczas gry – spokojnie wyjaśnił Mariusz.

- To ja jednak chyba ciągnę tę kartę.

- To jedziesz.

Marek wyciągnął kartonik z puli niebezpieczeństw.

- I co ci się trafiło? – zapytała Majka.

- Stałeś na kamieniu, który otworzył tajną komnatę. Możesz do niej wejść i sprawdzić czy nie kryje się w niej jakiś skarb. Co robisz? – Przeczytał będący aktualnie w swojej turze gracz – I co mam zrobić? – Zapytał.

- Możesz wejść lub nie. Decyzja należy do ciebie – poinstruował Mariusz.

- A jak wejść i coś tam będzie na mnie czyhać. Nie mam za dużo zdrowia po ostatniej walce z trollem.

- Trudno. To tylko gra.

- To wchodzę – Marek wziął swój pionek i przesunął po planszy do odkrytej komnaty.

W kącie w przedpokoju zaczął gęstnieć mrok. Czerń nabrała ciężaru i głębi by po chwili uformować się w ludzką postać albo kształt ją przypominający. Przez ciemność przebijały się tylko białka oczu bez tęczówek. Jak u trupa.

- W komnacie widzisz skrzynię, w której na pewno ukryty jest jakiś cenny przedmiot. Skrzynia jest jednak zabezpieczona – przeczytał Mariusz. – Teraz będziemy rzucać kostkami. Ty za swoją postać, ja za grę. Wygrasz jeśli wyrzucisz tyle samo lub więcej niż ja. Jeśli mniej otrzymasz tyle obrażeń, ile wyniesie różnica oczek na kostce – poinstruował. – Gotowy?

- Kurczę, kiepsko bo mam tylko trzy punkty życia.

- To postaraj się nie wyrzucić za mało. – Romek jak zwykle potrafił dodać otuchy.

- Dobra. Nie ma na co czekać. Ja rzucam pierwszy.

Kostka poturlana przez Mariusza zastukała na stole i zatrzymała się na czterech oczkach.

- Masz szansę – dopingował Kacper.

- Teraz Ty – ponaglił Mariusz, któremu ta tura zaczęła się lekko już dłużyć.

- No to rzucam.

Marek chuchnął w dłonie, potrząsnął nimi kilka razy i rzucił. Kostka potoczyła się po stole i zatrzymała na... jeden.

Postać w przedpokoju, o której istnieniu nikt nie zdawał sobie sprawy, zrobiła krok do przodu, zafalowała i zniknęła.

- Kiepsko – prychnął Romek.

- Niestety poniosłeś porażkę. Podłoga rozstępuje się pod twoimi stopami i wpadasz w buzujący w dole ogień – przeczytał Mariusz.

- No nie, wie... - Marek nie zdążył dokończyć zdania.

Coś pstryknęło. Jakby w powietrzu przeskoczyła elektryczna iskra. Nagle przegrany stanął w płomieniach, a pokój wypełnił jego przeraźliwy wrzask zmieszany z hukami ognia. Wrzask osoby palonej żywcem, której ciało pochłaniają łapczywe płomienie. Wokół rozniósł się smród przyżeganych włosów i skóry. Topiącego się tłuszczu.

Płomień zniknął tak samo szybko jak się pojawił. Została po nim nieprzyjemna woń i spalone truchło na krześle. Pomarszczona, dymiąca jeszcze skóra na zwłokach Marka. Dłonie zaciśnięte na blacie stołu i odchylona do tyłu głowa szczerząca się białymi zębami bez warg i wlepiająca puste oczodoły w sufit.

Zapadłą dookoła ciszę przerwało skrzyknięcie krzesła Majki, gdy ta zerwała się na równe nogi i ruszyła do okna by je otworzyć. Ten dźwięk otrzeźwił pozostałych. Zbyszek pobiegł do łazienki wymiotować. Kacper dołączył do dziewczyny by złapać haust świeżego powietrza. Mariusz odsunął się od stołu, ale nie wstał. Z niedowierzaniem patrzył na zwęglone ciało przyjaciela i nie mógł uwierzyć w to co się wydarzyło. Nie rozumiał jak mogło do tego dojść, a jeśli już się stało, to czemu od ognia nie zajął się stół czy krzesło, na którym siedziała ofiara. Romek z kolei zdobył się tylko na rzucenie - kurwajapierdole - przez wyraźnie zaciśnięte gardło.

Postać w mroku znowu się zmaterializowała, a oprócz białek oczu jak wcześniej, błysnęły jej blade zaostrome zęby w czymś co mogło być uśmiechem.

Zbyszek wyszedł łazienki klepiąc się po twarzy. Był blady i spocony. Przechodząc przez przedpokój (i niematerialną istotę, która tam stała) ogarnął go przeszywający chłód. Potarł dłonie i wszedł do pokoju.

- Boże, co tam tak zimno? – zapytał patrząc na przedpokój.

- Już zamykam okno – powiedziała Majka i z trzaskiem zamknęła skrzydło. – Sorry, ale musiała trochę tu przewietrzyć po tym co... och – załkała, a łzy zaczęły jej spływać po policzkach. Kacper ją przytulił.

- Nie tu. W przedpokoju. Tam jest lodowato.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, który wskazał, ale nic tam nie dostrzegli. Ciemność pustego pomieszczenia cofała się w progę spłoszona światłem z pokoju. Nic tam jednak nie było.

Ten moment pozwolił wszystkim wrócić do rzeczywistości i skupić się na niedawnym tragicznym wydarzeniu. Trup Marka nadal tam był. Spoczywał na krześle w tej samej pozycji, a dookoła cały czas unosił się smród spalonego mięsa.

- Spokojnie. Bez paniki. – Mariusz starał się jakoś ogarnąć sytuację. – Zastanówmy się, co tu się stało.

- Marek spłonął! To się stało! – Romek jak zwykle dobitnie i bez skrupułów wyjaśnił sytuację. – Czego tu nie rozumiesz?

- Ale jak do tego doszło? Przecież nie zabiła go planszówka.

- No chyba właśnie zabiła – włączył się Zbyszek.

- Wlazł do ukrytej komnaty, przegrał walkę i go zabiła – nie ustępował Romek. – Wszystko!

- Ale przecież gry nie zabijają ludzi – wykrztusiła Majka, która zdołała się jakoś pozbierać i przestała płakać. Odsunęła się od Kacpra i podeszła do stołu wpatrzona w zwęglone ciało. – Nie zabijają – powtórzyła i odwróciła wzrok od zwłok.

- Zabijają czy nie, musimy postanowić do robimy – Mariusz przejął inicjatywę.

- Zadzwońmy na policję – Kacper nadal stał przy oknie. – Niech oni to wyjaśnią.

- Ta! I nas wszystkich przymkną za morderstwo? – nie pozostawiał złudzeń Romek.

- Jak to za morderstwo? Przecież my go nie zabiliśmy.

- A na co ci to wygląda jak nie na morderstwo? I to ze szczególnym okrucieństwem.

- Boże nie wiem. Samozapłon? Takie rzeczy się zdarzają.

- Jebać to. Dzwonię na policję – Zbyszek wyjął telefon i mimo protestów zebranych w pokoju przyjaciół zaczął wybierać numer. – Kurwa, nie mam zasięgu.

Wszyscy wyjęli swoje słuchawki i stwierdzili, że u nich też głucho. Zero kresek. Biała plama.

- To nie możliwe. Planszówki nie zabijają ludzi, a telefony nie tracą zasięgu ot tak. – Mariusz nie dawał za wygraną. – Przecież na pewno da się to jakoś wytłumaczyć.

- Jak? Słucham. – Romek wbił w niego wzrok i odczekał kilkanaście sekund. – I co? Nic nie przychodzi ci do głowy? Żadnego

sensownego wyjaśnienia?

- Nic.

- No widzisz. Jednak planszówka.

- Dobra, ja idę na policję – Kacper.

- Czekał, idę z tobą – dołączył Zbyszek, dla którego było to naturalnym następstwem nie udanego połączenia przez telefon. – Komisariat jest w sumie niedaleko. Szybko obrócimy.

Nie czekając na dalszy rozwój wypadków i falę protestów jaka mogła za chwile wybuchnąć, ruszyli do przedpokoju by się ubrać. Gdy przekroczyli jego próg i zagłębili się w panujący tam mrok, Kacper idący przodem poczuł opór i ucisk na klatce piersiowej. Gdy spojrzał w to miejsce, zobaczył kościstą dłoń obleczoną bladą skórą, która ginęła w doskonale czarnym rękawie. Gdy skupił wzrok przed sobą, zdał sobie sprawę, że ktoś przed nim stoi, ale jego kształty nie były do końca materialne. Dech zaparło mu w piersi i wydostał się dopiero wraz z popchnięciem, które było efektem wpadnięcia na niego Zbyszka. Ten zaskoczony nagłym zatrzymaniem się idącego przed nim kolegi, zwyczajnie nie wyhamował i się z nim zderzył. Co dziwne, efekt był jak wpadnięcie na ścianę. Kacper nie zrobił kroku do przodu. Nawet nie wychylił się za bardzo jakby trzymała go jakaś siła. I tak właśnie było. Kacper po chwili zaskoczenia i bezruchu, krzyknął i szarpnął się do tyłu przewracając będącego za nim kompana, a potem potykając się o niego upadł jak długi i wpadł z powrotem do pokoju. Przerażony wpatrywał się w mrok przedpokoju.

Zbyszek nie wiedział co się dzieje i zaczął coś mamrotać pod nosem, ale panika w oczach Kacpra skutecznie go uciszyła i zaczęła udzielać się także jemu.

Mariusz, Majka i Romek, będący cały czas w pokoju patrzyli na tę scenę w niemym zaskoczeniu, nie rozumiejąc co się dzieje.

Kacper spojrzał na nich, wrócił wzrokiem do przedpokoju, a potem znowu zapatrzył się na nich.

- Widzieliście to? – zapytał głosem, który dobiegał jakby z daleka.

- Widzieliście? – powtórzył wyraźniej.

- Ale co? – zapytała zaskoczona całą sytuacją nie mniej niż inni, Majka.

- To co tam było. W ciemności – ręką wskazywał na przedpokój.



Zbyszek nie wstając, zaczął się odpychać nogami by odsunąć się jak najdalej od drzwi.

Wszyscy wpatrywali się w mrok za ościeżnicą, ale nie mogli niczego dostrzec. Czas jakby zwolnił by po chwili, gdy z miejsca, w którym starali się coś dostrzec, cokolwiek co mogło wyjaśnić przerażenie Kacpra, dobiegł ich przerażający głos. Przerażający nie tyle z samego brzmienia, co bardziej z faktu, że go usłyszeli.

- Gra musi dobiec końca – rozbrzmiały słowa, przypominające szum wiatru, po których nastąpiła cisza tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

- Słyszeliście to? – zapytał Romek.

Nikt mu nie odpowiedział. Tylko Mariusz twierdząco pokiwał głową.

- Pierdolę to! Ja się zmywam! – wykrzyknął Romek i rzucił się do przedpokoju.

Gdy tylko przekroczył jego próg, gdy był już prawie przy drzwiach znów coś pstryknęło. Ten sam dźwięk, po którym Marek stanął w płomieniach. Potem coś plasnęło. To były kawałki ciała, bryzgi krwi i wnętrzności Romka, który po prostu eksplodował. Jego posoka i strzępy ciała pokryły całe wnętrze przedpokoju, wylewając się na podłogę pomieszczenia, w którym z nie dowierzaniem na twarzach stali pozostali gracze.

- Gra musi dobiec końca – rozbrzmiały ponownie słowa. Wyraźne, choć ponownie przypominające bardziej szum mroźnego wiatru, niż jakikolwiek głos.

Majka zaczęła krzyczeć. Otępiąły Mariusz pomyślał o sąsiadach. Przecież muszą słyszeć te wrzaski. Co sobie pomyślą? Zbyszek podbiegł do okna, otworzył je i zaczął wchodzić na parapet. Widząc to Kacper rzucił się w jego kierunku krzycząc żeby się zatrzymał, że to jest siódme piętro. Nie zdążył. Jego palce musnęły tylko tył jego koszulki. Spadł, czemu towarzyszyło głuchoe łupnięcie ciała na twardą kostkę chodnika. Chłopak wychylił się na zewnątrz i na dole zobaczył ciało kolegi. Spokojne, leżące pod nieco dziwnym kątem. I tylko rosnąca pod nim ciemna plama sugerowała, że coś jest bardzo nie tak.

Majka ucichła, ale wzrok cały czas wbijała w mrok korytarza. Zrobiła krok to tyłu i z ręką przyciśniętą do ust ciężko usiadła na krześle.

Mariusz podbiegł do okna i stanąwszy za plecami Kacpra wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył to samo, co on wcześniej.

- Co... - zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle. Bo co tu można powiedzieć. Obaj stali i patrzyli na martwego Zbyszka. Nikt jeszcze nie zbliżył się do ciała. Jakby nic się nie stało. Jakby nikt nic nie zauważył.

Mariusz rozejrzał się po okolicy. Prawie pusto. Z prawej w dali było widać stojących przy ławce dwóch łebków. Po lewej chodnikiem szła jakaś kobieta. Właściwie nawet nie szła, a zamarła w pół korku, jakby zszokowana tragedią, która przed chwilą się rozegrała i która nie mogła umknąć jej uwadze. W żadnym wypadku. Jednak jej postawa wydała się Mariuszowi co najmniej dziwna. Oderwał od niej wzrok i spojrzał na drzewa, potem na zasnute chmurami nocne niebo, przez które przebijało się leniwe światło księżyca.

- Ej, widzisz to... - zaczął, a jego słowa wyrwały Kacpra z marazmu.

- No jak mam tego kurwa nie wiedzieć! Czemu on to zrobił Mariusz? Czemu! – Jego głos był rozedrgany, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem. – Czemu? – Powtórzył, ale ledwo słyszalnie.

- Nie wiem stary, ale spójrz na niebo. Spójrz na drzewa.

- Co?

- Spójrz na drzewa.

- Po chuj mam patrzeć na drzewa!? Nie widzisz co tu się dzieje!?

- Kacper! Spójrz na te pierdolone drzewa!

- Patrzę!

- Widzisz?

- Drzewa jak drzewa do kurwy nędzy! Mamy tu chyba większa zmartwienia.

- Ale te drzewa nie szumią. Nie bujają się. Liście nie drżą, a przecież czuć delikatny wiatr.

- Co? – Kacper był wyraźnie zbity z tropu.

- Spójrz na niebo. Chmury nie płyną. Spójrz na te kobietę na chodniku i na tych gości przy ławce. Nie ruszają się. Nic się nie

rusza.

- Faktycznie.

- Jakby czas stanął w miejscu.

- Jakbyśmy tylko my... - Kacper nie dokończył, bo w pokoju rozległ się znany im już szept. Głos, który ponownie zmroził im krew w żyłach.

- Grajcie.

Odwrócili się od okna. Spojrzeli na Majkę, a ta patrzyła na nich. Nie wiedzieli od jak dawna. Usta miała otwarte w niemym zdziwieniu, a ręką wskazywała na przedpokój. Również skupili tam wzrok. Mrok. Jakby gęściejszy niż jeszcze kilka chwil temu. Na progu krew Romka. Tylko, że teraz dziwnie lśniła. Jakby pokryta szronem. Mariusz zdał sobie sprawę, że chłód, który czuł od jakiegoś czasu wcale nie bił z otwartego okna, a z przedpokoju.

- Grajcie. – znowu ten szept.

Chłopaki odeszli od okna i usiedli przy stole. Wokół panowała idealna cisza. Nic nie było słychać. Nawet najmniejszego szmeru.

- Musimy grać – nalegał Mariusz.

- Chyba nie mamy wyjścia – zgodził się z nim Kacper.

- Majka? Majka!?! – wołał koleżankę pierwszy z nich, ale Majka nie reagowała. – Majka! – Dziewczyna odwróciła się w jego stronę, ale w jej wyrazie twarzy nie było zrozumienia. – Majka, musimy grać.

- Grać?

- Tak. Musimy kontynuować rozgrywkę bo inaczej to nigdy się nie skończy.

- Ja... - dziewczyna spojrzała na spalone zwłoki Marka, które cały czas trwały na krześle przy stole, a na które Mariusz i Kacper starali się nie patrzeć. I te zęby. Nienaturalnie białe, szczerzące się zęby. Jakby trup się z nich śmiał. Jakby kpił sobie z nich. Jakby czekał na swoją turę.

- Majka?

- Nie gram.

- Nie możesz...

- Nie gram!

- Grasz. Nie mamy wyjścia – Kacper.

- Graj Majka. Twoja kolej – Mariusz.

Dziewczyna zacisnęła usta tak, że te zmieniły się w jedną bladą kreskę. Wyciągnęła drżącą rękę, chwyciła swojego pionka i przemieściła o dwa pola. Sięgnęła po kartę przygód i położywszy na niej rękę, zamarła. Spojrzała najpierw na Kacpra. Potem na Mariusza. Przyciągnęła kartonik do siebie i przebiegła po nim wzrokiem. Skuliła się w sobie i utkwiała wzrok w Marku. W tych jego wyszczerzonych w demonicznym uśmiechu zębach, pozbawionych warg i obleczonych dookoła spaloną tkanką.

Coś pstryknęło.

Na szyi dziewczyny pojawiła się cienka czerwona linia. Przez chwilę nic się nie działo, aż po kilku sekundach jej głowa odchyliła się do tyłu i z głuchym stuknięciem spadła na podłogę. Z otwartych naczyń krwionośnych trysnęła krew, zalewając jej ubranie i zbierając się w kałuży wokół jej krzesła. Ciało lekko się osunęło, ale nie spadło z krzesła. W dłoni nadal ścisnęła swoją kartę.

Mariusz przymknął oczy i zacisnął ręce w pięści. Nie chciał na to patrzeć. Nie chciał tu nawet być, ale wiedział, że nie ma na to szans. Gra musi toczyć się dalej.

Kacper zgrzytając krzesłem odsunął się od stołu i zerwawszy się z niego wyrzucił z siebie wiązaną przekleństw. Zaczął krążyć po pokoju i mówić coś do siebie. Był zrozpaczony.

Mariusz dał mu chwilę. Dał chwilę sobie.

- Kacper, grajmy – zawołał.

- Pierdolę!

- Grajmy. Wiesz, że inaczej z tego nie wybrniemy.

- Pierdolę tę grę! Pierdolę Ciebie! Pierdolę to coś w przedpokoju!

Wszystko pierdolę!

- Rozumiem, ale grajmy.

- Kurwa! – wykrzyknął Kacper i wrócił do stołu.

W pokoju zrobiło się jeszcze zimniej. Z każdym oddechem widzieli jak z ich ust delikatną mgiełką wydobywa się para. Rozgrywka przebiegała im w miarę płynnie. Starali się nie myśleć o swojej sytuacji. Nie patrzeć na to, co ich otacza. Gra prowadziła ich przez kolejne komnaty, pułapki i walki, ale odwdzięczała się też szansami i bonusami. Nic bardzo strasznego się nie wydarzyło i obaj

dobrnęli prawie do końca. Prowadzeni przez nich bohaterowie stanęli w ostatniej komnacie, w której kryła się ostateczna nagroda.

- I co teraz? – Zapytał Kacper.

- Instrukcja mówi, że do finałowej komnaty może wejść tylko jeden gracz.

- Nas jest dwóch.

- Nas jest dwóch, dlatego musimy się pojedynkować.

- Pojedynkować?

- Pojedynkować.

- Jaja sobie robisz. Przecież to oznacza, że cała ta gra była zupełnie niepotrzebna. Po chuj tracimy tu czas. Mogliśmy dać się pozabijać od razu.

- Jeden z nas przeżyje. Gdybyśmy się poddali, zginęlibyśmy obaj. To coś – wskazał ręką na przedpokój, którego ukryte w mroku ściany, skrzyły się lodem – zabiło by nas obu. Tak przynajmniej jeden z nas ma szansę.

- Pierdolę taką szansę!

- Kacper, nie mamy wyjścia.

- Przestań to kurwa powtarzać! Zawsze mamy wyjście. Możemy skoczyć przez okno jak Zbyszek i skończyć to wszystko.

- Obaj? To jest według ciebie dobre rozwiązanie?

- Kurwa, nie wiem. Nie wiem co mamy robić. – Czuć było zrezygnowanie w jego głosie.

- Grajmy. Rozstrzygnijmy to w pojedynku. I tak nie mamy wy... - Mariusz zatrzymał się w pół słowa. – I tak nic innego nam nie pozostało.

- No to grajmy. Kto zaczyna?

- Ty. Wybierasz atak, ale nie pokazujesz mi co wybrałeś. Ja wybieram obronę i też jej nie pokazuję. Potem rzucasz kostką, a liczba wyrzuconych oczek określa siłę ataku. Jeśli np. atakujesz bronią białą, a ja jako formę obrony wybrałem tarczę, nie zadajesz mi żadnych obrażeń. W przeciwnym razie cios przechodzi i zabierasz mi tyle punktów życia, ile wyrzuciłeś na kostce. Jasne?

- Chyba tak.

- Ja mam pięć punktów życia, ty cztery. Nie ma wielkiej różnicy.

- To wybieramy – nie było co przeciągać tego momentu.

Kacper wahał się nad bronią białą i magią, ale w końcu wybrał kulę ognia. Magiczne zaklęcie, które w przypadku gdy przeciwnik zasłoniłby się drewnianą tarczą (a tylko taką miał Mariusz), zadaje tylko połowę wyrzuconych obrażeń, ale za to niszczy tarczę. Mógłby w kolejnej turze zatakować mieczem i zadać pewne obrażenia. Sięgnął po kostkę.

- Wybrałeś? Mogę rzucać?

- Rzucaj.

Kostka zastukała o blat stołu i wypadło dwa. Trochę słabo. Kacper odwrócił swoją kartę ataku. Mariusz odwrócił kartę obrony, którą okazała się ochrona przed magią.

- Udało ci się.

- Po prostu przewidziałem twój ruch.

- Być może. Teraz twoja kolej.

Mariusz postawił na atak kuszą licząc, że skoro Kacper atakował magią, to pewnie spodziewa się podobnej odpowiedzi. Widział, że jego kolega się wacha. Mimo chłodu pot lśnił na jego czole. Wreszcie wybrał i spojrzał na niego. Mariusz nie czekał. Sięgnął po kostkę i rzucił.

Pięć. Szach mat.

Pstryknięcie.

Lewe oko Kacpra nagle zniknęło by kilka milisekund później wylecieć w rozprysku krwi, kawałków mózgu i fragmentów czaszki z tyłu jego głowy. Ciało targnięte widmowym uderzeniem, przewróciło krzesło i wraz z nim zważyło się na podłogę obok trupa Majki.

Mariusz zaskoczony tym co się przed chwilą stało, zacisnął powieki i nie chciał ich otworzyć. Dłonie oparł na udach, a palce napiął tak, że gdyby nie dżinsy, pewnie wbiłyby je sobie w ciało. Kacper nie żył. On dotrwał do końca.

Na prawym ramieniu poczuł coś lodowatego. Z przerażeniem otworzył oczy i zerknął. Koścista, obleczona prawie białą skórą ręka dociskała go do krzesła. Druga taka sama dłoń wskazywała na planszę. Poczł mroźny oddech na karku. Istota stała za nim. Bił od niej mróz, ciemność i odwieczna kryjąca w sobie nieprzebrane eony bólu otchłań.

- Weź swoją nagrodę – szept, który słyszał już wcześniej rozbrzmiał w jego głowie. – Wypowiedz życzenie.

Plansza zamigotała, zszarzała i zniknęła w blasku kulki światła, która pojawiła się na jej środku. Bijący od niej blask raził w oczy, a generowane ciepło grzało w skostniałe od zimna palce, gdy Mariusz po nią sięgnął. W dotyku była przyjemna. Idealnie gładka i ciepła. Zamknął ją w garści. Blask został stłumiony i tylko miejscami znajdował sobie drogę między palcami.

Mariusz spojrzał na przedpokój. Wiedział, że pokryty jest fragmentami ciała Romka. Odwrócił głowę i popatrzył na zwęglone ciało Marka. Przeniósł wzrok na podłogę. Tam dostrzegał plamy krwi i górne partie Majki i Kacpra. Resztę zasłaniał mu stół. W końcu spojrzał na okno. Wiedział, że tam na chodniku leży Zbyszek. Zimny i martwy. Jak oni wszyscy tutaj. Jak i on sam w pewnym sensie.

- Chcę... - zaczął, ale przeszkadzała mu rosnąca gula w gardle. – Chcę, żeby to wszystko się nie wydarzyło. Żeby oni wszyscy żyli. Żebyśmy nigdy nie grali w tą grę.

Coś uderzyło go w twarz.

Gwałtownie otworzył oczy i w pierwszej chwili nie wiedział gdzie jest. Co się w ogóle dzieje. Leżał na podłodze, a w plecy uwierało go oparcie krzesła. Wszyscy się nad nim pochylali, a Romek masował rękę.

- Ocknął się. – Zawyrokował Marek.

- Szkoda, bo z chęcią wymierzyłbym mu drugiego liścia. – Romek autentycznie wydawał się być zawiedziony.

- No dalej, wstawaj – Marek podał mu rękę i pomógł się pozbierać.

- Co się stało? – Zupełnie zdezorientowany Mariusz próbował poskładać wszystko do kupy, ale cały czas czuł się rozbity.

- Nic nie pamiętasz? – Nie mogła uwierzyć Majka.

- Nic.

- Odchyliłeś się na krzesło, trochę za bardzo i wywinąłeś orła. Śmiechu było co niemiara, ale tak żeś przywalił łbem w podłogę, że twoja świadomość postanowiła pójść na spacer. Na szczęście Romek skutecznie przywrócił cię do rzeczywistości. – Wyjaśnił

Marek. – Nie wiem stary czym ty mu zawiniłeś, ale jak walnął to myślałem, że zęby ci powybił.

Mariusz przestał masować piekący policzek i dotknął tyłu głowy, gdzie zaczął doskwierać mu większy ból. Aż się skrzywił, gdy ten nasilił się pod dotykiem.

Rozejrzał się po pokoju, jakby coś chciało wydostać się z jego pamięci, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć co. Spojrzał na każdego po kolei, a na końcu zatrzymał wzrok na grze planszowej, w którą właśnie mieli zacząć grać. Wszystko było już przygotowane. Nagle coś go tknęło. Zerwał się na równe nogi, zaczął zbierać wszystko do pudełka, a to zamknął i całość odstawił na półkę.

- W to nie będziemy grać.

- Czemu?

- Nie wiem, ale jakoś zupełnie nie mam ochoty. Zagrajmy w coś innego.

Nie obeszło się bez protestów, ale Mariusz czuł przemożną niechęć do tej planszówki. Nie wiedział czemu, nie wiedział skąd mu się to wzięło, ale po prostu nie mógł w nią grać. Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Koniec końców, zagrali w coś innego, a „Podziemia chwały” wyniósł następnego dnia do piwnicy. Nigdy nie dane było mu w nie zagrać. I tylko od czasu do czasu, gdy zbierali się pełną ekipą i ktoś o niej wspomniał, przeszywał go dziwny chłód, którego nie umiał sobie wytłumaczyć.



# Połączenie

Jeśli coś ma pójść nie tak, na pewno pójdzie. Znacie to?

Komórka wypadła mi z kieszeni gdy wsiadałem do samochodu. Ostatnio trochę schudłem i spodnie zrobiły się odrobinę za luźne, ale nie na tyle, by dobry pasek temu nie zaradził. Widać kieszenie przy okazji również zyskały nieco przestrzeni i to wystarczyło by aparat wysunął się i spadł na asfalt. Oczywiście podobnie jak ma to miejsce z posmarowaną masłem kanapką, która zawsze spadnie na podłogę tą lepką stroną, tak w tym przypadku, ekran uderzył prościutko o twarde podłoże. Bo jakże by inaczej. I choć wysokość nie była duża to wystarczyła by szkło pękło, a ekran przestał działać. A telefon, szczególnie dziś był mi niezbędny.

Nie miałem czasu pożyczać innego. Na nowy szkoda było mi kasy. Na szczęście niedaleko był lombard, w którym często kupowałem gry na konsolę, więc mniej więcej orientowałem się co mogę tam dostać. To była szybka decyzja, a na miejscu zgodnie z moimi oczekiwaniami nie miałem dużego wyboru, ale na bezrybiu i rak ryba, więc zagryzłem wargi i wybrałem model, który może nie był najnowszy, ale nie wyglądał na nadmiernie styrony i właściwie niczego mu nie brakowało. Zapłaciłem, przełożyłem kartę, zsynchronizowałem kontakty i mogłem ruszać.

Moim celem był Kowal, a właściwie wieś w jego okolicy, gdzie umówiony byłem z jednym facetem, który miał na sprzedaż autko. Moje już się wysłużyło i choć było mi go szkoda, bo dużo razem przeszliśmy, od jakiegoś czasu myślałem o jego zmianie. Przeglądając ogłoszenia trafiłem na ofertę Hondy Civic po lifcie z niedużym przebiegiem i zachęcającymi zdjęciami. Zadzwoiłem, jeszcze ze starego telefonu, wypytałem o parę szczegółów i umówiłem się na oględziny. Terminy zgrały nam się na styk. Dla mnie było to jedyny dzień kiedy mogłem się wyrwać gdzieś dalej niż

do sklepu na osiedlu, a sprzedający po południu wyjeżdżał na urlop z żoną i dziećmi, więc nie było czasu do stracenia, a ja przez złośliwość rzeczy martwych (dosłownie i w przenośni, bo moja stara komórka faktycznie była teraz martwa i żadna sztuczna inteligencja jej nie mogła pomóc) i tak miałem już prawie godzinę w plecy. Po uruchomieniu mojego nowego/starego telefonu napisałem do gościa smsa:

> Wyjeżdżam. Powinienem być u Pana za godzinę, max półtorej.

W odpowiedzi dostałem krótkie:

> Ok. Czekam.

I ruszyłem. I wszystko szło dobrze. Nawet korków nie było zbyt dużych, a muszę się przyznać, że o tej porze spodziewałem się większego natężenia ruchu na drodze, ale widać przez moje nieplanowane spóźnienie, ulice nieco się przetały. Po wyjechaniu z miasta, spojrzałem na zegarek i wyglądało na to, że nawet nie spóźnię się zbyt dużo względem pierwotnie ustalonej godziny spotkania. Przynajmniej tak myślałem dopóki nie złapałem gumy.

W końcu jak się wali to się wali.

Słyszając głuchoe walenie flaka o nawierzchnię drogi, zakląłem jak szewc i szybko zjechałem na pobocze. Szczęście w nieszczęściu, że stało się to przed zatoką przy autobusowym przystanku, więc mogłem sobie na nią zawinąć i spokojnie zmienić koło. Niestety miałem ze sobą tylko dojazdówkę, na zmianę której poszło pół godziny, a przede mną był jeszcze kawałek drogi i chcąc nie chcąc, musiałem poszukać jakiejś wulkanizacji. Uciekający czas tykał mi w głowie. Wiedziałem już, że moje spóźnienie choć jeszcze niedawno myślałem, że nie będzie duże, nagle wzrosło. Nie było rady. Musiałem zadzwonić do oferenta i uprzedzić o kolejnych moich komplikacjach. Odebrał po szóstym sygnale.

- Dzień dobry. Tu Adam Michalski, jesteśmy umówieni dziś na oględziny samochodu.

- No wiem. Czekam na P\_na – coś dziwnie zatrzeszczało w słuchawce.

- No właśnie. Wygląda na to, że będę miał małe spóźnienie bo złapałem gumę, a wiem, że pan się spieszy i...

- Spieszę się co prawda, - przerwał mi - ale jeśli trzeba m\_gę opóźnić odr\_\_inę swój wyjazd – trochę mi ulżyło. – Duże przewiduje P\_n spóźnienie?

- Trudno powiedzieć, ale myślę, że nie więcej niż godzinkę – trochę tu optymistycznie palnąłem, ale musiałem się jakoś ratować. A to trzeszczenie zaczynało mnie irytować. – W każdym razie staram się jak mogę, by być jak najszybciej.

- No d\_brze. To Pan jedzie i nie traci już \_\_asu na rozm\_wy.

- Jasne, jestem cały czas w drodze.

- To do zo\_aczenia.

- Do zobaczenia.

Rozłączyłem się i zacząłem pilnie wyglądać jakiejś wulkanizacji. Ta trafiła się po jakichś piętnastu minutach. Zanim tam dojechałem spojrzałem jeszcze na ekran komórki by sprawdzić zasięg, ale ten wskazywał wszystkie kreski. Może wcześniej trafiłem na jakąś białą plamę albo moja nowa/stara komórka, nie jest tak sprawna na jaką wygląda. Rozumiałem co prawda, co mówił mój rozmówca, ale trzaski i szmery w słuchawce trochę jednak przeszkadzały.

W każdym razie byłem w drodze i wiedziałem, że gość na mnie czeka. Szczęście też się wreszcie do mnie uśmiechnęło, bo na wulkanizacji uwinęli się z moim kapciem w piętnaście minut i dużo nawet sobie nie policzyli. Miałem tylko nadzieję, że więcej niespodzianek na mnie nie czyha.

Dalsza droga faktycznie przebiegła bez problemów. Do celu dotarłem bez niespodziewanych przeszkód i z ponad godzinnym spóźnieniem, ale na szczęście udało mi się uprzedzić sprzedawcę o moich kłopotach i byłem pewien, że na mnie czeka.

Wjechał na dróżkę, którą wskazał mi GPS i zatrzymałem się przed metalową bramą. Gospodarstwo przed którym się znalazłem nie było jakieś okazałe, ale widać było, że gospodarz dba o swój dobytek. Wszędzie było czysto, maszyny równo ustawione pod płotem, a od frontu zielenił się przystrzyżony trawnik z oczkiem wodnym, kilkoma ozdobnymi krzewami i murowanym grillem. Też kiedyś coś takiego sobie kupię albo wybuduję. Dalej było widać

niewielki sad z drzewami owocowymi, z których potrafiłem rozpoznać jabłoń, gruszę i czereśnię. No, sielanka po prostu.

Sam domek był nieduży i raczej prosty w swej bryle, ale zadbane.

Było kilka minut przed piętnastą. Podeszedłem do furki, ale ta okazała się zamknięta. Rozejrzałem się w poszukiwaniu dzwonka, kołatki, czy czegośkolwiek, co mogłoby służyć do zakomunikowania swojej obecności. Nic takiego nie znalazłem. Co mnie zdziwiło, nigdzie nie rozległo się nawet ujadanie żadnego psa, co na wsi wydawało mi się nieco dziwne. Zawsze sądziłem, że czworonogi na wiejskim podwórku to standard. Ale w sumie, co taki mieszczuch jak ja, który nawet babci nie ma poza miastem, może wiedzieć o życiu z dala od betonowej dżungli. W każdym razie musiałem dać o sobie znać. Mogłem zadzwonić, ale postanowiłem, że najpierw zatrąbię. Podeszedłem do samochodu, otworzyłem drzwi i pochyliwszy się do wnętrza nacisnąłem klakson. Ten wdarł się w panująca ciszę niczym grom z jasnego nieba, że aż sam się przestraszyłem. Nie spodziewałem się tak głośnego dźwięku, który nawet ptaki wygnał z pobliskiego sadu. A to przecież mój klakson. W miejskim zgiełku, gdzie zwykłem go używać, nie robi aż takiego wrażenia jak tutaj. Niemniej, nacisnąłem go raz jeszcze, ale zdecydowanie krócej i wbiłem wzrok w drzwi domu.

Po chwili zauważyłem drgnięcie firanki w oknie, potem nerwowy ruch klamki, a kilka sekund później w otwartych drzwiach stanęła lekko przygarbiona staruszka w chuście na głowie, kaftanie jaki dawno temu nosiły sprzątaczkę w mojej podstawówce i opierając się na lasce wyszła na ganek.

- Czego tak hałasuje? – zapytała lekko zachrypniętym, ale niespodziewanie mocnym głosem. – Nie widzi, że gospodarza ni ma?

- Dzień dobry. – Odkrzyknąłem. – Jak to niema? Byłem umówiony z panem Waławem.

- No ni ma. Wziun samochód o pojechał w swoich interesach. – Powolnym krokiem zaczęła zbliżać się w moim kierunku. – A pan kim jest i czego chce?

- Przepraszam. Nazywam się Adam Michalski i kontaktowałem się z panem Waławem w sprawie oferty sprzedaży samochodu.

Umówiłem się z nim dziś na oględziny auta i spóźniłem się trochę co prawda – pomyślałem, że się trochę wytłumaczę, - ale dzwoniłem do niego wcześniej i informowałem o pewnych wydarzeniach, które przyczyniły się do mojej zwłoki. Pan Wacław zapewnił mnie, że zaczeka.

- Jo nic nie wim. Mi pierun nic nie mówił.

- A dawno wyjechał?

- No ze trzy godziny temu jak nie lepi będzie.

- Jak to trzy godziny temu? – Nie kryłem zdziwienia. – Przecież jeszcze półtorej godziny temu do niego dzwoniłem, rozmawialiśmy i zapewniał mnie, że zaczeka. Nie wspominał nic o tym, że jest już w drodze.

- A skund jo mogę wiedzić co on panu godoł, a czego nie, jak jo nawet pana nie znum. Wacko pojechał, ni ma go. Tyle panu powim. Do widzenia. – Po czym odwróciła się i zaczęła odchodzić.

- Halo, proszę pani – zawołałem. – Niech pani jeszcze nie odchodzi. Może zadzwonimy do niego.

Zatrzymała się i popatrzyła na mnie. Przez jej twarz przebiegł grymas. Przewróciła oczami jak nastolatka, pogrzebała w kieszeni fartucha i wyjęła z niej komórkę. Wybrała numer i przyłożyła słuchawkę do ucha. Nie wiedziałem czego się spodziewać, ale miałem nadzieję, że coś się wyjaśni. Odwróciła się do mnie plecami i zaczęła z kimś rozmawiać, ale z tej rozmowy słyszałem tylko pojedyncze słowa. W końcu podeszła do mnie i podała mi telefon.

- Halo. Pan Wacław? Tu Adam Michalski – dla pewności przedstawiłem się. – Rozmawialiśmy dziś.

- Nie – usłyszałem.

- Słucham?

- Nie rozmawialiśmy dzisiaj.

- Jak to? Panie Wacławie? Przecież dzwoniłem dziś do pana dwa razy uprzedzając, że się spóźnię. Byliśmy przecież umówieni na oględziny samochodu – szybko dodałem.

- Owszem. Byliśmy umówieni na dwunastą i uprzedzałem pana, że nie będę mógł na Pana długo czekać i by się pan nie spóźnił bo czeka mnie pilny wyjazd.

- Tak wiem. Dlatego dzwoniłem i uprzedziłem, że z przyczyn niezależnych ode mnie spóźnię się i zapewnił mnie pan, że zaczeka.

- Nic takiego nie miało miejsca – stwierdził bez wahania. – Nie dzwonił dziś pan do mnie.

- Ależ dzwoniłem.

- Nie wiem do kogo pan dzwonił, ale zapewniam pana, że z panem dziś nie rozmawiałem. Czekałem do trzynastej. Nie pojawił się pan. Jak uprzedziłem pana wcześniej, czekał mnie wyjazd i nie mogąc dłużej czekać, wyjechałem. – Wyczułem w jego głosie irytację. – Przepraszam, ale nie mogę dłużej rozmawiać i proszę nie niepokoić mojej mamy. Do widzenia.

- Ale... - zacząłem, ale mój rozmówca się rozłączył.

Nie wiedziałem co jest grane. Stałem przed zamkniętą bramą i wpatrywałem się w staruszkę po drugiej stronie. W mojej głowie szalała nawałnica myśli. Jak to nie dzwoniłem, jak dzwoniłem? Co on w ogóle gadał? Dlaczego zaprzeczał? Co tu jest grane?

- Panie. Pan odda mi telefon – głos staruszki wyrwał mnie z zamyślenia. Mechanicznie wyciągnąłem do niej rękę z komórką.

- Oczywiście. Przepraszam.

- I co? Dogodoł się pan z Wackiem? – Zapytała upychając ponownie aparat w kieszeni fartucha.

- Słucham? – nie do końca jeszcze kontaktowałem.

- Czy dogodoł się pan z Wackiem?

- A tak. Nie. Nie wiem. Twierdzi, że nie rozmawialiśmy, ale przecież dzwoniłem do niego.

- Jo tam nie wim. Do widzenia – rzuciła i odeszła.

- Do widzenia – odrzekłem i ruszyłem do samochodu.

Usiadłem za kierownicą i starałem się pozbierać myśli. Trochę bezwiednie odpaliłem silnik, wycofałem na drogę i ruszyłem. Nie myśląc za bardzo gdzie. Jechałem przed siebie i rozważałem, co się właściwie stało. Dzwoniłem do gościa dwa razy. On twierdzi, że ani razu. Obiecał, że zaczeka, ale nie zaczekał. Miał w tym jakiś interes? Jeśli nawet, to ja nie potrafiłem uzmysłwić sobie jaki. Nie miałem pojęcia jaki mógł mieć cel postępując w ten sposób.

Zauważyłem stację benzynową, spojrzałem na stan baku. Przydałoby się zatankować. Podjechałem pod dystrybutor, wlałem benzyny za stówkę, poszedłem zapłacić i wróciłem do auta. Ruszyłem, ale nie wyjechałem na ulicę. Zaparkowałem na parkingu i wziąłem telefon do ręki. Na liście połączeń wyraźnie było widać, że dzwoniłem i rozmawiałem z panem Waławem dwa razy. Sumaryczny czas obu połączeń wynosił ponad siedem minut.

Wszystko, co zrobiłem po oddaniu komórki staruszce, zrobiłem półświadomie. Na autopilocie. Rozejrzałem się dookoła i nie wiedziałem za bardzo gdzie jestem. Dopiero teraz rzeczywistość zaczęła do mnie wracać.

Wysiadłem z auta i poszedłem jeszcze po kawę. Tak dla ukojenia nerwów. Przy ekspresie pomyślałem, że zadzwonię jeszcze do pana, kurwa, Waława i wyjaśnię sobie co nieco. Tak na spokojnie. I gdy tylko wróciłem z powrotem do samochodu, odstawiłem kubek, sięgnąłem po telefon i wybrałem numer. Odebrał po drugim sygnale.

- No witam. Dojeżdża już pan? – zapytał. Momentalnie miałem ochotę rzucić telefonem przez okno.

- Jak to dojeżdżam? Przecież kurwa byłem u pana, a pana nie było. Podobno pan nie czekał i wyjechał. – Nie przebierałem już w słowach.

- No nie było.

- To co jest grane? Nie tak się umawialiśmy.

- No nie było.

- Przecież wiem bo sam to przed chwilą powiedziałem! – Nerwy trzymały mi się na jednym, szybko rozłączającym się szwie.

- No nie było. – To samo mechaniczne stwierdzenie.

- Co?

- No nie było, no nie było, no nie było, nie było, nie było, niebyło, niebyło – tempo wzrastało – niebyło, niebyło, niebyłoniebyłoniebyło – dźwięk stawał się coraz bardziej mechaniczny. Hipnotyczny. – niebyłoniebyłoniebyłoniebyłoniebyłoniebyłooooooooooo... - i nastąpiła chwila ciszy po której ze słuchawki wydobył się przeraźliwy pisk, który wbił mi się w czaszkę z siłą pocisku.

Telefon wypadł mi z ręki, z gardła wydobył się wrzask, a dłonie mimowolnie zacisnęły się na głowie. W oczach zrobiło mi się

ciemno. Na chwilę nawet straciłem chyba przytomność, bo gdy otworzyłem oczy po brodzie ściekała mi stróżka śliny, a na koszulce pojawiła się od niej wilgotna plama. Druga, po wylanej kawie, była na siedzeniu pasażera. Byłem zdezorientowany i myślałem, że łeb mi zaraz pęknie. Na szczęście ból z tępego ciągłego ucisku, szybko przemienił się w coraz lżejsze pulsowanie, aż stał się tylko nieprzyjemnym wspomnieniem.

Ale co to do cholery było?

Rozejrzałem się za telefonem. Wpadł pod siedzenie i żeby go wyjąć, musiałem wysiąść z auta. Sięgnąłem aparat, ale nie zamierzałem nigdzie z niego dzwonić. Nie wiedziałem czy to z komórką było coś nie tak, czy ze mną. To wszystko wydawało się popieprzone. Oparłem się plecami o samochód i spojrzałem w niebo dla zebrania myśli. Białe obłoki gnane wiatrem przemierzały błękit w leniwym, godnym pozazdrosczenia tempie. Przymknąłem na chwilę oczy, ale w dłoni, w której trzymałem telefon, poczułem wibrację, a po chwili rozległ się dźwięk odebranej wiadomości. Spojrzałem na ekran, ale nie znałem tego numeru. Otworzyłem smsa i zobaczyłem... nic. Pusta wiadomość. Po chwili przyszła kolejna i jeszcze jedna. Po krótkiej przerwie nadeszła jeszcze jedna. Tym razem nie była już pusta, ale jej treść zmroziła mi krew w żyłach. Nie wiedziałem, że takie rzeczy są możliwe. Ale nie o technologię tu chodzi. Gdy wszedłem w wiadomość, ekran zrobił się czarny. Tylko w jednym miejscu pulsował jeden jasny piksel. Przykuwał wzrok i był jak wahadło w ręku hipnotyzera. Nagle czerń przecięła jasna smuga, a z jej głębi wyłoniła się rozpixselowana śmierć z kościstym palcem wyciągniętym w moją stronę. Jakby wychodziła z ekranu. Jakby emanowała grobowym chłodem, który mrozi duszę.

Znów upuściłem telefon. Patrzyłem na niego jak leży na kostce brukowej, z której wyłożony był parking i nawet nie obchodziło mnie, czy przetrwał upadek. Jeśli nie, cóż, nie pierwsza komórka, którą dziś tak załatwiłem. Miałem nawet nadzieję, że będzie rozwalona. Szkoda, że nie rozpieprzyła się w drobny mak. Albo po prostu nie zniknęła. Mogła spaść, uderzyć o beton i się rozpułnąć. Tak byłoby najlepiej.



Niestety, było inaczej. Zmusiłem swoje ciało by się schylić. Telefon był zimny. Wręcz lodowaty, ale mimo wszystko podniosłem go, odwróciłem i spojrzałem na ekran. Nic. Albo i wszystko. Żadnej ryski. Żadnego pęknięcia, a na pulpicie widniał standardowy zestaw ikon. I tylko ten chłód pozostał. Nie miałem jednak zamiaru mieć go przy sobie. Była to ostatnia rzecz, którą chciałem mieć blisko siebie. Nie spuszczać oka z komórki, podszedłem do kosza i ją wyrzuciłem. Nie czułem żalu. Gdy odchodziłem, do mych uszu dobiegł dźwięk dzwonka. Nawet się nie odwróciłem. Może to dziwne, ale sygnał jakby nabierał na sile. Stawał się głośniejszy i bardziej natarczywy. Przyspieszyłem, wsiałem do auta i odjechałem z tego parkingu jak najdalej. I jak najszybciej. Nie patrzyłem na prędkościomierz, ale na pewno przekroczyłem dozwoloną prędkość w terenie zabudowanym.

Jechałem przed siebie. Byle dalej. I byle szybciej. Jak długo? Nie wiem. Nie myślałem o tym. Znów byłem jak w transie. Coś usłyszałem, ale z początku nie zwróciłem na to uwagi. Dźwięk narastał i dopiero po jakimś czasie zdałem sobie z niego sprawę. Znałem go. Dobiegał ze schowka naprzeciwko fotelu pasażera. To był sygnał telefonu. Tego, który zostawiłem w koszu na stacji benzynowej, kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt kilometrów za sobą. Jak to możliwe?

Zerknąłem na schowek. Sięgnąłem do niego ręką i otworzyłem. Dźwięk wypełnił wnętrze auta wibracją wwiercającą się w zęby. Pochyliłem się i zacząłem rozpaczliwie grzebać w jego wnętrzu. W końcu dłoń trafiła na kawał czegoś zimnego. Lodowatego. Poderwałem się do pionu i zauważyłem, że przypadkiem zjechałem na przeciwny pas. Z przodu było auto. Widziałem jak jego kierowca błyska mi światłami. Dostrzegłem jego wykrzywioną przerażeniem twarz. Szarpnąłem gwałtownie kierownicą, ale zbyt mocno. Zbyt panicznie. Moje auto wróciło na swój pas i dalej na pobocze. Koła podcięta nagłym zwrotem, wyrzuciły auto w powietrze. Fizyki nie oszukasz. Samochód zaczął dachować. Ja razem z nim. Słyszałem chrzęst giętej blachy i huk pękających szyb. Nie wiedziałem gdzie jest góra, a gdzie dół. Wiedziałem natomiast, że w dłoni wciąż ścisnąłem telefon. A ten wciąż dzwonił. I dzwonił.

Ocknąłem się w szpitalu. Lekarz powiedział, że miałem dużo szczęścia, a niezapięty pas być może uratował mi życie. Po prostu, zanim dachujące auto uderzyło w drzewo, na którym samochód właściwie przełamał się na pół, wypadłem z niego. Oczywiście nie skończyło się bez połamanych żeber, obojczyka, ręki i kości udowej oraz paru obrażeń wewnętrznych, ale żyłem. Żyłem i wszystko wskazywało na to, że się wyliżę. Wcześniej czy później.

I tylko w głowie wciąż słyszałem dzwonek komórki.

A może nie tylko w głowie. Może... sięgnąłem po metalowej szafki stojącej przy łóżku i otworzyłem szufladę. Ona tam była. I dzwoniła, dzwoniła, dzwoniła.

# Potravka

Śnieg padał nieprzerwanie już trzeci dzień. Na zewnątrz jest biało i mroźno. Jest także ciemno, bo budzik zerwał Piotra z łóżka o 5.25. Mężczyzna nieśpiesznie wstał i zaczął szykować sobie śniadanie. Kanapka z wędliną, Rutinoscorbin i witaminy popite wodą wprost z butelki jak na śniadanie mistrzów przystało. W końcu wizyta w łazience i można ruszać w zimowy poranek.

Droga do tramwaju nie jest długa. Jakies pięć minut pieszo. Buty ślizgają się na tylko miejscami odśnieżonym chodniku, świeże płatki proszą prosto w oczy, chłód znajduje każdą najmniejszą nawet szparę w ubraniu, przez którą może oziębic skórę. Doświadczenie zimy w pełni.

W końcu Piotr dociera na tramwajową pętlę i wsiada do drugiego wagonu. Staje na jego końcu, mimo że w środku są jeszcze wolne miejsca siedzące. Wychodzi z założenia, że jest młody, więc może sobie postać. Zresztą za pół godziny będzie na miejscu.

Publiczne środki transportu nie są jego ulubionymi sposobami podróży. Wychodzą jednak taniej niż auto, a połączenie ma na tyle dobre, że nie ma sensu przepłacać. Najgorsi zawsze są współpodróżni. Dzień w dzień, mimo że pół tramwaju jest pustego, jakiś baran zawsze stanie prosto w drzwiach. Mógłby przecież ruszyć dupę i stanąć normalnie, to nie, będzie sterczał przez całą drogę na schodach i prosił się o kopa w plecy. Tak samo, jak znajdzie się zawsze ktoś, kto będzie przez cały czas wiercił się jakby miał robaki, albo żuł gumę z rozdziawioną paszczą. Ale co zrobić? Trzeba zagryźć zęby i zatopić się w muzykę dobiegającą ze słuchawek lub zanurzyć się w lekturze. Jakoś te pół godzinki zleci.

Piotr przed pracą idzie jeszcze do sklepiku po wędlinę (czasem także masło) i do budki z pieczywem, po cztery kajzerki i dwie

poznańskie. Sam zjada dwie, a resztę kupuje dla kolegów. W końcu ma po drodze i nic go to nie kosztuje.

Choć w pięciopiętrowym budynku jest winda, chodzi zawsze schodami. Trochę sportu jeszcze nikogo nie zabiło, a przed całym dniem siedzenia przed komputerem, odrobina ruchu na pewno nie zaszkodzi. Za osiem godzin, drogę w dół także pokona na nogach.

Rzucił krótkie „dzień dobry” pani w recepcji i ruszył w swoją codzienną wspinaczkę. Gdy zbliżał się do klatki schodowej, poczuł nieprzyjemny zapach, który nasilił się przy samych schodach. Na szczęście wystarczyło wejść na pierwsze piętro, by smród pozostał za nim. Nie wiedział, co to było, ale od czasu do czasu dało się go wyczuć. Najczęściej z samego rana, kiedy budynek był jeszcze pusty. Kiedyś próbował pogadać o tym ze znajomymi z pracy, ale nikt, kogo pytał o ten zapach, nie potrafił mu pomóc. „Czasami po prostu wali” – to jedyne, co usłyszał. Zresztą większość pracowników wjeżdżała windą i nigdy nic nie czuła. Tylko nieliczni, którzy czasem korzystali ze schodów przyznawali, że faktycznie czasem coś czuć. Nie był to jednak temat, który ktoś chciałby roztrząsać.

Dotarłszy na samą górę, odpikał się przy drzwiach, podpisał na liście obecności i ruszył do swojego pokoju. Był pierwszy. Razem siedzi ich tutaj pięciu, ale rzadko ktoś pojawiał się przed nim. Otworzył okno by przewietrzyć wnętrze, które nawiasem mówiąc po nocy z jakichś niewyjaśnionych przyczyn, świeżością nie porażało, włączył komputer i poszedł do kuchni zrobić sobie herbatę i schować wędlinę do lodówki.

Po powrocie do kwadratu, uruchomił program pocztowy i od razu stało się jasne, że to nie będzie leniwy dzień. Cztery zadania przypisane do niego, nie były najgorsze. Najgorszy był e-mail. Jeden rzut oka na nadawcę wystarczył, by Piotr zaklął, a dzień od razu stracił na atrakcyjności. Nadawca był mu znany, a jego opinia o nim nie była najlepsza. Koleś nie znał się zupełnie na webmasteringu, ale był święcie przekonany o swojej wyższości, nieomyślności, inteligencji. Na dodatek wystarczyło żeby coś tam mu w głowie zaświtało, a już dawał rozwiązanie na problem, który sam zgłaszał. Rozwiązanie, które zazwyczaj więcej by popsuło niż naprawiło. Do

tego nie orientował się w sprawach, którymi sam się zajmował, co często doprowadzało Piotra do frustracji.

Ale co zrobić. Podobnie jak z tramwajem, trzeba zagryźć zęby i robić swoje. Osiem godzin jakoś zleci.

Piotr wziął się do pracy, ale nie minęło nawet pół godziny, gdy do jego pokoju wszedł Mirek.

- Chodź na dół – powiedział.

- No cześć – odpowiedział Piotr. - Nigdzie nie idę.

- No dalej chodź. Zapalę sobie, pogadamy.

- Stary, mam kupę roboty, a do tego znowu napisał ten baran z banku.

- No to chodź, odreagujesz sobie. – Mirek poklepał się po kieszeniach. – Kurwa, zostawiłem zapalniczkę. Zaraz wracam, a ty się zbieraj, bo nie będę na ciebie czekał. – Powiedziawszy to nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i poszedł sobie.

Piotr wylogował się z systemu i wyszedł na korytarz. Akurat przechodził Adam, jak zwykle z kupą żarcia w reklamówce. Nikt nie wiedział, gdzie on to mieści, ale facet musiał mieć naprawdę wydajny metabolizm. Pozdrowili się skinieniem głowy i krótkim „cześć”. W ciągu dnia będzie jeszcze czas na wymianę kilku zdań.

Gdy Mirek wyłonił się z pokoju, wraz z Piotrem ruszyli w kierunku windy. Minęli drzwi i wcisnęli przycisk przywołujący budę.

- Byłem wczoraj z tą rudą na kolacji – Zaczął Mirek, gdy czekali na windę. – Wiesz, tą co dała mi swój numer w piątek w knajpie.

- No, pamiętam.

- Wziąłem ją na sushi do Nigiri. Wiesz tego sushi baru na rynku.

- No, kojarzę.

- No i było... - tutaj przerwał, bo winda dojechała na miejsce, jej drzwi otworzyły się z delikatnym szumem, a z środka wyszedł Łukasz, który jak na niego, dość szybko zjawił się w pracy.

- Idziesz na fajkę? – Zagadał do niego Mirek.

- Nie, właśnie wyjarałem – odpowiedział zapytany, po czym ruszył w kierunku drzwi do firmy. Piotr z kompanem weszli do klatki i wcisnęli minus jeden by dostać się do piwnicy, gdzie była prowizoryczna palarnia.

- No i jak było – Zapytał Piotr.

- Gdzie?

- Opowiadałeś o swojej randce z tą rudą.

- A no tak. Od razu tam randce. Co to za słowo? Randka. Jak to w ogóle brzmi. Kto wpadł na pomysł, dania obok siebie literek ndk i nie zmiękczyć ich jakąś samogłoską? Dobra, nie ważne. W każdym razie poszliśmy do tego sushi baru i początkowo było dosyć drętwo. Ale zjedliśmy, napiliśmy się wina i rozmowa się rozkręciła. Okazało się, że pracuje w dziale marketingu w banku i całkiem nieźle na tym wychodzi. Chciała nawet się dołożyć do rachunku, ale nie pozwoliłem. Pożałowałem tego jak zobaczyłem kwotę, ale wtedy było już po bumbkach. – Winda dojechała na miejsce i jej drzwi znowu się otworzyły. Wyszli w brudny, ciemny korytarz i podeszli do krzesełek ustawionych obok popielniczki. Mirek przez cały czas opowiadał swoją historię. – Zaproponowałem, że ją podwożę. Zgodziła się. Kupiliśmy jeszcze po drodze wino i wylądowaliśmy u niej w mieszkaniu. Stary, jaka chata. Skórzana kanapa, niezły sprzęt, no widać, że laska głodem nie przymiera. Otworzyłem butelkę i rozlałem po niezłej porcji. Myślę sobie zmięknie i będzie łatwiejsza. No i zmiękła, ale trochę za bardzo. Już myślałem, że wszystko rozwija się w dobrym kierunku, aż tu nagle zasnęła. Kumasz? Normalnie, gadka szmatka, buzi buzi i bach. Odplynęła jak ścięte drzewo. No, oczywiście gdyby drzewa potrafiły pływać.

Mirek mógł tak długo. Jak wpadł w ciąg, to jego słowotok był w stanie przytłoczyć niejedną rozwścieczoną feministkę dowodzącą swoich racji. Piotr nie wiedział jak on to robi, a przedmiot wywodu średnio go interesował, więc szybko stracił zainteresowanie opowieścią i skupił się na otoczeniu. Do jego nozdrzy zaczął docierać nieprzyjemny zapach, który czuł z samego rana. Fetor nie był silny, ale jak już zdał sobie sprawę z jego obecności, nie był w stanie się go pozbyć.

- Czujesz? – wpadł Mirkowi w pół zdania. Ten, wybity z rytmu przez chwilę wpatrywał się w kolegę.

- Ale co? – zapytał.

- Coś wali.

- Taaa... jesteśmy w palarni, gdzie od jakichś pięćdziesięciu lat, wypala się dzienne z pół tysiąca papierosów, to chyba naturalne, że

wali.

- Nie chodzi mi o smród papierosów, tylko o coś innego. Sztachnij się i poczuj. - Mirek zaciągnął się nieco głębiej ciężkim piwnicznym powietrzem. - Nic nie czuję poza fajkami.

To jednak nie wystarczyło Piotrowi. Ruszył dalej w głąb piwnicznego korytarza, który po kilku metrach zakręcał w prawo. Fetor, wyraźnie się nasilał, ale im był bliżej załomu tym robiło się zimniej. Gdy stanął na zakręcie, okazało się, że na końcu przejścia były uchylone drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące na tyły budynku. To stamtąd wiał chłód i do środka wpadały płatki śniegu. Drzwi lekko się bujały od czasu do czasu lekko stukając o futrynę.

- Stary, gdzie leziesz? Chodź wracamy na górę. – Zawołał za nim Mirek, zgniatając niedopałek w popielniczce.

- Czekaj. Chcę coś sprawdzić.

- Na sprawdzanie ci się teraz zebrało? Nudzi Ci się? – Ruszył za Piotrem. – Jak ten cieć nas zobaczy to znowu będzie pierdolił, że kręcimy się tam gdzie nie powinniśmy. Jak wtedy, gdy chcieliśmy wnieść zeszlą choinkę na śmietnik i kazał nam ją zanieść między kamienice, bo podobno śmieciarze stąd nie będą chcieli jej zabrać.

Mirek nie wszedł w głąb korytarza, tylko stanął na jego zakręcie. Piotr podszedł do otwartych drzwi, odgarnął śnieg i zamknął je. W środku od razu zrobiło się ciemniej, a mdłe światło tylko delikatnie rozgarniało panujący dookoła półmrok. Poczucie przytłoczenia dodatkowo wzmacniały wszelkie graty ustawione pod jedną ze ścian. Jakieś krzesła, pudła, stare wiatraki i inne niepotrzebne nikomu przedmioty, zabierały tylko przestrzeń i skutecznie zmniejszały przejście.

Gdy Piotr ruszył z powrotem i mijał kolejne pozamykane drzwi, jego uwagę przykuło jedyne skrzydło, które było uchylone. Stanął przed nimi. Choć do smrodu na korytarzu już jakby przywykł to, gdy pchnął ręką drzwi z wnętrza buchnęła nowa fala odoru, który wydawał się wręcz fizyczny. Jakby miała swój własny ciężar. Smród był jak mgła. Zdawał się przyklejać do ciała i każdej innej powierzchni, na jaką natrafił. Piotr zwymiotował.

Gdy Mirek zobaczył wymiotującego kolegę, jemu też od razu żołądek przewrócił się na drugą stronę. Widok, wzmocniony świeżą falą nieprzyjemnego zapachu, przełamał jego opór.

Piotr postąpił krok do tyłu i przez załzawione oczy, spojrzął na kompana. Najchętniej by uciekł, ale coś ciągnęło go w głąb pomieszczenia. Wytarł usta rękawem bluzy i naciągnąwszy kołnierz na usta, przytrzymując go na miejscu ręką, wszedł do środka.

Mirek widząc, co robi jego kolega ruszył w jego kierunku, ale jego intencją nie było pójście w jego ślady, a zawrócenie go z obranej drogi. Gdy doszedł do drzwi, zatrzymał się. Nie był w stanie przekroczyć progę. Chciał krzyknąć na Piotra by wracał, ale przez jego gardło nie zdołały przejść żadne słowa. Stał tylko i patrzył jak jego kolega staje na środku pomieszczenia i z wyraźnym niepokojem rozgląda się dookoła.

Widok nie był przyjemny. Ciemne wnętrze skrywało okropny bałagan. Pod ścianami wały się stosy gratów. Czarne, zakurzone worki wypełnione niewiadomą zawartością, stare meble z obłazącą farbą, jakieś pudła. O ile na korytarzu, wszelkie ustawione tam rzeczy, zachowywały jeszcze jakiś ład, tak tutaj, wszystko było ze sobą pomieszane i sprawiało wrażenie rzuconego od niechcenia. Zaduch w środku był przytłaczający. Prawie nie było, czym oddychać. Piotr chciał już się odwrócić i wyjść, ale do jego uszu dobiegł dziwny dźwięk. Coś jak bulgot gotowanej wody. Ciekawość wygrała i ruszył w kierunku kredensu, na którym stał sporych rozmiarów metalowy garnek. Jednak nie stał bezpośrednio na szafie, a na równie starej, elektrycznej dwupalnikowej płycie grzewczej. To on był źródłem tego całego smrodu.

Piotr podszedł do szafy i wziął do ręki leżącą na niej wielką, drewnianą łyżkę. Zamieszał w garnku. Wyraźnie poczuł, że w głębi brunatnego wywaru jest coś twardego. Przemieszał jeszcze raz, tym razem energiczniej. Coś wypłynęło na powierzchnię, ale za moment zanurzyło się powrotem. Mimo wszystko, Piotr zarejestrował ten obraz, ale jego umysł nie dopuścił jeszcze do jego świadomości tego, co zobaczył. Stał jak wmurowany. Łyżka wypadła mu z ręki i stuknęła o metalową krawędź naczynia.



Jego kolega w drzwiach, dostrzegł, że bladość Piotra, mimo iż wydawało się to nie możliwe, jeszcze się pogłębiła.

- Co tam jest? – zapytał łamiący się głosem. – Piotr, co tam jest? – ponowił pytanie, ale i tym razem nie uzyskał odpowiedzi. Zapytany, tylko odwrócił głowę w jego stronę. Jego oczy były nienaturalnie rozszerzone. Na jego twarzy wyraźnie rysowało się przerażenie. – Piotr! Co tam do kurwy jest!?! – wykrzyknął Mirek. Gdzieś z tyłu trzasnęły drzwi.

Piotr widział, co się dzieje, ale był w zbyt dużym szoku by coś zrobić. Ciec, który odśnieża parking, odpowietrza kaloryfery i ogólnie robi za złotą rączkę, podszedł do Mirka i uderzył go metalową rurką w głowę. Słychać było nieprzyjemne chrupnięcie, po którym chłopak padł jak kłoda. Piotr, gdyby nie był w stanie głębokiego szoku, pewnie by uciekł lub zaczął, chociaż krzyczeć, ale nie był w stanie zrobić nawet kroku. Patrzył tylko jak ciec podchodzi w jego stronę, bierze zamach i w rozbłysku czerwieni zapada ciemność.

\*\*\*

Do uszu Piotra dochodziły przytłumione dźwięki. Coś stukalo, coś mlaskało, coś jakby kapało. Szuranie butów po betonowej podłodze. Głośny plask. Chłopak nie mógł otworzyć oczu. W nozdrzach cały czas czuł odór. W głowie czuł tępy ból, a prawą stronę twarzy miał całkiem zdrętwiałą. Próbował skupić się na minionych wydarzeniach. Pamiętał garnek pełen jakiejś cuchnącej breji. Stał i mieszał w nim starą drewnianą łyżką. W pewnym momencie coś się wynurzyło. Coś, co wyglądało jak ludzka czaszka, na której znajdowały się jeszcze kawałki białego, gotowanego mięsa. Dokoła dostrzegł mniejsze kości. Przypomniawszy sobie upadek Mirka i ciecia idącego w jego kierunku.

Zdał sobie sprawę, że jest związany. Ręce i nogi miał skrępowane, a w ustach czuł coś, co kojarzyło mu się tylko z brudną szmatą. Nie mógł przełknąć śliny. Czuł już pod skórą panikę, ale zdołał ją opanować. Trzasnęły drzwi, ktoś wszedł do środka.

- Długo to się jeszcze będzie gotowało? – Usłyszał kobiecy głos.

- Jeszcze jakieś 1,5 godziny. – Odpowiedział głos, który Piotrowi od razu skojarzył się z cieciami. – Przynies mi lepiej nowe worki, bo te, co wzięłem już mi się skończyły.

- A co z nim? – Piotr nie wiedział, na co wskazuje pytająca, ale miał nieprzyjemne wrażenie, że rozmowa schodzi na jego temat.

- Jak to, co? To, co ze wszystkimi. To samo, co z tym drugim. Tamten już jest podwieszony i się wykrwawia. Tego też będzie trzeba podwiesić i spuścić z niego krew. Na razie muszę dopilnować by to się dobrze wygotowało, a potem się nim zajmę. Będzie z niego sporo mięsa. Zamrozi się i na jakiś czas wystarczy. W sumie już mamy dosyć, ale palanty musiały się napatoczyć i co miałem zrobić?

- Nie mogłeś ich wcześniej wygonić?

- Nie mogłem. Nie było mnie, a gdy wróciłem, tamten stał w korytarzu, a ten grzebał w garze. Przecież by nas wydali i byłoby po wszystkim. A tak, no cóż, nie zmarnują się. Ale idź już po te worki, bo będę ich potrzebował.

- Dobra idę już idę. Nie wiem tylko czy jakieś jeszcze zostały.

- Zostały, zostały. Jak byłem ostatnio to jeszcze przynajmniej dwa opakowania były.

Pomieszczenie wypełniły kroki i po chwili trzasnęły drzwi. Przestrzeń dookoła wypełniał tylko szum gotowanej breji. Piotr spróbował otworzyć oczy, co w końcu mu się udało. Powieki skleione miał zaschniętą krwią, która wypłynęła z rany na głowie, ale po odrobinie wysiłku, zdołał je rozdzielić. Dostrzegł, że leży na podłodze, na zakurzonej plandecie. Postanowił przewrócić się na drugi bok, co ze sporym wysiłkiem udało mu się osiągnąć. Teraz miał w zasięgu wzroku cały pokój, ale całą uwagę skupił tylko na jednym... Na cieciu, który stojąc oparty plecami o starą szafę, wpatrywał się prosto w niego.

- O, widzę, że się obudziliśmy. Coś mi mówiło, że powinienem pieprzyć cię mocniej w ten zakuty łeb. Po chuj tu się pchaliście? Mam przez was tylko więcej roboty, a uwierz mi na nudę nie narzekam. – Ciec oderwał się od szafy i podszedł do garnka by przemieszać breję, której bulgotanie cały czas dobiegało z jego wnętrza. Nie omieszkał przy tym splunąć pod nogi. Od czasu do czasu spoglądając w stronę więźnia, kontynuował swoją tyradę. – Miałem dziś wcześniej wyjść, a wygląda na to, że znowu będę musiał zarwać nockę. Wszystko przez was. Przez ciebie i tego twojego wygadanego koleżkę, który zawsze nawijał jak nakręcony.

Żeby to jeszcze z sensem gadał, ale nieee, pierdolił tylko w kułko o dupach i chlaniu. Co ja, nastolatek jestem żeby takich historii słuchać? W większości i tak zresztą naciąganych. Co ja, życia nie znam? Ciekawe jak pędzie pierdolił teraz, jak nie ma języka haha... - Postukał łyżką o skraj garnka i odwrócił się w kierunku Piotra. – Obciąłem mu go, rozumiesz? Chwyciłem cęgami żeby się nie wyslizną, wyciągnąłem najwięcej ile zdołałem i uciąłem najgłębiej jak udało mi się włożyć nóż do jego ust. Nie za szybko, żeby mógł rozkoszować się każdym ruchem ostrza. Żeby odczuł tę operację w pełni jej krasy i w całym spektrum doznań, jakie ze sobą niosła. Nie uwierzyłbyś ile krwi się przy takim zabiegu pojawia. Po prostu masa. Dobrze, że był już podwieszony, bo by mi się jeszcze skubaniec zachłysnął i udusił przedwcześnie. – Piotr nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Miał nadzieję, że to tylko koszmar. Okropny, makabryczny i morderczy, ale tylko koszmar. – Nie zawsze taki byłem. Na początku, zabijałem ich szybko. Podcinałem gardło, spuszczałem krew i zabierałem się do obgotowania mięsa. Rozumiesz, im świeższe tym lepsze. Zresztą oni na nie czekają, a nie chciałem wystawiać ich cierpliwości na próbę. Zresztą zaraz będzie czas karmienia. Ale, o czym to ja... Ano tak, kiedyś zabijałem ich szybko. Potem zaczęło mi to sprawiać radość, wiesz, zacząłem eksperymentować i jakoś to mnie tak wciągnęło. Próbowałem ciągle nowych rzeczy i za każdym razem było inaczej. Powiem ci szczerze, że czasami już nie miałem pomysłu, ale gdy widziałem kolejną ofiarę, skrupowaną, z tym wyrazem przerażenia na twarzy, to od razu coś mi przychodziło do głowy. Tak jakby ktoś mi coś szeptał i podsuwał nowe rozwiązania. – Piotr nie chciał tego słuchać. Najchętniej wyniósłby się stąd najdalej jak tylko by zdołał, ale biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdował, były to tylko puste mrzonki.

Cieć znowu przemieszał breję i wyłączył płytę grzewczą.

- No i gdzie ona jest z tymi workami? – Postukał łyżą w krawędź garnka i wyszedł na piwniczny korytarz, trzaskając za sobą drzwiami. To był moment, który Piotr musiał wykorzystać. Szybko rozejrzał się po pomieszczeniu. Mnóstwo rupieci, które zawałało jego wnętrze nie ułatwiało odnalezienia niczego, co mogłoby się przydać. W końcu dostrzegł jakiś przedmiot o ostrej krawędzi. Cokolwiek to

było, wydawało się wystarczająco ostre, by przeciąć sznury, które krępowały jego stopy i nadgarstki, ale czas uciekał. Jak najszybciej zdołał, doczołgał się w upatrzone miejsce i gorączkowo zaczął trzeć więzy. Nie szło łatwo, ale po chwili udało mu się uwolnić ręce. Nogi to już była tylko formalność. Wstał i dopiero teraz poczuł jak bardzo jest odrętwiały. Gdyby nie oparł się o pobliską szafkę, na pewno by się przewrócił. Chwilę odczekał, a gdy krążenie z nieznośnym kluciem wróciło do odrętwiałych kończyn podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę i z ulgą spostrzegł, że skrzydło z łatwością się uchyla. Wyjrzał na korytarz, który wydawał się pusty. Wyszedł na zewnątrz i ostrożnie ruszył w kierunku, w którym znajdowało się wyjście na tyły. Niestety ta droga okazała się zamknięta, a bez klucza nie było szans otworzyć, ani wywarzyć wzmocnionych metalowych drzwi. Zostało wymknąć się frontem, ale to oznaczało przemknięcie się obok recepcji, recepcjonisty i kto wie, kogo jeszcze.

Dookoła panowała cisza. Ruszył w drogę powrotną i gdy minął pokój, z którego przed chwilą się wydostał, poszedł dalej. Gdy doszedł do zakrętu korytarza, minawszy wcześniej kilka par drzwi, których nawet nie sprawdzał, przystanął i bardzo ostrożnie wyjrzał za załom muru. Pusto. Nie było czasu do stracenia, ale wiedział, że zbyt ni pośpiech może go zgubić. Powoli wyszedł zza rogu i ruszył dalej. Doszedł do rozszerzenia korytarza, gdzie wcześniej Mirek palił papierosa. Nie zatrzymując się, podążał w kierunku wyjścia. Minął szyb windy, który zignorował. Mechanizm na pewno zaalarmowałby ciecia, który prawdopodobnie, cały czas był gdzieś w budynku. Doszedł do schodów i ruszył w górę. Gdy wyszedł na parter, znowu przystanął i przez chwilę nasłuchiwał starając się wychwycić jakikolwiek dźwięk. Cisza. Wychylił się z klatki schodowej i przekonany, że nikogo nie ma w pobliżu, ruszył w kierunku drzwi na zewnątrz. Starał się iść ostrożnie, jak najciszej, ale chęć jak najszybszego wydostania się z pułapki, gnała go do przodu. Gdzieś z tyłu trzasnęły drzwi. Piotr rzucił się biegiem do wyjścia. Naparł na drzwi, ale te okazały się zamknięte. Zresztą wiedział, że tak będzie. Nie raz, gdy zostawał w firmie by nabić kilka nadgodzin i wychodził późnym wieczorem, spotykał się z taką samą sytuacją. Klucz

zawsze był w zamku i tym razem nie było inaczej. Wystarczyło go przekreślić i uciec.

Zanim drzwi się za nim zamknęły, usłyszał jeszcze krzyk za plecami. Zdał sobie sprawę, że jego ucieczka została odkryta. Na zewnątrz było ciemno. Oznaczałoby to, że był nieprzytomny przez większą część dnia. Nie był to jednak najlepszy moment by się nad tym dłużej zastanawiać. Obecnie liczyło się uratowanie skóry. Do tramwaju miał niedaleko, ale nie wiedział ile przyjdzie mu czekać na przystanku. Szczególnie, że nie wiedział także, która jest godzina, a biorąc pod uwagę fakt całkowitego braku ruchu na ulicy, musiała być późna noc. Piotr postanowił się jak najszybciej gdzieś ukryć. Po wyjściu z budynku, skierował swoje kroki w prawo, gdzie stały dwie stare, opustoszałe kamienice. Miasto miało w planie ich wyburzenie, by łatwiej sprzedać znajdujący się pod nimi teren, ale póki, co na planach się skończyło i budynki jak straszyły, tak nadal straszą. Chłopak właśnie tam postanowił szukać schronienia.

Do środka dostał się przez wybite okno, ale czuł, że ktoś za nim biegnie. Zapewne cieć. Przez myśl przemknęło mu, że może źle zrobił ładując się do budynku. Jego wnętrze mogło okazać się pułapką bez wyjścia. Może lepiej było biec dalej, kluczyć uliczkami i jak najbardziej oddalić się od tego miejsca. Może. Ale teraz było już za późno. Teraz trzeba było działać.

Ruszył w głąb. Wnętrze było spowite mrokiem i tylko gdzieś widać było mdłe plamy światła latarni, wpadającego przez powybijane okna. Idąc po omacku dotarł do schodów. W dół, czy w górę? W górę. Przeskakiwał po dwa stopnie. Na drugim piętrze się zatrzymał. Nasłuchiwał. Przez dłuższą chwilę nic nie było słychać, aż gdzieś w głębi dosłyszał coś co skojarzyło mu się z chrapaniem. Chwilę później z dołu, mniej więcej z okolic miejsca, którym wszedł do budynku, rozległ się hałas szkła pękającego pod podeszwą ciężkich butów. Cieć. Cieć był w środku. Piotr nie mógł czekać. Ruszył dalej, w głąb korytarza. Chrapanie zdawało się narastać. Może ktoś tam mieszkał. Może dziki lokator mógłby dać mu schronienie lub chociaż przewagę w starciu z przeciwnikiem. Tonący brzytwy się chwyta, a nieznajomy, kimkolwiek był, mógł stać się w tej sytuacji jego brzytwą.

Pod drzwiami na końcu korytarza zobaczył smugę migotliwego światła. To zza nich dobiegało chrapanie. Pchnął skrzydło i stanął w progu dużego pomieszczenia, na środku którego paliło się małe ognisko. A raczej mały, zrobiony ze starego grilla koksownik, wokół którego leżało siedmiu bezdomnych. To jeden z nich tak chrapał. Reszta siedziała wokół źródła ciepła, a gdy uchyliły się drzwi, ich uwaga skupiła się na intruzie. Piotr patrzył na zgromadzonych w środku lokatorów i nie wiedział co zrobić.

- Czego tu? – zapytał jeden z bezdomnych.

- Prze...praszam – zaciął się Piotr. – Potrzebuję schronienia.

- A czy to wygląda na schronisko?

- Nie, ale... - gdzieś za jego plecami rozległy się szybkie kroki ciecica wbiegającego po schodach. Każde kolejne tupnięcie było coraz głośniejsze i coraz bliższe. Piotr odwrócił głowę i zobaczył jak na korytarzu przy klatce schodowej pojawia się jego oprawca. Na ten widok wpadł do środka, zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami.

- I gdzie się pchasz pacanie? – Tym razem głos zabrał inny bezdomny, po czym odrzucił koc i wstał z podłogi. – W ryj nie chciałbyś dostać?

- Przepraszam, ale jak już mówiłem potrzebuję pomocy. – Gdy tylko Piotr skończył zdanie, za jego plecami rozległo się uderzenie w drzwi. Potem drugie, ale zdołał je przytrzymać swoim ciężarem.

- Odejdź od drzwi. – Pierwszy żul postanowił działać.

- Ale...

- Powiedziałem, żebyś odszedł od drzwi.

Piotrowi brakło argumentów. Za plecami rozległo się kolejne uderzenie, ale pięć z siedmiu koczujących w pomieszczeniu osób stało już na nogach. Śpiący się obudził i wpatrywał się teraz tęnym wzrokiem w scenę rozgrywającą się w pokoju, a ostatni gość siedzący od samego początku w starym, rozpadającym się fotelu kończył obgryzać jakąś kość i sprawiał wrażenie niezainteresowanego zamieszaniem wokół niego. Piotr odsunął się od drzwi, a te z hukiem otworzyły się po kolejnym uderzeniu. Do środka wszedł cieć. Wszedł jak do siebie, a żule jak jedna osoba zrobili krok w tył. Ciec podszedł do Piotra i uderzył go w twarz. Chłopaka zarzuciło i potknąwszy się o coś leżące na podłodze

przewrócił się wywracając jakiś metalowy garnek. Po podłodze rozsypała się sterta kości.

- I po chuj było uciekać? Myślałeś, że cię nie dopadnę?

Piotr bał się podnieść wzrok, a oczy wlepił w stertę obgryzionych gości. Z chaosu gnatów jeden przykuł jego uwagę. Wyglądał zupełnie jak żuchwa... ludzka żuchwa.

- No Panowie – cieć zwrócił się do żuli. – Tym razem kolacja przyszła sama. Trzeba tylko zmiękczyć mięso, a potem zajmiemy się jego oprawianiem.

Podeszwa buta zgasła leżącemu na podłodze chłopakowi światło. Gumowy wzór protektora był ostatnim widokiem jaki zobaczył za życia. Wkrótce w pokoju rozległ się zapach świeżo pieczonego mięsa.

# Rany

Tomek pierwszą ranę zobaczył gdy siedział na kiblu. Wiadomo, kupa rzecz ludzka, a gdy przeczytał już cały magazyn, który został tutaj przywleczony w tym celu, zaczął przyglądać się swoim nogom. Wtedy właśnie jego wzrok przyciągnęło zadrapanie na udzie. Niby nic. Ale jednak nie pamiętał sytuacji, w której mógł nabawić się takiego uszczerbku na ciele. A, co tam, pomyślał. Nie ma się czym przejmować.

Wcześniej, wreszcie udało mu się wyrwać kilka dni, by odpocząć. Po nieskończenie długich trzech miesiącach codziennego wyrabiania nadgodzin w pracy (tak, weekend to też dzień pracujący), które zafundowała mu jego kochana firma, w końcu udało mu się uzyskać urlop (w ramach ekwiwalentu za dodatkowy czas spędzony nad projektem). Projekt nie był łatwy, ani przyjemny, a jakby tego było mało, klient był na dodatek kretynem, ale z korporacją się nie dyskutuje. Korporacja karze, programista robi. Szczególnie taki z małego studia, gdzie prezesa nie obchodzi czy jego pracownicy mają życie prywatne. Liczy się hajs i perspektywa na jeszcze większego hajsu. A kto zarabia ten hajs? No ten kto dostaje z niego najmniej, a wykonuje całą pracę. Programista.

Ale było, minęło. Robota zrobiona, co prawda z błędami, ale te są nieuniknione. Potem będą z tym walczyć mniej doświadczeni stażem, a Tomek może wreszcie odpocząć.

Najchętniej odpoczywa z dala od komputera, komórki i jakiegokolwiek technologii. Bieszczady i osamotniona chatka w lesie. Z dala od cywilizacji. Blisko przyrody. Spokój i cisza zmałona jedynie szumem lasu. Albo deszczu, ale takie już są uroki jesieni.

Gdy tylko dostał urlop, pierwsze co zrobił to zadzwonił do dziadka, i zapytał czy może wyskoczyć do chałupy. Tak w jego rodzinie nazywano domek, w którym dziadek spędził większość



życia. Od dzieciaka kłusował. Za komuny był to jego jedyne źródło dochodu, ale po zmianie ustroju rynek się przekształcił, popyt na skóry i dziczyznę właściwie zaniknął, a dziadek zamknął chałupę na cztery spusty i wrócił do życia w mieście. Domek jednak nigdy nie podupadł, bo może trochę z sentymentu, a może dla potomności, zawsze ktoś z rodziny tam zaglądał i na bieżąco naprawiał wszelkie usterki. A nie było ich dużo bo i co miało się popsuć. Co najwyżej wymienić pękniętą szybkę w niewielkim oknie, albo załatać cieknący dach. Bieżącej wody nie ma. Prądu nie ma. Kanalizacji też nie ma. Bida z nędzą panie. Bida z nędzą i oto właśnie chodzi. W tym cały urok.

Kiedy dziadek potwierdził, że może wziąć klucze i jechać tam kiedy tylko chce, spakował prowiant, kilka ubrań i wyruszył. Po drodze kupił jeszcze proszek do prania, pastę do zębów i mydło. Wiedział, że tego na miejscu nie zastanie, a higiena to jednak higiena. Kiedyś nie miała znaczenia, dziś wielu ma na jej punkcie obsesję. A tam gdzie nie ma bieżącej wody, dobry proszek do prania, dobre mydło i pasta do zębów to rzeczy szczególnie niezbędne. Upchnął zakupy w bagażniku i wreszcie ruszył tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Albo przynajmniej GPS gubi zasięg.

Gdy dotarł na miejsce, domek stał jak zawsze, las szumiał swoją delikatną melodię, a przez zachmurzone niebo przebiły się pierwsze tego dnia promienie słońca, choć to chyliło się już ku zachodowi. Do najbliższego gospodarstwa miał przynajmniej trzydzieści kilometrów, a do najbliższego miasteczka z pięćdziesiąt. I bardzo dobrze.

Wysiadł z samochodu, wygrzebał z torby klucze i zabrał się za otwieranie zamków. Te zawsze ustępowały opornie, bo stare drewniane drzwi były już wypaczone i miały swoje humory. Zanim wszedł do środka uchylił jeszcze okiennice, żeby wpuścić do środka trochę światła. Okna nie były duże, więc wewnątrz i tak panował wieczny półmrok, ale lepsze to niż nic. Ważne, żeby w nic po ciemku nie przywalić. Wrócił do samochodu, wziął bagaże i wniósł je do chaty. Drzwi nie zamykał, bo z doświadczenia wiedział, że wewnątrz będzie wyczuwalna stęchła atmosfera. I oczywiście tak było. Szybko przebrał się w mniej oficjalne ubranie, pootwierał okna by szybciej przewietrzyć pomieszczenie i udał się do niewielkiej szopki obok,

gdzie powinna być siekiera i drewno na opał. Wytoczył większy pień i zaczął na nim rąbać drwa do starej żeliwnej kozy, która była tutaj jedynym źródłem ciepła. Gdy uznał, że drzewa wystarczy do następnego dnia, wziął się za łupanie mniejszych szczapek na rozpałkę. Do zachodu słońca została jeszcze jakaś godzina, ale w lesie zmrok zapada szybciej i już wyraźnie było czuć nadchodzącą noc. Siekierę wbił w pień, porąbane drwa wrzucił do szopki i zabrawszy ze sobą podpałkę oraz naręczce opału do dołożenia wrócił do domku, w który powietrze zdążyło się wyczuwalnie oczyścić. W piecu napalił sprawnie, co nie tyle było zasługą jego umiejętności, co raczej butelki denaturatu, która jak zawsze okazała się nieodzowną pomocą w tym procesie. Pozostało jeszcze przynieść wody. Wziął metalowe wiadro i poszedł do studni, gdzie za pomocą karabińczyka przyczepił je do łańcucha i wrzucił w ciemność studziennego szybu, kontrolując jedną ręką szybkość obrotu kołowrotu. Ten ostatni, gdy zaczął wyciągać wiadro pełne wody, piszczał na tyle przeraźliwie, że echo niosło się daleko między drzewami i wypłoszyło wszystkie zwierzęta z okolicy. Uroki dziczy.

Gdy ze wszystkim się uwinął, a za oknem zapadła noc, wreszcie mógł w spokoju wyciągnąć się w fotelu i przy świetle grubej świecy zabrać się za lekturę. Klasyka grozy wydaje się idealna w takim otoczeniu. Wręcz czuł jak wielcy przedwieczni zaglądają mu przez ramię do książki i czytają razem z nim. W piecu huczał ogień, a za oknem pohukiwała sowa. Jednym słowem, natura.

I tak pogrążonego w opowieści Tomasza zastał sen, który niepostrzeżenie zakradł się do jego umysłu i zaciążył na powiekach. Chłopak wstał, zgasił świecę i położył się do łóżka, w którym błyskawicznie zatracił się w sennych marzeniach.

I tak minął pierwszy tydzień urlopu. Czas mijał nieubłaganie, choć bardzo przyjemnie. Fizyczna praca dawała Tomkowi ogromną satysfakcję, a odpoczynek na niekończących się spacerach leśnymi ścieżkami i przy wieczornej lekturze był niezastąpiony.

Chatka w lesie, szczególnie taka osadzona w bezludnym rejonie, do której wpada się tylko od czasu do czasu, ciągle wymaga jakichś

napraw, dlatego ciężko się w takim miejscu nudzić. A to dach gdzieś wymaga łąty, a to jakieś okno trzeba uszczelnić. Krótko mówiąc, roboty nie brakuje. I bardzo dobrze, bo to świetna odskocznia od codziennego życia w mieście.

Jedynymi oznakami cywilizacji na jakie chłopak sobie pozwolił było mydło i proszek do prania. W końcu umyć się czasem trzeba, a i pranie ze dwa razy wypada zrobić. To ostatnie wypadło w środku tygodnia i to właśnie następnego dnia, przy porannym posiedzeniu, Tomek zobaczył pierwsze zadrapanie. Potem, po dokładniejszych oględzinach, zauważył jeszcze inne. Ale gdy błąkaasz się po lesie, lub pracujesz w obejściu wiejskiej chaty, takie rzeczy człowieka nie dziwią. Po prostu się pojawiają i już. Gorzej, gdy kolejnego dnia widzisz, że ślady, które zauważyłeś wczoraj są większe.

Początkowo, zignorował sprawę. Uznał, że to inne skaleczenia, ale gdy kolejnego dnia w tych samych miejscach rany były jeszcze większe, do tego na dresowych spodniach i koszulce, na którą wcześniej nie zwracał uwagi, zobaczył ślady krwi, a okolice obrażeń zaczęły piec, wyraźnie się przestraszył. Już po krótkich oględzinach zauważył, że rany się pogłębiają, a do tego korzystając z dużego lustra spostrzegł dwie nowe na plecach i jedną na boku, na które wcześniej jakoś nie zwrócił uwagi. Może ich nie było, a może zwyczajnie je przegapił. W każdym razie, coś tutaj wyraźnie nie grało i Tomek na serio się przejął.

Co by nie było przyczyną, należało coś z tym zrobić. W normalnych okolicznościach poszedłby do lekarza, ale tutaj do najbliższego ośrodka zdrowia miał blisko czterdzieści kilometrów. Taki wypad nie uśmiechał mu się i miał nadzieję, że nie będzie konieczny. Wyciągnął apteczkę z samochodu i wszystkie zauważone wcześniej urazy polał wodą utlenioną. Dla pewności zalepił plastrem by raz, chronić je przed zabrudzeniami oraz dwa, zatamować ewentualne krwawienia. Chociaż ta sytuacja cały czas nie dawała mu spokoju, postanowił przeczekać. Ludzkie ciało przecież się regeneruje i takie obrażenia powinny się szybko zagoić. By rozwiać troski pomyślał, że weźmie się za jakąś robotę. Popracuje, zmęczy się to i głupie myśli ulecą mu z głowy.

Gdyby jeszcze tylko mógł się na czymś skupić. Za co się nie zabrał, zaraz okazywało się, że albo nie ma odpowiednich narzędzi, albo umiejętności. Co gorsza, zwykłe monotonne czynności jak rąbanie drzewa, okazały się mało skuteczną metodą rozwiania ponurych myśli przez co, te cały czas zasnuwały jego umysł.

W końcu zapadł zmrok. Lektura kolejnego horroru, tym razem bardziej współczesnego, jeszcze bardziej pogłębiła jego i tak już ponury nastrój. Przy chwiejnym blasku świecy jeszcze raz przyjrzał się największej ranie na udzie. Gdy odlepił plaster, ten od środka okazał się zakrwawiony, co jednocześnie świadczyło o tym, że rana raczej się nie goi. Dla pewności sprawdził drugą, w okolicy kolana, ale i tam efekt był identyczny.

Tomek przełknął ślinę i podjął jedyną słuszną decyzję. Jutro jedzie do lekarza. Trudno, nie ma co czekać. Daleko, bo daleko, ale jego stan najwyraźniej nie miał się ku lepszemu, a pieczenie, które odczuwał już wcześniej, czasami delikatnie malało, ale cały czas było wyczuwalne. Szczególnie teraz, kiedy nie pracował i jego organizm bez przeszkód mógł wysyłać wszelkie niepokojące sygnały do jego mózgu.

Sen tej nocy nie przyszedł szybko, a nawet gdy już się pojawił był lekki i płochliwy.

Obudził się o świcie. Spocony i zmęczony.

Gdy usiadł na łóżku zauważył, że koszulkę w której spał ma brudną od krwi. Czerwień była też na jego nogach i pościeli. Jego rany krwawiły nadal, a intensywność tego procesu cały czas jakby rosła. Pomyślał, że trzeba będzie zrobić pranie. Ale to później, jak wróci od lekarza. Dobrze, że po drodze tutaj kupił proszek, który ledwo napoczął.

Proszek.

W jednej chwili, to słowo pochłonęło całą jego uwagę. Pierwsze zadrapania, jak wtedy myślał, zauważył dzień po praniu. Może to reakcja uczuleniowa na jakiś składnik proszku.

Wstał i poszedł szybko po pudełko. Gdy był na zakupach nie zwrócił uwagi jaki środek piorący właściwie kupił. Spieszył się i zależało mu tylko na tym, by był do koloru. Teraz zwrócił uwagę na

markę i w oczy od razu rzuciło mu się hasło reklamowe, które znał także z telewizyjnego spotu.

### *Nanotechnologia w służbie czystości.*

O ile kojarzył była to cała linia produktów. Od proszku do prania, przez płyn do podłogi po sprej do ścierania kurzu. Wszystko reklamowane jako super nowoczesne środki mające działać lepiej, dłużej i bezpieczniej niż konkurencja. Chemia wzbogacona tanimi chińskimi nanobotami, które w przypadku proszku do prania, miały wnikać w materiał i bezpośrednio rozpuszczać plamę by ta bez trudu mogła zostać zmyta przez wodę.

Ale co działo się z nimi po praniu. Teoretycznie, nie wyplukane mogły zostać w wypranym ubraniu, a z niego przenieść się... na ciało. Całkowicie bezpieczne i nieszkodliwe dla ludzkiego organizmu, to tylko marketingowy bełkot, który jak to już bywało, nie musi mieć nic wspólnego z rzeczywistością. A jeśli to prawda, to mogły przecież rozpuszczać nie tylko plamy, ale może także skórę. W końcu plamy to często tłuszcz, a w ludzkiej skórze tłuszczu nie brakuje. Cały czas miałyby co robić i wnikałyby w organizm coraz głębiej i głębiej aż... o Boże.

Tomek wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Że każda chwila zbliża go do nieuniknionego. Zerwał się na równe nogi. Szybko się ubrał i nie jedząc nawet śniadania, porwał kluczyki i pobiegł do samochodu. Z każdym ruchem czuł ból w ranach. Jego domysły, choć były tylko domysłami, zbyt dobrze pasowały do całej sytuacji. Nanotechnologia w służbie czystości, czyściła właśnie jego organizm. Auto nieodpalane od kiedy przyjechał, trochę się zastało i silnik zaskoczył dopiero za trzecim razem. Wycofał, zawrócił i wdepnął gaz do końca. Pojazdem lekko zarzuciło na leśnej, wilgotnej ścieżce, ale terenowe opony nie miały problemu wyrwać całości do przodu. Pędził na tyle szybko, na ile pozwalała mu droga. Drzewa przemykały za oknem, a błoto tworzyło wachlarze za oponami.

Tymczasem nanoboty przedostały się do krwiobiegu i podróżowały w jego arteriach. Gdy dotarły do serca, zaczęły gromadzić się w komorze, która stała się dla nich naturalnym

zbiornikiem. Setki, tysiące, a potem miliony nanodrobin utrudniały przepływ krwi i niszczyły wewnętrzną tkankę narządu.

Tomek dojechał do asfaltowej drogi, ale czuł, że coś jest z nim nie tak. Ręce mu się trzęsły, a w klatce piersiowej czuł ból. Obraz przed oczami miał rozmazany. Nie przejmując się ograniczeniami prędkości, przycisnął pedał gazu do końca. Właściwie wbił go w dechę i pędził na złamanie karku. Do pierwszego ostrego zakrętu. Chwilę wcześniej, lewą stronę jego klatki piersiowej przeszył ogromny ból. Prawą rękę oderwał od kierownicy i przycisnął ją do piersi. Zaciśnął zęby aż zgrzytnęły i przymknął na sekundę oczy. To wystarczyło by stracił panowanie nad samochodem i wypaść z dość łagodnego i wydawałoby się nie groźnego zakrętu.

Auto w huku giętej blachy i trzasku pękających szyb, owinęło się wokół przydrożnego drzewa. Jego pasażer nie miał szans na przeżycie. Kolumna kierownicy pogruchotała mu żebra miażdżąc płuca i łamiąc kręgosłup. Prawa ręka złamana w trzech miejscach wisiała bezwładnie, a lewa została zaklinowana w zgniecionych drzwiach i wyrwana ze stawu. Połamane nogi zostały wgniecione w podbrzusze. Głowa rozbita o resztę przedniej szyby, przekrzywiona na złamanym karku, opierała się o prawy bark. Krew była wszędzie.

Posterunkowy wysłany na miejsce zdarzenia widział już kilka wypadków, ale cały czas nie był w stanie znieść ich widoku. Rzygał jak kot i czekał na ekipę, która to posprząta.

# Śniadanko

Siódma rano, pierwszy w pracy. Michał włączył komputer, zalogował się by czas obecności wystartował i poszedł do kuchni zjeść śniadanie. Zanim przyjdzie reszta firmy, spokojnie wszamie posiłek i będzie gdzieś w połowie porannej prasówki. Sięgnął po płatki, wsypał ich kilka garści do miski i zalał wyjętym wcześniej z lodówki mlekiem. Całość wstawił na trzy minuty do mikrofal. Zanim się podgrzały, umył swój kubek i wstawił wodę na herbatę po czym zamyślił się nad sensem ludzkiego życia, przemijającym czasem i wzrostem ceny paliwa na stacji benzynowej.

Z rozmyślań wyrwał go brzdęk mikrofalii oznajmiający, że jedzenie jest już podgrzane. Z tym akurat bywało różnie. Coś co na zewnątrz skwierczało w środku mogło okazać się zimne. Zamieszał zawartość miseczki, posmakował, było w porządku. Ani za ciepłe, ani za chłodne. Jeszcze odrobina cynamonu i wziął się za jedzenie.

Potem jeszcze siedem i pół godziny wślepiania się w monitor, odbycie jakiegoś nudnego spotkania, zrobienie harmonogramu i można spadać na chatę pograć. Gry były jego pasją. Michał każdą wolną chwilę spędzał w wirtualnych światach, choć miał co do tego jedną zasadę. Nigdy nie grał w pracy. W drodze do niej. Tak. W drodze powrotnej. Jak najbardziej. Na chacie. Bez opamiętania. Ale nigdy, przenigdy w pracy. Przynajmniej od czasu kiedy z poprzedniej wywali go właśnie za granie. Wtedy powiedział sobie, że coś takiego nigdy więcej nie może mu się przydarzyć i jak na razie trzymał się swojego postanowienia bardziej niż przeciętny mąż przysięgi małżeńskiej. Bo jak mawiał jego dziadek, w życiu trzeba mieć zasady, a jak już ma się zasady to należy się ich trzymać. A on, swoich się trzymał. Jak rzep psiego ogona. To zresztą też popularne powiedzenie jego dziadka.

Po drodze z roboty kupił w Robalu krokiety z mięsem na szybki obiad i butelkę coca-coli by nie zdechnąć z pragnienia i wreszcie wyciągnąwszy kości w wygodnym fotelu z padem w rękę, mógł zanurzyć się w świetle gdzie czuł się potrzebny. No, przynajmniej bardziej niż w tym nudnym jak pizda i smutnym jak real mieście.

Tak minęło mu popołudnie, wieczór i pokaźny kawał nocy, aż sen nie zaczął walić i kopać do umysłu by zmusić go do walnięcia się na wyro. Czemu z przykrością musiał ulec.

I tak dzień za dniem. Tydzień za tygodniem. Miesiąc za miesiącem. Rok... zresztą po co ta wyliczanka. Pasja to pasja, a z pasją nie wygrasz. Pewnie mógłby tę energię przekierować gdzie indziej. Pójść na siłownię i wyrzeźbić ciało. Zacząć grać na giełdzie i dorobić się fortuny. Założyć firmę i z pięć razy splajtować nim osiągnąłby sukces z tą szóstą. Mógłby, ale nie miał takich ambicji i już. Koniec gdybania.

W końcu siedzący tryb życia i dieta, w której najzdrowszym posiłkiem były te poranne płatki w firmie, zemściły się na nim. Wszystko zaczęło się w czwartkową noc, gdy po codziennym relaksie przy szumie konsoli położył się spać i nie mógł zasnąć. Już w dzień czuł dziwny dyskomfort w brzuchu, ale olał temat. Pewnie samo przejdzie. Ale nie przeszło. W nocy ból był silniejszy, a następnego dnia już wyraźnie czuł, że coś jest nie tak. Połknął dwie tabletki przeciwbólowe i wydawało się, że wszystko wróciło do normy. Przynajmniej do wieczora, kiedy to proszki przestały działać i trzeba było sięgnąć po kolejną dawkę. W sobotę było już ciężko. Na tyle ciężko by sięgnąć po telefon i zadzwonić do doktora. W recepcji powiedzieli mu, że jego lekarz będzie w poniedziałek od rana, więc mogą go zarejestrować już na 10.30. Zgodził się, podał swoje dane i nieco uspokojony zasiadł do grania. Zresztą było nawet chyba trochę lepiej, bo ból jakby zelżał. Nie musiał brać nawet kolejnych tabletek. Przynajmniej do wieczora, kiedy sytuacja uległa pogorszeniu.

Najpierw poczuł pieczenie, a potem ból. W brzuchu, jak wcześniej. I podobnie jak wcześniej sięgnął po tabletki przeciwbólowe, ale te choć złagodziły jego odczucia, nie wyeliminowały ich do końca. W końcu postanowił się położyć do



łóżka, gdzie po ciężkich zmaganiach w końcu udało mu się zasnąć. Do czasu.

Ze snu wyrwał go silny ból brzucha. Zwinął się w kłębek i zagryzł zęby na fragmencie kołdry. Czegoś takiego nigdy nie czuł. Jakby coś rozrywało go od środka. Przycisnął dłonie do bebecha, a z gardła wyrwał mu się jęk. Jego ciało było złane potem. Między palcami poczuł coś ciepłego i wilgotnego. Odkrył się, zerwał i usiał na krawędzi łóżka. Zapalił lampkę nocną i zobaczył, że krwawi. Jego dłonie, majtki, koszulka i pościel umazane były krwią. Oderwał rękę od brzucha i zobaczył, że jego skóra jest poszarpana. Coś przeleciało mu nad głową. Kątem oka zobaczył jeszcze jakiś ruch, a zaraz potem kolejny. Jakby w pokoju były jakieś owady. Zupełnie ciche. Bezszelestne.

Jego ciało znaleziono dwa tygodnie później, gdy sąsiedzi zadzwonili na policję i poinformowali, że z jego mieszkania dolatuje obrzydliwy zapach, a na pukanie do drzwi nikt nie reagował. Policyjny patrol po wszelkich próbach pokojowego dostania się do środka, pozostawiony bez wyboru wywarzył drzwi i w sypialni natknął się na ciało w zaawansowanym stanie rozkładu. Śmierdzące i napuchnięte jak balon zdawało się móc eksplodować przy najmniejszym dotyku. Z licznymi ranami na całym ciele, jakby coś się nim żywiło.

Najdziwniejszy był jednak stan wszelkich naturalnych materiałów w mieszkaniu. Były zeżarte. Jakby mole urządziły sobie na nich ucztę. Pościel i ubrania w szafie były w większości dziurawe, ale nigdzie nie natrafiono na choćby jednego owada. Do czasu kiedy lekarz sądowy podczas sekcji nie znalazł jednego w dziurce od nosa, jednego w pępku i kilkunastu w narządach wewnętrznych.

Pani Halinka sprzątała w firmie nieżyjącego już Michała od zawsze. To ona zauważyła, że w szafie załęgło się robactwo. Zgłosiła to do sekretariatu, a sekretarka poinformowała już wszystkich pracowników, że wszystko co jest w szafie, wszystkie kawy, herbaty czy płatki zostanie wyrzucone bo załęgły się w nich mole. I choć mole są względnie niegroźne to kto by chciał jeść ich

larwy. Na pewno nie Michał, który mógłby mieć o tych lubiących ubrania owadach zgoła inne zdanie. Ale Michał już nie żył, więc nie mógł się podzielić swoją opinią.

# Śpioch

Obserwowała go gdy spał. Patrzyła jak pod powiekami szaleją jego gałki oczne. Pewnie coś mu się śni. Coś fantastycznego. Trochę ją ciekawiło, co. Ludzkie sny zawsze ją interesowały, bo sama nigdy nie śniła. Nigdy nie spała, więc ciężko byłoby jej nawet zanurzyć się w sennych marzeniach.

On jednak był tylko człowiekiem i śnił. Intensywnie. Jego oddech przyspieszył. Czowała jak jego ciało oblał pot. Ten specyficzny zapach rozgrzanej skóry. Może z kimś walczy. Może rozgrywa mecz życia. A może przed czym ucieka. Przed potworem z szafy lub tym spod łóżka, który późną nocą wyszedł ze swojego ukrycia i postanowił się z nim rozprawić. Pożreć jego świeże ciało jak kanapkę z sałatą, serem, kawałkiem szynki i pomidorem. Brzmi pysznie, ale to nie była strawa dla niej. Ona ma smak na coś innego.

Patrzyła na swój przyszły posiłek, który w tym momencie przewrócił się z pleców na lewy bok. Twarzą do niej.

Jego żona spała obok. Spokojnie. Jej oddech był równomierny, a gałki nieruchome.

Ich syn był w swoim pokoju. Pograżony w swym niewinnym jeszcze śnie. Jego też czuła, ale to nie on był na jej liście.

Ją interesował tylko on. Wyciągnęła kościstą rękę w jego kierunku. Dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym. Szponem ostrym jak brzytwa przesunęła po jego czole, pod okiem i przytknęła do czubka nosa. Wtedy się szarpnęła. Nie wiedziała czy to przez sen, czy wyczuła lodowaty chłód jej dotyku. Ledwo zdążyła oderwać palec, ale jego ruch był na tyle silny, że szpon zarysował skórę na jego nosie. Powierzchniowo. Na tyle płytko by nie wypłynęła nawet kropla krwi. Prawie niezauważalnie.

Prawie się wystraszyła. Mimo braku uczuć, prawie się wystraszyła. Dziwne uczucie. Wiedziała, że on należy już do niej, ale

wiedziała także, że to nie jest jeszcze ta noc. Dziś jeszcze odejdzie. Ale wróci. Na pewno. Niebawem.

\*\*\*

Gdy rano, jeszcze lekko zaspany zaczął się golić, zauważył coś na nosie. Dziwną rysę. Zadrapanie? Spojrzał na swoje paznokcie, ale te były krótkie. Anka miała długie, ale chyba by się obudził jakby go zadrapała przez sen. We śnie. A może nie? Może spał na tyle twardo, że nic nie poczuł. Przejechał palcem po rozcięciu. Żadnego bólu. Właściwie na pierwszy rzut oka nawet tego nie widać. Trzeba się przyjrzeć. A kto by się tam tak przyglądał.

Ale jednak trochę dziwne.

Nie istotne.

Wzruszył ramionami i golił się dalej. W końcu czas nie stoi w miejscu.

# Kwas

- I jak pan myśli, panie sierżancie? Kwas solny? – zapytał posterunkowy Skubiszewski z wyrazem twarzy, wyrażającym całą gamę emocji, począwszy od zaciekawienia, poprzez zniesmaczenie, na determinacji by nie wybiec z pokoju kończąc.

- Młody, my tu nie jesteśmy od snucia teorii, tylko zbierania faktów. – Odpowiedział mu zapytany. – Weź zabezpiecz to miejsce i przepytaj sąsiadów, ale najpierw wezwij kościotrupa, żeby przyjechał i zabrał sobie ten okaz. Potem, jeśli nie chce Ci się czytać jego raportu, możesz zadać mu to pytanie, które zadałeś mnie. Tylko streszczaj się, bo nie mam zamiaru spędzać tutaj całego dnia.

Szczególnie w towarzystwie tego przystojniaka. – Kiwnął głową w kierunku denata.

Początek dnia w żaden sposób nie raczył zasugerować sierżantowi Podwawelskiemu tego, co go czeka. Niby zaczął się normalnie od przebudzenia, czarnej mocno słodkiej kawy i sterty papierkowej roboty, od której żyć się odechciewało. Pocieszała go myśl, że jeszcze tylko dwa lata i emerytura. Do awansów mu się nie spieszyło, bo i po co? Wyższy stołek to większa odpowiedzialność, a tak, bezproblemowo dociągnie do odpowiedniego wieku i dorobi sobie jako ochroniarz. Gdyby jeszcze tylko nie musiał wyjeżdżać w teren.

A do tego zmusiło go zgłoszenie, które wpłynęło z samego rana. Sekretarka z jakiegoś architektonicznego biura zadzwoniła i zgłosiła, że od dwóch dni w pracy nie pojawił się jeden z ich pracowników i nie są w stanie się z nim skontaktować. Żadnego urlopu nie zgłaszał, a do tej pory podobna sytuacja się nie zdarzyła. W dodatku ma dziś jakieś ważne spotkanie z klientem i cała ta sytuacja trochę martwi

korporację. Na pytanie, czy ktoś był u zaginionego w domu, dzwoniąca odpowiedziała, że tak, ale drzwi były zamknięte i wydawało się, że nikogo nie ma w środku.

Sierżant wziął młodego i radiowozem wyruszyli do miejsca zamieszkania, wskazane przez zgłaszającego zaginięcie. Starszy stopniem policjant miał nadzieję, że gdy dojadą na miejsce i dostaną się do wnętrza mieszkania okaże się, że poszukiwany leży pijany do nieprzytomności w środku. I faktycznie był tam z tą różnicą, że niepijany, a martwy. Denat leżał na łóżku, a na jego twarzy zastygł wyraz niehumanitarnego bólu. Nagie ciało zmarłego było w wielu miejscach wypalono lub podtopione. Na pierwszy rzut oka było widać, że najbardziej ucierpiały genitalia i okolice, gdzie razita w oczy bezkształtna masa wręcz stopionego mięsa, która wraz z oddalaniem się od krocza wyglądała na coraz bardziej zdrową, jeśli można to tak ująć. Na piersi i poniżej kolan widniały już tylko drobne plamki. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś upuścił na denata pojemnik z jakąś silnie żrącą substancją. Pościeli wokół również poważnie się oberwało. Do makabrycznego widoku, dochodził jeszcze nieco stęchły i prowokujący wymioty, smród palonego ludzkiego ciała, spotęgowany dodatkowo zaduchem panującym w całym mieszkaniu.

To wszystko zwiastowało okres wytężonej pracy, który nie uśmiechał się Podwawelskiemu, ale co robić? Taka praca, a śledztwo samo się nie robi.

Wojtek nie narzekał. Miał dobrze płatną robotę, eleganckie mieszkanie w zamożnej dzielnicy i dobry samochód. Był singlem, a powodzenia u kobiet nie jeden mężczyzna mógłby mu pozazdrościć. Ten ostatni fakt zamierzał dziś wykorzystać.

W barze było dość tłoczno, gwarno, a na dymie papierosowym unoszącym się w lokalu można by wieszać siekiery. Wojtek podszedł do baru, gdzie zwolniło się właśnie miejsce, które niezwłocznie zajął i zamówił duże piwo. Zanim barman postawił przed nim kufel wypełniony złocistym trunkiem, zwieńczony białą koroną piany, zdołał się rozejrzeć dookoła i zlokalizować przynajmniej trzy cele. Teraz potrzebna była chwila obserwacji, by zobaczyć czy upatrzone

kobiety są same, czy może z kimś przyszły. Miał czas, więc spokojnie mógł poczekać i poobserwować, by w odpowiednim momencie uderzyć.

Szybko okazało się, że jedna z nich jest z facetem. Taki cel odpadał. Nie to żeby Wojtek się bał albo uważał, że nie miał szans, a chodziło o zwyczajną chłodną kalkulację. Jeśli przyszła z kimś to nikogo nie szuka, a poza tym jej partner na pewno robiłby problemy i skończyłoby się bójką. Całkowicie bez sensu i bez klasy.

Druga wkrótce zaczęła się zbierać. A szkoda, bo wysoka blondynka z delikatnie podkreślającym jej urodę makijażem, rozpuszczonymi włosami i długimi nogami na szpilkach, zdecydowanie była obiektem zachęcającym i rokującym upojną noc. No trudno, nie ma się tego, co się lubi, to bierze się to, co się ma... albo przynajmniej jest w zasięgu ręki.

A w zasięgu ręki była kandydatka numer trzy. Smukła brunetka z długimi włosami upiętymi w nieco staroświecki koński ogon, ale ubrana elegancko i najwyraźniej mająca, czym oddychać. Siedziała sama, czytając jakieś dokumenty i piła drinka, który akurat jej się kończył. Wojtek, nie wiedział jak się ów napój nazywa, ale barman jak zwykle w takich sytuacjach, wykazał się nieocenioną pomocą. Po chwili chłopak z dokładnie tym samym drinkiem w lewej ręce i czarnym galeonem w prawej, z wyćwiczonym delikatnym uśmiechem stał przy jej stoliku. Kobieta spojrzała na niego, uśmiechnęła się, a o tym, co było dalej, prawdziwi dżentelmeni nie rozmawiają.

Sierżant Podwawelski od razu wiedział, że to nie będzie łatwa sprawa. Odnalezioną przez niego niedawno ofiarą był Zbigniew Gnyp. Dobrze sytuowany rozwiedziony mężczyzna po czterdziestce. Jako powód rozwodu, podano liczne zdrady po stronie męża. Zmarły pracował jak było wiadomo od początku, jako architekt w jednej z tutejszych firm, a jego ostatnim projektem zainteresowana była duża zagraniczna korporacja, skąd bezpośrednio wpływała troska o niego jego przełożonych.

Z raportu laboratoryjnego nie wynikało właściwie nic. Jako powód śmierci podano liczne i głębokie poparzenia, bliżej nieokreśloną

substancją żrącą. Być może był to kwas solny, a być może cokolwiek innego. Ponadto stwierdzono występowanie kobiecych hormonów na powierzchni skóry denata.

Gdyby tego było mało, pojawił się kolejny trup. Tym razem ofiarą okazał się niejaki Wojciech Podolski, lat trzydzieści trzy, samotny, bezdzietny, handlowiec. Niczego mu nie brakowało poza życiem. Okoliczności śmierci jak i odniesione obrażenia identyczne. Sprawa robiła się zdecydowanie poważniejsza. Czyżby w okolicy panował jakiś żądny śmierci psychopata? Na przypadkowe wypadki to nie wyglądało, więc i tę hipotezę trzeba było wziąć pod uwagę. Klimat stawał się nie przyjemny, a Podwawelski został skierowany do pomocy oficerowi śledczemu, któremu sprawa została przekazana. Sierżant nie cieszył się z tego, ale rozkaz to rozkaz. Trzeba zacisnąć zęby i robić dobrą minę do złej gry. Na szczęście przydzielony mu oficer, szybko musiał wyjechać z kraju by zbadać trop z innego śledztwa. Przynajmniej będzie spokój, a on znów przejął stery.

Śledztwo toczyło się powoli. Zbieranie poszlak i przesłuchiwanie potencjalnych świadków nigdy nie wygląda tak, jak pokazują to w amerykańskich filmach. Z dnia na dzień odwala się masę pracy, wypełnia góry papierzyk, a to nie przynosi żadnego lub prawie żadnego postępu. Potrzebny był jakiś przełom. Coś, co pozwoliłoby na punkt zaczepienia i skierowanie postępowania na odpowiednie tory.

Coś takiego jak nagranie z kamery na jednym ze strzeżonych osiedli dla zamożnej części społeczeństwa, na którym widać szybko wybiegającą kobietę z jednego z domków w środku nocy. Miała klucze do bramy, więc strażnik nie zareagował. Nie takie rzeczy już w tej robocie widział. Za to ciało z totalnie stopioną twarzą, jednego z mieszkańców strzeżonego przez niego osiedla, do końca życia będzie mu śniło się po nocach.

Piotr nie mógł nie uznać tego wieczoru za udany. Trochę wypił, dobrze się bawił, a teraz jest w wynajętym pokoju hotelowym sam na sam z niezłą brunetką, z którą bynajmniej nie zamierza oglądać kolekcji znaczków pocztowych. Butelka wina, którą kupili po drodze



zbliża się ku końcowi, a ruchy kobiety zaczęły być coraz śmielsze, lecz jednocześnie jakby mniej płynne. Nie każdy ma łeb do picia, ale to nic nie szkodzi. Sięgnął ręką do jej głowy i ściągnął gumkę, która spinała jej ciemne włosy w koński ogon. Efekt był pociągający, a ruchy jej ręki rozgarniające równomiernie loki tylko wzmógł to wrażenie. Tak, ten wieczór na pewno będzie udany.

Lubił delegacje. Były to jedyne chwile, kiedy mógł porzucić obowiązki rodzinne i zająć się tylko sobą. Owszem, musiał pracować, ale dzieci i żona nie zaprzętały mu w tym okresie głowy. Często łądował wtedy w łóżku z ponętą nieznajomą. Zazwyczaj nie pamiętając rano jej imienia.

Magda, bo tak wydawało mu się, że ma na imię brunetka, która właśnie w samej bieliźnie przeszła z łazienki w okolice łóżka, na którym leżał, stanęła przed nim i przez chwilę mu się przyglądała. A może Ania? Sylwia? Nie ważne. W każdym razie na jej ustach zatańczył tajemniczy uśmiech. W zupełnej ciszy, stojąc w miejscu zaczęła rytmicznie poruszać biodrami na boki. Potem powoli, nie zaprzestając tego ruchu weszła na łóżko i zaczęła seksownie tańczyć. W panującej dookoła ciszy słychać tylko było delikatne trzeszczenie materaca i coraz szybszy oddech dziewczyny. W końcu odwróciła się do niego tyłem i kołysząc cały czas biodrami na długich wyprostowanych nogach, powolutku się pochyliła ukazując Piotrowi swoje wilgotne już łono. Zatrzymawszy się na krótką chwilę w tej pozycji, pozwoliła mu przyjrzeć się temu, co za chwilę posiadzie. Jej pełne pośladki wzmagały tylko jego podniecenie do tego stopnia, że ruszył nawet w jej stronę, ale ona natychmiast pogroziła mu palcem, dając wyraźnie do zrozumienia, że musi jeszcze poczekać.

Dorota, bo i tak przecież mogła mieć na imię, odwróciła się w jego stronę i zwinnym ruchem przyklęknęła tylko po to by za chwilę na czworaka ruszyć rozkołysanym, kocim krokiem w jego stronę. Ręką dotknęła jego przyrodzenia i sprawdzwszy gotowość do tego, co miało właśnie nastąpić, zdecydowanym, choć pełnym ostrożności ruchem usiadła na nim. Piotr cicho jęknął, a dosiadająca go kobieta rytmicznymi ruchami unosiła i opuszczała biodra. Jej tępo wzrastało. Chłopak w pewnym momencie chciał zmienić pozycję i przejść do klasycznej, jednak dziewczyna mocno ścisnęła go udami i nie

pozwoliła na żaden ruch. Jej wzrok stał się ostry. Gdy Piotr ponowił próbę, szybki ruchem ręki uderzyła go dłonią w twarz. To go zaskoczyło. Momentalnie odechciało mu się tego pieprzenia, ale nie był w stanie się wyswobodzić. Nagle jego krocze załała fala gorąca. Fala czegoś, co wręcz parzyło. Choć w pierwszej chwili, zszokowany i kompletnie przerażony obrotem spraw, nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, po chwili zdającej ciągnąć się w nieskończoność, zaczął krzyczeć. Ból się wzmacniał, a dosiadająca go kobieta poruszała się coraz szybciej i mocniej. Jakby chciała pogruchotać mu wszystkie kości, a z jej ust zaczęły wydobywać się dziwne gardłowe warknięcia. Mężczyzna momentalnie pożałował całej nocy, a w jego głowie szalała tylko jedna myśl. Uciec! Gdy w akcie desperacji szarpnął się z całych sił, chcąc zrzucić z siebie tę rozszalałą wiedźmę, coś chrupnęło. Do nieprzyjemnego trzasku szybko dołączyło ukłucie niesamowitego bólu, który przemieszczając się wzdłuż kręgosłupa, niczym lodowaty szpikulec wbił się z całym swym impetem w jego mózg, aż Piotr zazgrzytał zębami, a w jego oczach pojawiły się łzy. Wkrótce znowu poczuł przerażające pieczenie, ale tym razem wyżej, gdzieś na wysokości pępka, a jednocześnie zdał sobie sprawę, że nie czuje nic od pasa w dół. Jego kręgosłup się poddał. Jęknął niczym konające zwierze, a do jego nozdrzy doleciał obrzydliwy smród. Podniósł lekko głowę i zobaczył, że z pochwy kobiety coś tryska. Coś, co kapnąwszy na jego skórę zwyczajnie ją topiło. Ból i przerażenie zaczęły odbierać mu zmysły. Widział coraz mniej wyraźnie. Wszystko zdawało się rozmazywać i jakby ściemniać. Wrzeszczał. Darł się ile miał siły w płucach, ale gdzieś w głębi umysłu zdawał sobie sprawę, że to już koniec. Już po nim i to, w jaki sposób? Ze złamanym kręgosłupem i sflaczałym, poparzonym, wręcz stopionym kutasem w jakiejś toksycznej, silnie żrącej kwasem cipi, której nawet nie znał imienia.

Zanim umarł, miał wrażenie, że słyszy jeszcze jej odrażający chrapliwy głos. Coś do niego mówiła, ale nie był w stanie zrozumieć słów. W końcu coś, niczym szept, który jednocześnie mógł być krzykiem docierającym do jego umierającego umysłu, usłyszał jedno zdanie. Zdanie, które było ostatnim dźwiękiem, jakie słyszał przed

śmiercią. Coś, co brzmiało jak jakiś stary cytat – „i dopadła Cię kara, za wszystko coś uczynił”.

Zdjęcie uwiecznionej na kamerach z monitoringu podejrzanej, rozesłano do wszystkich komisariatów oraz wszelkich firm ochroniarskich. Ich pracownicy często przebywali w miejscach, w których kręciło się mnóstwo ludzi i możliwe, że zdołają rozpoznać tę kobietę. Sierżant Podwawelski na to właśnie liczył. Nie siedział, co prawda z założonymi rękami i nie czekał aż ktoś wykona całą robotę za niego, ale nie mógł również zaprzeczyć by takie podejrzenia były bezpodstawne.

W końcu ktoś z ochrony jednej z galerii handlowych zgłosił, że widział kobietę, która może być poszukiwaną. Podwawelski szybko zgarnął młodego do radiowozu i ruszyli pod wskazany adres.

Po przybyciu na miejsce, ochroniarz pokazał im kobietę, którą rozpoznał i było całkiem prawdopodobne, że to faktycznie może być ona. Policjanci poczekali, aż podejrzana wyjdzie na parking, poczym pod okiem niewielu świadków zaprosili ją na komisariat. Z dokumentów, jakie miała przy sobie wynikało, że nazywa się Maryla Rozwiadowska, rocznik '81, niezamężna.

Rozmowa z podejznaną trwała już od ponad trzech godzin, a sprawa nie posunęła się ani trochę. Owszem, kobieta odpowiadała na pytania, ale z jej odpowiedzi nic nie wynikało, nie mówiąc już o przyznaniu się do winy. W końcu, gdy wydawało się, że nic z tego nie będzie padło jedno zdanie, które zmieniło bieg rzeczy:

- Nie wy będziecie mnie sądzić – pięć słów, po których zapadło milczenie. Sierżant Podwawelski spojrzał na młodego, ale ten tylko wzruszył ramionami. Następnie policjant przeniósł wzrok na podejznaną i zapytał:

- Co ma pani na myśli?

- Że nie wy będziecie mnie sądzić – odpowiedziała podejznaną, a w jej oczach coś błysło.

- Cóż, muszę przyznać pani rację. Policja jest od łapania przestępców i szukania dowodów. Wydawaniem wyroków w tym

kraju zajmuje się sąd i to on panią osądzi. Dowodów mamy aż nadto, by dostała pani dożywocie.

- Żaden sąd na ziemi nie jest w stanie mnie osądzić, a wszystkich, którzy spróbują czeka ogień piekielny, który spali ich ciała na węgiel w mrocznym królestwie Belzebuba. Ja, wy marne psy, jestem narzędziem Boga i tylko on jest w stanie mnie osądzić. A on jest po mojej stronie! W końcu to on mnie stworzył. – Jej oczy rozbłyły żarem, który sierżant Podwawelski dobrze znał. Fanatyzm. Fanatyzm potrafiący kruszyć mury i sprawiać, że mu podlegli rzucali się na śmierć z pieśnią na ustach w imię wyższych wartości i z przekonaniem, że po śmierci czeka ich raj. Bardzo groźnym przekonaniem.

- A więc przyznaje panie, że to pani zabiła tych mężczyzn? Co to było? Jakiś kwas? – Wyrwał się trochę za wcześnie młody.

- Sami się zabili, swoim bezwstydnym postępowaniem. A zabiła ich własna niepohamowana żądza. Ja byłam tylko narzędziem, lecz ręką byli oni sami i ich rozwiąłość. Dostali tylko to, na co zasłużyli.

- Czyli przyznaje się jednak pani to zarzucanych jej czynów? – Zapytał Podwawelski.

- Do niczego się nie przyznaję, a wasze podłe insynuację nie zaprowadzą was do niczego dobrego. Myślę, że ta rozmowa dobiegła już końca i jeśli panowie pozwolą, już pójdę. – Kobieta energicznie wstała z krzesła, które z głośnym zgrzytem przesunęło się po podłodze.

- Nie tak szybko. – Zatrzymał ją sierżant. – Jeszcze długo pani nie opuści tego pomieszczenia. Przynajmniej dopóki nie usłyszymy wszystkich odpowiedzi na zadane pytania. A tak na marginesie, pytań mamy w zanadru jeszcze wiele. Na początek może wrócimy do tego zadanego przez posterunkowego Skubiszewskiego. Co to było? Jakiś kwas?

W tym momencie kobieta zrobiła coś, co obu policjantów wprowadziło w największe zdumienie. Czegoś takiego nie widzi się, na co dzień, a Podwawelski w swojej karierze widział już wszystko. Przynajmniej tak mu się wydawało. Podejrzana nadal stojąc podniosła szybko nogę do góry, tak by móc ją oprzeć o kant stołu, poczym odchyliwszy spódniczkę i przesunąwszy nieco majtki w bok,

trysnęła na młodego jakimś przezroczystym płynem. Skubiszewski natychmiast zawył z bólu a w miejscach, gdzie trafiła go przezroczysta maź, materiał oraz skóra od razu zaczęły się topić. Towarzyszący temu syk, wsparty smrodem palonej tkanki sprawił, że Podwawelski zwymiotował. W ostatniej chwili zauważył jednak, że kobieta odwróciła się w jego stronę i gnany nagłym impulsem rzucił się w bok. To być może uratowało mu życie, gdyż po chwili w miejscu, w którym stał jeszcze przed chwilą, pojawiła się stróżka żrącego płynu. Policjant sięgnął po broń i nie celując dokładnie wystrzelił. Pierwsza kula przeleciała obok podejrzanej. Druga trafiła ją w ramię, a trzecia w brzuch. Kobieta upadła, a krew z jej ran obryzgała podłogę i ścianę za nią. Po chwili syczący dźwięk się wzmógł, a czerwona posoka zaczęła wgryzać się w płytki i ścianę, a przy okazji trawić ciało zabitej. Podwawelski zwymiotował ponownie i na kolanach zaczął przemieszczać się do drzwi pokoju przesłuchań. Gdy tylko udało mu się je otworzyć, zdał sobie sprawę, że jego lewa noga jest mocno poparzona. Stracił przytomność.

W ogólny szmer szpitalnej sali wdarł się głos policjanta.

- Poruczniku, sierżant Podwawelski się obudził.

Po korytarzu, głośno tupiąc butami przeszedł porucznik lokalnej policji. Już w drzwiach pokoju, rozległ się jego tubalny głos.

- Podwawelski do kurwy nędzy, co to ma być? Młody Skubiszewski nie żyje, podejrzana martwa, a ty z poparzeniami pierwszego stopnia leżysz w szpitalu. Nie wiem czy, ta denatka na komisariacie, faktycznie była winna zgonom w sprawie, w której prowadziliście śledztwo, ale wiedz, że trupy nadal się pojawiają. Odbieram Ci sprawę, a Ty przechodzisz na wcześniejszą emeryturę. Nie będzie ona spokojna, bo komisja dyscyplinarna postanowiła zbadać to, co doprowadziło Cię do tego łóżka. A wiesz, że te skurczybyki jak będą chciały kogoś uwalić, to go uwalą. Wypoczywaj. My musimy wziąć się za tę cholere z kwasem.

Drzwi trzasnęły, a dookoła słychać było tylko jęki chorych. Podwawelski spojrzął w okno i przez chwilę obserwował chmury

leniwie płynące po błękitnym niebie.

- Kurwa – wypowiedziane na głos było wszystkim, co miał w tej sprawie do powiedzenia. To wszystko to już nie był jego problem.

# Wigilia

Ciszę wigilijnego wieczoru, przerwało delikatne pukanie do drzwi. Na zewnątrz leniwie prószył śnieg, a temperatura spadła już w granice pięciu stopni poniżej zera.

Robert mieszkał sam. Kawaler w średnim wieku, tę jedyną noc w roku spędzał z chipsami, sałatką warzywną i telewizorem. Te pierwsze okazały się za słone, sałatka za łagodna, a w telewizji jak zwykle nic nie było. Smutek ogarniał całe mieszkanie i samotne plątał się po pokojach.

Pukanie rozległo się ponownie. W taką noc nie można pozostawić nieznanego samemu sobie, więc Robert otworzył drzwi.

Obcy wyglądał porządnie. Ubrany w czarny płaszcz, z krawatem i krótko przyciętymi włosami przypominał akwizytora.

Poprosił o kubek ciepłej herbaty. Żaden problem. Taki wigilijny dobry uczynek. Robert chciał go poczęstować czymś mocniejszym, ale ten uprzejmie odmówił. Przed nim była jeszcze długa noc.

Nieznanego zdradził rozchwiany cień, rzucony na białą ścianę przez blask, ledwo tłęcej się w świątecznym stroiku świecy. Cień z kapturem i kosą, budzący trwogę w głębi duszy.

„Więc to już?” - zapytał łamiącym się głosem Robert.

Nieznanomy kiwnął tylko głową. Płomień świecy, zanim został zdmuchnięty nagłym ruchem powietrza, zamigotał jeszcze w szklanych oczach właściciela domu.

# Postówie

I jak? Dałeś/aś radę? Mam nadzieję, że nie uważasz tego za czas stracony.

W każdym razie ja dziękuję Ci za sięgnięcie po ten zbiór i miło mi, że mogłem pomóc Ci zabić trochę czasu. Jesteśmy teraz współwinni. A gdybyś uznał/a, że zasłużyłem na piwko lub zechciał/a wyrazić swoją opinię na temat tego, co zostało właśnie przeczytane, pisz na adres **underluk@gmail.com** albo do wydawcy **kontakt@bramygrozy.pl**.

Dzięki.